

CHOPIN NA 200

PRZE KROJ

SPOSOBÓW

BONUS: TAJEMNICA ŚMIERCI

>48

ZAWSZE WE WTOREK

Obama ZABIJA PO CICHU

>24

JAK CIĘ OBSERWUJĄ

CZY MOŻNA
UNIKNAĆ
ELEKTRONICZNEJ
INWIGILACJI >42

NAJSZTUB
ROZMAWIA
Z EGURROLĄ >32



INDEKS 37424



Autor: Piotr Micherewicz, wyróżnienie w 9. edycji konkursu AMS

PRZEKROJ.PL

Neckermann

...to udany urlop!

www.neckermann.pl

Styczniowy boom cenowy

Zniżki na lato nawet do 30%

Wakacje już
od 157,- zł

Rabaty
do 250 zł

4 noclegi
gratis

Oferty dla
singli

WCZEŚNIEJ = TANIEJ

EGIPT już
od 1164,- zł

NA
POCZĄTEK

RACZKOWSKI

NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY...

...że zgadzamy się z nową szefową Klubu Parlamentarnego PiS Grażyną Gęsicką, gdy mówi: „Chciałabym, aby Sejm był miejscem o należnym mu prestiżu. Wszyscy powinniśmy pracować na rzecz podniesienia rangi tej ważnej instytucji”. Bo właśnie dlatego tak mało piszemy o jej klubowych (i nie tylko) kolegach i koleżankach.

...o żeglarzu mętnych wód Joachimie Brodzińskim, który w swych wypowiedziach związanych ze wspieraniem kandydatury Lecha Kaczyńskiego na prezydenta z wielką przyjemnością nurza się w metaforach marynistycznych: „Kiedy rozpoczną się prace sztabowe, będzie nas obowiązywać zasada: wszystkie ręce na pokład”, „Nie

będzie żadnych klótni. Będzie my dąć razem we wspólny żagiel”. Bo na tym wyczerpuje się urok tego pana.

...o klótni w Polskim Stowarzyszeniu Astrologicznym nie ma sensu pisać, bo od śmiesznego sporu o to, w jaki sposób należy przewidywać przyszłość: czy z oprogramowaniem polskim, czy z zagranicznym, śmieszniejsze jest oburzenie jednej ze współzałożycielek PSA nazwanej przez dziennikarza „wróżką”: „Tylko nie wróżki! Astrolożki! To tak, jakby pomylić szachistę z brydżystą” – oświadczyła. Really?

...o tytule Człowieka Roku przyznawanym przez „Gazetę Polską” pracownikowi CBA, znanemu ja-

ko agent Tomek, który zasłynął „rozpracowaniem” najpierw posłanki Beaty Sawickiej, a potem celebrytki Weroniki Marczuk-Pazury (technika operacyjna: podryw na „mokrego Włocha”). Zdaniem redaktora naczelnego Tomasza Sakiewicza agent zdemaskował „sposób myślenia elit III RP”, ale „hałas wokół jego osoby miał więcej wspólnego z linczem niż popularnością”, a ta nagroda „symbolicznie wyrówna tę dysproporcję”. Bo kogóż jeszcze zdziwi, że ta gazeta lubi agentów?

...o wielkim polskim odkryciu naukowym, które każe domniemywać, że naczelnie wyszły z morza gdzieś pod Kielcami. Bo u nas było inaczej – naczelnie przyszły wprost z Krakowa.

PRZEKROJ

- 4 | Komentarze Igora Ryciaka i Rafała Kostrzyńskiego
- 6 | Kawa bez cukru Bogdana Rymanowskiego
- 8 | Krótko

KRAJ I ŚWIAT

- 10 | NFZ – sześć dziur w systemie zdrowia III RP, czyli gdzie wyciekają nasze pieniądze
- 16 | Stadion z bogatym patronem
- 18 | Nie bójmy się muzułmanów w Europie
- 24 | Drony – bezzalagowe amerykańskie samoloty w morderczej służbie Baracka Obamy

SYLWETKA

- 32 | Najsztub pyta Agustina Egurrolę, czy powinien nauczyć się tańczyć
- 36 | Jan Guillou – człowiek o stu twarzach
- 40 | Teczeki o kolorach skóry

CYWILIZACJA

- 42 | Inwigilacja. Jak naruszana jest nasza prywatność i jak można się chronić
- 46 | Korzystaj z jednoślądów

KULTURA

- 48 | Wydarzenia: Rok dla Chopina
- 52 | Chopin – na co chorował i jak był leczony
- 54 | Muzyka: Inwestuj w płyty
- 56 | Komiks o blokowsku
- 58 | Film: „Wszystko, co kocham”
- 60 | Lektura: Rozmowa z Martinem Amisem
- 63 | Książki: Sendecskiego oda w sprawie ód

OTWÓRZ OCZY

- 64 | Larry Sultan – wielki fotograf życia middle class Ameryki

ZAWSZE W „PRZEKROJU”

- 3 | W tym tygodniu nie piszemy
- 70 | Rozmaitości z krzyżówką, jolką i felietonami
- 73 | Stopklatka
- 74 | Dziennik Jerzego Pilcha

LAST MINUTE

+ Krzysztof Plyta +

O zakazie palenia: uderzy w tych, co zbijają kokosy, mówiąc „palmy!”.



Ciacho z obciachem

Wykorzystywanie osoby niepełnosprawnej w celach reklamowych to podłość

IGOR RYCIĄK

TUWIMOWSKI „BAL W OPERZE”: „NA ULICACH ŚCISK I ZATOR/USTAWILI SIĘ ŻOŁNIERZE/BŁYSZCZĄ KASKI KIRASJERSKIE/BŁYSZCZĄ BUTY OFICERSKIE”. Kto nie był, niech żałuje. Pod jedno z warszawskich kin wielosalaowych (zwanych popularnie multipleksami) podjechała towarzyska śmietanka. Warszawska *crème de la crème* – topowi aktorzy seriali telewizyjnych, topowi dyktatorzy mody znad Wisły, topowi wokaliści, ludzie mediów, pałacu, kultury i sztuki.

Zwabiła ich promocja najnowszego wytworu polskiej kinematografii – komedii pod tytułem „Ciacho”.

Z przyczyn zawodowych nie dostąpiłem łaski obejrzenia filmu, nie mnie więc go oceniać. Ale Patryk Vega, reżyser filmu, jest jedną z największych nadziei polskiego przemysłu filmowego. Cztery lata temu dostał nominację do nagrody Fenomen „Przekroju” za „wytrwałość, pracowitość i umiejętność nowego spojrzenia na historię, które dzieją się obok nas”. Daj Boże, żeby Vega zaszedł ze swoim „Ciachem” do Oscara, Złotej Palmy i Złotego Niedźwiedzia razem wziętych. Ale to, co się wydarzyło na premierze filmu (i wcześniej), po prostu go kompromituje.

Oto największą atrakcją imprezy była obecność Krzysztofa Kononowicza. Przypomnijmy – to mieszkaniec przedmieść Białegostoku, który kilka lat temu w wyniku działań pewnego dowcipnisa trafił do serwisu YouTube. Belkocząc bez sensu, ubrany w poplamiony sweter, Kononowicz oświadczył przed kamerą, że zostanie prezydentem miasta i wtedy „niczego nie będzie”.

Pamiętam, jak będąc w większym gronie, pierwszy raz zobaczyłem ten filmik. Większość salibuchnęła śmiechem, mnie jakoś do śmiechu nie było. Przecież na pierwszy rzut oka dało się ocenić, że Kononowicz to osoba zaburzona psychicznie. Moją amatorską obserwację potwierdziły później ustalenia lokalnych dziennikarzy. Nie będę ich przypominąć w szczególności. Dość powiedzieć, że w rodzinnym domu Kononowicza regularnie zdarzały się stosunki kazirodzkie.

I oto główną atrakcją premiery filmu „Ciacho” jest Krzysztof Kononowicz. Czupka uszatka na tłustych włosach, wymięta koszula, krawat zawiązany jak sznur wokół snopa. W filmie Vegi białostoczanin zagrał epizod: rolę prokuratora.

„Kononowicz obłapia Lesz” doniósł następnego dnia „Fakt”. Niżej zdjęcie rubasznego mężczyzny z wybitym zębem obejmującego piosenkarkę o porcelanowej urodzie (jednej z licznych na premierze).

Jakoś się boję, że w tym „Ciachu” tkwi karaluch.



Łoś zła

Barack Obama zabrał głos. Nie zostawił na sobie suchej nitki, co oznacza, że ma o sobie świetne mniemanie

RAFAŁ KOSTRZYŃSKI

W TYM NUMERZE „PRZEKROJU” DUŻO piszemy o wykorzystywaniu bezzałogowych urządzeń latających do zwalczania terroryzmu. O tym, że w gruncie rzeczy w imię pokoju i powszechnej radości dla jednych innym funduje się „syf, malarie i korniki”. Po lekturze „Ataku dronów” każdy zastanowi się dwa razy, zanim ucieszy się, że Amerykanom w Pakistanie czy w Afganistanie znów udało się zgładzić jakiegoś rzezimieszka. Innymi słowy wprawdzie psujemy czytelnikowi dobre samopoczucie, ale robimy to świadomie i ze szczerą satysfakcją.

Barack Obama (przypomnijmy: laureat ubiegłorocznej Pokojowej Nagrody Nobla) uzmysławia nam, że owa satysfakcja jest, niestety, jak najbardziej na miejscu. Na początku stycznia w przemówieniu do narodu wziął na siebie odpowiedzialność za to, że pewnemu Nigeryjczykowi w pierwszy dzień świąt niemal udało się wysadzić nad Detroit samolot pełen pasażerów.

Gest prezydenta Stanów Zjednoczonych jest przejawem pozornego złożenia się na ołtarzu błędów i wypaczeń. Piszę „pozornego”, bo nie spodziewam się, że ktośkolwiek potraktuje słowa Obamy jako rzeczywiste przyznanie się do winy. To prosta retoryka, która wcale nie zmienia niczego na lepsze.

Dzięki nowym skanerom na lotniskach celnicy będą mogli oglądać wszystkich pasażerów na golasa.

Predatory będą jeszcze bardziej intensywnie przeczesywać niewralgiczne miejsca (Pakistan,

Afganistan, Jemen, Somalia, Nigeria) w poszukiwaniu ludzi, którzy są tak źli, że zasługują tylko na śmierć od hellfire’a.

CIA będzie miała jeszcze mniej skrupułów, jeśli chodzi o eliminację wrogich celów (w ramach zemsty za niedawny samobójczy zamach w afgańskiej prowincji Chost, który był zresztą zemstą na amerykańskim wywiadzie za mordowanie winnych terrorystów i niewinnych cywilów za pomocą dronów).

Wygląda na to, że islamscy fundamentaliści będą mieli mnóstwo powodów, by nasilić ataki terrorystyczne. Zachód będzie miał więc okazję do przeprowadzenia działań odwetowych.

Panowie z Oslo, to się nazywa eskalacja, spirala, błędne koło – jakkolwiek, ale wiedźcie, że jeśli nie się nie zmieni, to w tym roku nie będzie komu dać pokojowego Nobla.

Barack Obama po raz pierwszy sięgnął po ostateczną broń wszystkich prezydentów USA po JFK – po cytata z tabliczki z biurka Harry’ego Trumana: „Tu zatrzymują się losie”. Napis znaczy mniej więcej: tu się kończy psychologia, za wszystko odpowiadają ja. W przypadku Obamy oznacza to pożegnanie z prezydentem miłującym pokój i przywitanie z prezydentem, który w imię pokoju jest gotów rozpętać piekło. Cóż, zawsze warto mieć nadzieję, ale rozpętywanie piekiel wymaga jednak umiejętności. George W. Bush nie umiał. A przecież Obama został prezydentem tylko dlatego, że obiecywał, iż nie będzie umiał jeszcze bardziej.

PRZEDKROJ Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor Marian Elle. Maciej Jarkowicz, Joanna Woźnicko-Czeczott. **ADRES REDAKCJI:** UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA. TEL. 22 525 99 33, FAKS 22 525 99 88, WWW.PRZEDKROJ.PL. E-MAIL: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl. **REDAKTOR NACZELNY:** Jacek Kowalczyk. **ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:** Bartek Chaciński. **DYREKTOR ARTYSTYCZNY:** Anna Myśliuk. **SEKRETARZ REDAKCJI:** Magda Gędziorowska, Marcin Pieszczyk. **SEKRETARIAT:** Anna Gryzwacz, tel. 22 525 99 33. **KULTURA:** kultura@przekroj.pl, Małgorzata Sadowska (szef), Marcin Sendek (zastępca szefa), Katarzyna Janowska, Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak, stale współpracujący: Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz, Mariusz Herma, Jacek Sieradzi, Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski, Marcin Andino, Velez. **KRAJ:** kraj@przekroj.pl, Krzysztof Szczepaniak, Paweł Wleczorek (redaktor), Agnieszka Fiedorowicz, Aleksandra Pawlika, Igor Ryciak, Anna Szulc, stale współpracujący: Paweł Moskaliewicz, Piotr Najstubb, Bogdan Rymanowski. **ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, Rafał Kostrzyński (redaktor), Rozmaitości, Krzyżówka, rozrywka@przekroj.pl. **CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, Olga Woźniak (szef), Milena Rachid Chehab, Piotr Stanisławski, stale współpracujący: Irena Cieślińska, Piotr Kossobudzki. **ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl. **PRACOWNIA GRAFICZNA:** Władysław Buchner (wicedyrektor), Elżbieta Maciążek. **DRUK:** RR Donnelley. **PRENUMERATA** – PRZED WYDAWNICTWEM – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47a, 00-696 Warszawa, Deutsche Bank Polska SA oddział w Warszawie nr: 34 1880 0009 0000 0001 0112 4002 i wysłać dowód wpłaty faksem: 022 525 99 88 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty: rocznej – 202,80 zł, półrocznej – 101,40 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji, tel. 22 525 99 69. **PRZED RUCH SA** – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pl.

WYDAWCA: WYDAWNICTWO PRZEDKROJ SP. Z O.O., UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, TEL. 22 525 99 33, FAKS 22 525 99 88. **PREZES WYDAWNICTWA:** Grzegorz Hajdarowicz. **DYREKTOR WYDAWNICTWA:** Barbara Stanisławczyk. **PROMOCJA I MARKETING:** promocja@przekroj.pl, Agata Stremiecka (szef), Jakub Maćkowski. **BIURO REKLAMY „PRZEDKROJ”:** reklama@przekroj.pl, Grzegorz Wilczek – dyrektor, tel. 22 525 99 17, Małgorzata Skrupa tel. 22 525 99 18, Elżbieta Smolek tel. 22 525 99 50, Beata Drogońska tel. 22 525 99 51, Eliza Żyromska tel. 22 525 99 52. **DYREKTOR DYSTRYBUCJI:** Elżbieta Maciążek. **ARTYKUŁY:** ARTYKUŁY – PRZED WYDAWNICTWEM – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47a, 00-696 Warszawa, Deutsche Bank Polska SA oddział w Warszawie nr: 34 1880 0009 0000 0001 0112 4002 i wysłać dowód wpłaty faksem: 022 525 99 88 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty: rocznej – 202,80 zł, półrocznej – 101,40 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji, tel. 22 525 99 69. **PRZED RUCH SA** – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pl.

NOWE RENAULT FLUENCE
PODRÓŻ W WYŻSZEJ KLASIE
 Tylko teraz już od **54 900 zł**

Przejdź na jazdy próbne do salonu Renault i weź udział w konkursie. Wygrasz nowe Renault Fluence – prestiżowy wygląd, przestronne wnętrze, nowoczesne technologie.

Renault zaleca elf

RENAULT

(KAWA BEZ CUKRU)

Rodzynek w politycznym cieście

Wystarczy zwykła przyzwoitość, aby wyróżnić się spośród 460 kolegów posłów

Bogdan Rymanowski, TVN

KRÓL FRANCJI LUDWIK XV (NASTĘPCA SŁYNNIEJSZEGO OD niego Ludwika XIV, zwanego Królem Słońce) spacerował po dziedzińcu swej posiadłości. Natknął się na jednego ze swoich dworzan i zapytał: – Która jest godzina? Na co tamten z najwyższym uniżeniem odparł: – Według rozkazu, Wasza Miłość.

Mam wrażenie, że nasi politycy swoją służalczością biją na głowę francuskich poddanych z XVIII wieku. Wystarczy prześledzić, ilu z nich potrafi mieć własne zdanie. Ilu jest w stanie przyznać się do błędu. Ilu stać na to, aby głosować wbrew instrukcjom kierownictwa, nie przejmując się przy tym konsekwencjami. To coś więcej niż plaga, która zżera dzisiejszy Sejm. To rodzaj współczesnego niewolnictwa, w dodatku na własne życzenie.

Dlatego jeśli zdarza się raz na jakiś czas wyjątek, nie można – ale to pod żadnym pozorem! – ustawać w komplementowaniu go najbardziej wyszukany epitetami. Na tak rzadki okaz politycznego ptactwa, na takiego (bez obrazy) „dziwoląga” powinno się chuchać i dmuchać, a dziennikarsko-publicystyczne chóry winny wyśpiewywać mu wszystkie możliwe hymny pochwalne. I to właśnie, bez jakiegokolwiek fałszywej nuty, chciałbym niniejszym uczynić.

Otóż jak dla mnie najbardziej pozytywnym bohaterem ostatnich dni jest Antoni Mężdło. Tylko on jeden spośród ponad 200 posłów Platformy Obywatelskiej odważył się mieć inne zdanie niż sam (jak się okazuje coraz mniej wszechwładny) Grzegorz Schetyna.

Nie wybrał wygodnego alibi, jakim było wstrzymanie się od głosu. Nie poprzestał na deklaracjach, że posłowie PiS udowodnili, iż nie mają z aferą hazardową nic wspólnego. Tylko on zagłosował za ponownym przyjęciem do komisji śledczej zarówno Beaty Kempy, jak i Zbigniewa Wassermann. Poszedł więc dużo dalej niż nazywany „sumieniem partii” Jarosław Gowin.

Jak wytłumaczyć takie zachowanie? Analizując ten przypadek, można postawić dwie, wykluczające się diagnozy. Pierwsza wiąże się z pochodzeniem posła z Torunia. Wszak jeszcze trzy lata temu Antoni Mężdło cieszył się członkostwem w partii braci Lecha i Jarosława Kaczyńskich, a żona pana posła ponoć do dziś czuje wielki sentyment do bliźniaka-prezesa, uważając go za co prawda cynicznego, ale jednak geniusza. Stąd prosta droga do stwierdzenia, że Mężdło był, jest i będzie PiS-owcem. Tyle że czasowo przebywa na wychodźstwie. Nie wszystko jednak jest takie proste.

Bo diagnozie tej zdecydowanie przeczą słowa samego posła wypowiedziane w momencie, gdy rozstawał się z Prawem i Sprawiedliwością. A przywalił wówczas z grubą rurą. Że Jarosław Kaczyński potrafi wywinąć cuda, manipulując ludźmi. Że chodzi mu jedynie o władzę dla samej władzy. Że zmusza innych, aby myśleli tak jak on. A przecież – rozdrapywał rany poseł Mężdło – każda

dyktatura jest zła, nawet ta szlachetna. Przyznają państwo, że po takich słowach prezes Kaczyński może odczuwać wielki, choć niewypowiedziany uraz. Osobiście zatem obstaję przy diagnozie alternatywnej, że tym, co kierowało posłem Platformy, była zwykła uczciwość.

Gdzie szukać jej źródeł? Najpewniej w latach 80., podczas dramatycznych wydarzeń, kiedy to Antoni Mężdło przeszedł test na odwagę. To wtedy grupa zamaskowanych nieznanych sprawców (jak się później okazało – funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa) porwała ówczesnego opozycjonistę do lasu pod Toruniem, gdzie poddali go „wyrafinowanemu” (nawet jak na tamtejsze standardy) przesłuchaniu. Właściwie były to tortury. Światło w oczy, cios w brzuch, rzucenie na ziemię, bicie pałą po piętach. I te powtarzające się raz po raz krzyki: „Do piachu z nim!”, którym towarzyszyło odbezpieczanie pistoletu i kopanie grobu. Od tamtej pory poseł jest już impregnowany na groźby, presję i pranie mózgu.

Nie chciałbym być złym prorokiem, ale boję się, że ani jedna, ani druga partia opisywanych zdrań może już Antoniemu Mężdłu nie wybaczyć. I wtedy na ponowny wybór do Sejmu dostanie szlaban. A szkoda, bo to nie tylko mistrz świata parlamentarzystów w maratonie. To także, a może przede wszystkim, przyzwoity człowiek. □



Właściwie były to tortury. Światło w oczy, cios w brzuch, rzucenie na ziemię, bicie pałą po piętach. I te powtarzające się raz po raz krzyki: „Do piachu z nim!”

WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



STRZEŻ SIĘ: ZAMIENNIKI MOGĄ KOSZTOWAĆ CIĘ NAWET DWA RAZY WIĘCEJ NIŻ ORYGINALNE TONERY HP



ZAUF AJ O RYGINALNYM TONEROM HP

Przeprowadzone testy wykazują, że zamienniki bywają wadliwe i nie zapewniają powtarzalnej jakości wydruków. Tylko oryginalne tonery HP gwarantują wysoką niezawodność i stałą jakość druku. W rezultacie dają większe oszczędności niż używanie zamienników. Dokonaj właściwego wyboru dla swojej firmy i kupuj oryginalne wkłady laserowe HP.

Strzeż się zamienników! Odwiedź HP.PL/TESTTONER

Znajdź najbliższego Partnera HP: hp.pl/elocator



HIT PRINT
INTELLIGENTLY



Kalkulacja kosztów w oparciu o uśrednione wyniki badań European QualityLogic Monochrome Toner Reliability Comparison Study 2008 dla HP LJ 2300 i HP LJ 4350. Kalkulacja uwzględnia wydatki na papier, wymianę wkładów i szacowane koszty pracy przy wydruku. Założono druk równej liczby stron do użytku wewn., zewn. i indywidualnego. Nakład pracy obliczony na podstawie badań Mercer Global Pay Study 2007/2008. Podstawa porównania: wkład HP za 131 € i zamiennik tańszy o 42%. Rzeczywiste ceny, koszty i wyniki mogą być różne. Szczegóły na: www.qualitylogic.com/tonertest.pdf lub hp.pl/testtoner. © 2010 Hewlett-Packard Development Company, L.P. Wszelkie prawa zastrzeżone.

KRÓTKO

Bez wiz przez granicę

Mały ruch ożywi handel z Białorusią

POLSKA I BIAŁORUŚ już uzgodniły tekst umowy o małym ruchu przygranicznym, dokument zostanie podpisany w przyszłym miesiącu. Osoby zameldowane w pasie 30 kilometrów od granicy nie będą potrzebowały wiz. Wystarczy paszport i zaświadczenie – ważne pięć lat – o zamieszkiwaniu w pasie nadgranicznym. Umowa o małym ruchu granicznym ma ożywić drobny handel. Przepisy wejdą w życie po zgodzie parlamentu na ratyfikację i po podpisie prezydenta, czyli prawdopodobnie w połowie roku. – *iggy*

Pozwy za Gazę

Izraelscy oficjele wolą nie latać do Wielkiej Brytanii

GRUPA IZRAELSKICH OFICERÓW odwołała właśnie wizytę w Wielkiej Brytanii z obawy przed aresztowaniem, a urzędnicy MZS mają unikać wizyt na Wyspach. To efekt wydanego w grudniu przez londyński sąd nakazu aresztowania – po pozwie Palestyńczyków – byłej szefowej MSZ Izraela Cipi Liwni. Sprawowała urząd w czasie inwazji na Gazę, a podstawą nakazu jest paragraf pozwalający Anglikom sądzić zbrodniarzy wojennych z całego świata. Liwni odwołała wizytę, sąd wycofał nakaz, ale groźba procesów oziębiła stosunki między oboma krajami. – *joa*



Komórka, która leczy

Długie rozmowy przez komórkę chronią mózg i pamięć

NAUKOWCY Z CENTRUM Badań nad chorobą Alzheimera na Florydzie ustalili, że u myszy nie rozwija się ta przypadłość, jeśli wystawi się je na promieniowanie elektromagnetyczne emitowane przez telefony komórkowe. U myszy nie stwierdzono przy tym skutków ubocznych mimo atakowania ich promieniowaniem przez siedem miesięcy po dwie godziny dziennie. Na razie badacze nie zalecają rozmów przez komórkę na okrągło i szukają najskuteczniej leczącej częstotliwości. – *mac*

Prawy do lewego

Wpadła para złodziei kompletujących pary butów

W SZWECJI DO MIERZENIA wystawia się lewe buty, a w Danii prawe. Dwóch mężczyzn kradło więc takie same modele o identycznych rozmiarach, krążąc między sklepami obu krajów. Na ich trop wpadli szwedzcy policjanci po zniknięciu lewych butów z markowego butik w Malmö. Łączna wartość tylko tego obuwia, z ukradzionymi prawymi butami z Kopenhagi, to ponad cztery tysiące złotych. – *syf*

Ambasada skacze po Polsce

Polacy znów nie mogą się dogadać. Tym razem w sprawie lokalizacji drugiej ambasady Parlamentu Europejskiego

UNIA EUROPEJSKA IGOR RYCIĄK

NAJPIERW DECYZJA W SPRAWIE URUCHOMIENIA Domu Europejskiego – zwane go potocznie ambasadą Parlamentu Europejskiego – miała zapasć wczesną jesienią 2009 roku. Potem w grudniu. Teraz termin przesunięto na luty.

W Polsce takie przedstawicielstwo jest od 2002 roku w Warszawie. Ale w dużych krajach Unii są po dwie placówki. We Francji – w Paryżu i Marsylii, we Włoszech – w Rzymie i Mediolanie, a w Wielkiej Brytanii – w Londynie i Edynburgu. W ubiegłym roku prezydium PE zdecydowało, że i w Polsce utworzy drugą ambasadę.

Miasto mają wskazać polscy eurodeputowani. Każdy jednak chce, aby placówka stała w ich okręgu wyborczym. I tak Jacek Saryusz-Wolski i Joanna Skrzydlewska upierają się przy Łodzi, Róża Thun przy Krakowie, Lidia Geringer de Oedenberg przy Wrocławiu, a Krzysztof Lisek przy Białymstoku.

W spór włączyli się samorządowcy. Kilka tygodni temu prezydent Łodzi Jerzy Kropiwnicki napisał list do przewodniczącego PE Jerzego Buzka – zaoferował biura w kamienicy przy Piotr-

kowskiej. Natychmiast zareagował Białystok – władze proponują jedno ze skrzydeł pałacu Branickich. A Gdańsk daje prestiżowe biuro przy Długim Targu, opodal Zielonej Bramy.

Jeśli Polacy nie dogadają się do końca lutego, wówczas PE powoła komisję konkursową, która sama wybierze trzy miasta. Ostateczną decyzję podejmie Jerzy Buzek. Jest eurodeputowanym z okręgu katowickiego, ale popierał umieszczenie jej gdzieś na ścianie wschodniej, bo ta część Polski jest jednym z najbiedniejszych regionów UE. Oprócz Białegostoku w grę mogą więc wchodzić Rzeszów lub Lublin.

Ambasady PE zajmują się głównie działalnością informacyjną i szkoleniową. Pomagają zdobyć granty i organizują konferencje. – Zwyczajowo pracownikami placówki są obywatele kraju, w którym jest ona położona – mówi Piotr Wolski, attaché prasowy warszawskiego przedstawicielstwa PE.

Ile osób znajdzie pracę w ambasadzie? Jeszcze nie wiadomo. Placówki położone poza stolicami mają najwyższe kilkunastu pracowników.

Motoryzacja

HINDUSI ZABRALI SYRENKĘ

NA DZIESIĄTYCH TARGACH SAMOCHODOWYCH Auto Expo w Nowym Delhi, najważniejszym światowym pokazie motoryzacyjnym początku roku, zaprezentowano polską żółtą syrenę 105. Dzieło pelerowskich projektantów jest głównym motywem graficznym publikacji o historii... indyjskiego przemysłu samochodowego. Nazwa i pochodzenie auta nie po-

jawia się w żadnym miejscu, słabo zorientowany odbiorca może więc myśleć, że to cudo powstało w Indiach.

Tegoroczne targi odbywają się pod hasłem „Mobilność dla wszystkich” i mają promować motoryzację ekologiczną. Syrena ma się do tego jak pięść do oka. Przy pojemności silnika zaledwie 746 cm³ na przejechanie 100 kilometrów potrzebowała 9 litrów benzyny. W dodatku nieoczyszczoną z ołowiu.

– *mac*



Obietnice

ERA BUSHA TRWA

22 STYCZNIA MINIE TERMIN obiecanego przez prezydenta Baracka Obamę zamknięcia obozu w Guantánamo. Dokument podpisany przed rokiem w świetle fleszy był pierwszym decyzją podjętą przez Obamę po objęciu urzędu jako symbol nowej ery i definitywnego zerwania z „bushyzmem”. Dziś wiadomo, że Obama obietnicy nie dotrzyma. Powód jest niezmienny: większość osadzonych w więzieniu na Kubie stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa USA. Nie można ich wypuścić, sprowadzenie zaś uwieczonych do USA oznaczałoby konieczność postawienia im zarzutów i przeprowadzenia procesów sądowych. A mocnych dowodów przeciw nim brak. Guantánamo jest obozem wojennym i teoretycznie jako jeńcy podejrzani mogą siedzieć tam do końca



Mimo obietnic i protestów jeńcy zostaną w Guantánamo

wojny z terrorem. Grudniowy nieudany zamach na samolot lecący do Detroit tylko utrudnił Obamie decyzję. Okazuje się, że to były więzień Guantánamo jest członkiem jemeńskiej komórk Al-Kaidy, która odpowiada

za przygotowanie ataku. Al-Kaida zbudowała w ostatnich latach w Jemenie dużą strukturę, a z pozostałych w Guantánamo 198 osadzonych aż 92 to właśnie Jemeńczycy. – *mac*

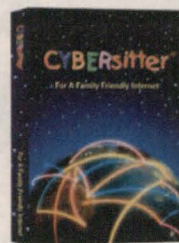
Okradanie

FILTRUJĄCY PIRACI Z PEKINU

PO RAZ PIERWSZY DO SĄDU TRAFIŁ ANTYPIRACKI pozew skierowany wprost przeciw rządowi ChRL. Po jednej stronie rodzinna firma z Kalifornii, po drugiej – największe mościstwo światowej produkcji. Twórca oprogramowania komputerowego Cybersitter wytoczył przed sądem w Los Angeles proces Chinom, zarzucając im przywłaszczenie tajemnic handlowych, nieuczciwą konkurencję i naruszenie praw autorskich. A konkretnie – nielegalne skopiowanie trzech tysięcy linii kodu programu do blokowania niepożądanych treści w komputerze i użycie ich w promowanym przez chiński rząd filtrze Zielona Tama.

Plany związane z tym filtrem Pekin miał ogromne. W czerwcu ubiegłego roku nakazał

założenie go na wszystkie sprzedawane na rynku chińskim pecety. Oficjalnie chodziło o blokowanie treści pornograficznych, nieoficjalnie – także tych niepożądanych politycznie, a nawet o umożliwienie zdalnej kontroli prywatnych komputerów. Pod nawalem krytyki rząd



zasugerował obywatelom dobrowolne instalowanie programu, a w sierpniu ograniczył nakaz do komputerów w szkołach i kafejkach internetowych. Jednak Cybersitter szacuje, że i tak zainstalowano program w 56,5 miliona kopii, z których za każdą kalifornijskiej firmie należy się 40 dolarów. Stąd żądana kwota odszkodowania: 2,2 miliarda dolarów. Prawnicy wątpią, czy przed sądem stanie rząd ChRL, ale Cybersitter pozwala też dwie konkretne chińskie firmy informatyczne i siedmiu producentów komputerowych, którzy montowali Zieloną Tamę. – *joa*

Obyczaje

PIERŚ NIE RAZI TAK JAK NOGA

POMNIK STAWIANY W DAKARZE, STOLICY Senegalu, ma być największą (rozmiarami) atrakcją turystyczną Afryki. Ubogi Senegal wyda na budowę 27 milionów dolarów. Statuę stawiają robotnicy z Korei Północnej, a prezydent zapowiada, że zgarnie 35 procent dochodu ze sprzedaży biletów. O tym pisaliśmy już w „Przekroju” 48/2009. Teraz jest kolejny problem:



muzułmańscy przywódcy religijni oburzają się na obnażone ciało kobiety. Co ciekawe, rażą ich nagie nogi, a nie odkryte piersi. Profesor Ewa Mahut-Mendecka, arabistka z UW, szuka wyjaśnienia tego w tradycji afrykańskiej. – Ogólnie w islamie obowiązuje nakaz przykrycia całego ciała dla kobiet i od pasa w dół dla mężczyzn. Ale jego stosowanie może się różnić zależnie od regionu i lokalnej tradycji – zastanawia się profesor. Przykrycie nóg brązem zwiększy koszty powstania dzieła i opóźni jego odsłonięcie planowane na kwiecień. – *mac*

Potwierdzamy intuicję

Dlaczego wnioski z kontroli Najwyższej Izby Kontroli są tak łatwe do przewidzenia?

ROZMOWA

„Pocztą Polska coraz gorzej traktuje swoich klientów”, „Pogarsza się sytuacja finansowa Telewizji Polskiej SA”. Oto przykłady wniosków z ostatnich dochodzeń Najwyższej Izby Kontroli. I właśnie odkryliśmy, że spółki Skarbu Państwa są upolitycznione, czemu poświęciliście 75 stron raportu. Nie szkoda pieniędzy na udowadnianie takich oczywistości?



Paweł Biedziak, rzecznik Najwyższej Izby Kontroli

– To nie są wnioski z kontroli, ale pierwsze zdania z informacji prasowych. Do dobrego zarządzania państwem nie wystarczy przeświadczenie, że jakaś dziedzina źle funkcjonuje. Trzeba dowodów. I kontrolerzy je dostarczają. Wskazujemy konkretne nieprawidłowości, które kontrolowany musi usunąć. Sprawdzamy przede wszystkim, czy instytucje finansowane z budżetu państwa wydają pieniądze publiczne w zgodzie z prawem. Owocem wielu kontroli są też zawiadomienia do prokuratury, na przykład ostatnio w sprawie TVP.

Ile kosztuje badanie? Może wykrycie nieprawidłowości kosztuje więcej niż sama nieprawidłowość?

– To koszty etatowe, około 150 milionów złotych rocznie. Każdego roku kontrolerzy NIK ujawniają nieprawidłowości w wydawaniu publicznych pieniędzy rzędu 16 miliardów złotych. Składają też ponad pół tysiąca zawiadomień o przestępstwie lub naruszeniu dyscypliny budżetowej, wnioskując o zmianę kilkudziesięciu aktów prawnych. not. szczep

Co mówią liczby

81 miliardów lat

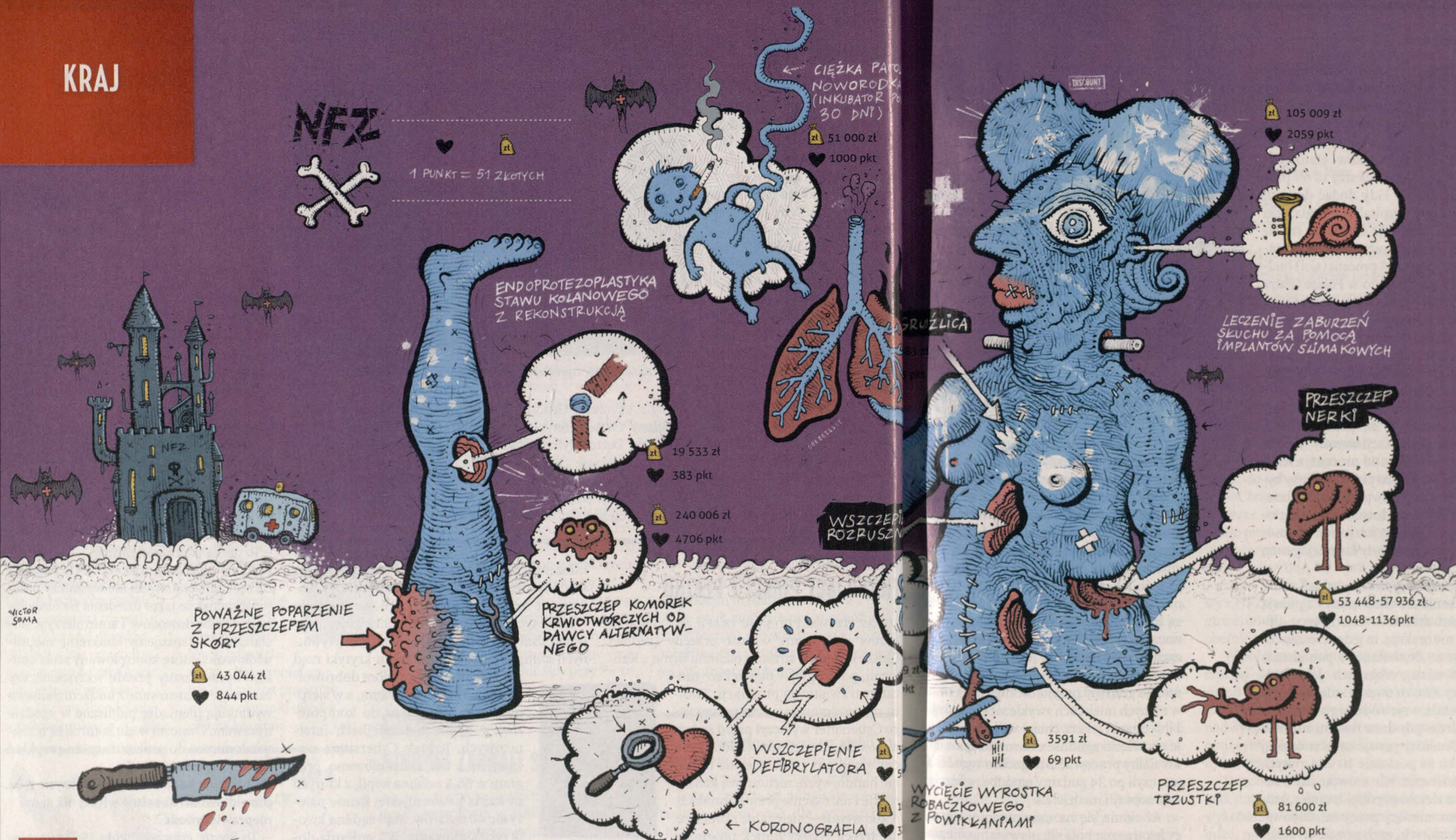
(a dokładnie: 80 999 352 005)

„Przekrój” musiałby drukować liczbę pi w jej najpełniejszym obecnie rozwinięciu, gdybyśmy zapełniali nią co tydzień całe kolejne numery. Skąd taki pomysł? Wartość liczby pi pewien francuski zapaleniec obliczył właśnie z dokładnością do 2,7 biliona miejsc po przecinku. – *joa*

NFZ



1 PUNKT = 51 ZŁOTYCH



NFZ TEKST ALEKSANDRA PAWLICKA, ILUSTRACJA VICTOR SOMA

NARODOWY WOREBEZ DNA

CO SIĘ DZIEJE Z PIENIĘDZMI, KTÓRE MIESIĄC W MIESIĄC PŁACISZ NA SŁUŻBĘ ZDROWIA? CZY WYDAWANE SĄ Z SENSEM, CZY BEZTROSKO TRWONIONE? CHCESZ WIEDZIEĆ? PRZECZYTAJ!

W GĄSZCZU PRETENSJI I ŻAŁAŃ OPLATAJĄCYCH Narodowy Fundusz Zdrowia trudno się połapać. Lekarze i pielęgniarki narzekają na niskie pensje. Szpitale na brak pieniędzy na zabiegi. Ministerstwo Zdrowia na niegospodarność szpitali, pacjenci na to, że gwarancje leczenia mają tylko na papierze. A przecież rocznie na służbę zdrowia wydajemy 55 miliardów złotych.

To jedna szósta wszystkich wydatków państwa!

Gdy zaczęliśmy rozsupływać węzełki finansowej płatniny wokół NFZ, wyłonił się obraz jak z katastroficznego filmu. Jeszcze nie „2012”, bo zanim do tego roku dotrzemy, trzeba przeżyć rok właśnie rozpoczęty. A w 2010 nie będzie ani złotych, więcej na służbę zdrowia niż w roku poprzednim. Nie tylko za sprawą kryzysu, lecz głównie z powodu zmniejszających się wpływów pochodzących ze składki zdrowotnej. To oznacza dodatkowe kłopoty. Ale czy z gospodarowaniem publicznym gro-

szem w służbie zdrowia nie jest jak z gotowaniem w dziurawym garnku? Czyli mówić wprost: ile i którędy z niego wycieka?

Dziura pierwsza: szpitale

Końcówka ubiegłego roku to nieustanny lament o pieniądze na zabiegi (patrz dalej – dziura trzecia: nadwykonania) i na podwyżki dla personelu medycznego. Na pierwszoplanowego aktora wyrosł w 2009 roku Radomski Szpital Specjalistyczny imienia doktora Tytusa Cha-

łubińskiego. Było o nim głośno, bo przez parę tygodni strajkowały tam pielęgniarki wspomagane przez przyjeżdżające z całego kraju koleżanki po fachu. Nad szpitalem zawisła groźba zamknięcia oddziału chirurgii. Konflikt urosł do takich rozmiarów, że w sprawę zaangażował się sam premier Donald Tusk. Ale nie pogodził pielęgniarek po główkach, lecz skrytykował strukturę zatrudnienia w radomskiej placówce. Co miał na myśli? Ano to, że szpital mający 600 łóżek zatrudnia 1500 osób

Nakręcanie spirali długów to grzech główny publicznych szpitali. Nie pomogły miliony pompowane w oddłużanie przez kolejne rządy

(w tym 600 pielęgniarek), obsługując za ledwie 200–300 pacjentów. – Kilka lat zmarnowano w tym szpitalu, jeśli chodzi o restrukturyzację i oszczędności – podsumował szef rządu. Bo rzeczywiście, jak może utrzymać rentowność firma, w której na jednego obsługiwanego przypada pięć obsługujących?

Z radomskim szpitalem próbowaliśmy skontaktować się dwa miesiące po ugaszeniu medialnego pożaru (bo szpitale, które mają kłopoty finansowe, najchętniej wylewają swe żale w mediach). Chcieliśmy zapytać o pomysły na redukcję zadłużenia i zwiększenie wydajności wykorzystania łóżek. Informacji jednak nam odmówiono, bo „nikt nie wie, jak moglibyśmy takie informacje wykorzystać i jakie są nasze intencje” – usłyszeliśmy od dyrekcji szpitala. A szkoda, bo szpital jest publiczny, czyli utrzymuje się z kontraktu z NFZ opłacanego ze składek podatników.

Według nieoficjalnych danych długi radomskiej placówki przekroczyły 20 milionów złotych. Ministerstwo Zdrowia nie ujawnia wyników finansowych poszczególnych szpitali. Oświadcza jedynie, że łącznie zadłużenie 619 szpitali publicznych na koniec 2009 roku wyniosło 9,38 miliarda złotych. Z czego zobowiązania wymagalne, czyli te, których termin płatności już minął, wynoszą ponad 2,5 miliarda złotych.

Nakręcanie spirali długów to grzech główny publicznych szpitali. Nie pomogły miliony pompowane w oddłużanie przez kolejne rządy. Ekipa PO chciała na ten cel przeznaczyć 2,6 miliarda złotych, pod warunkiem że oddłużaniu towarzyszyłoby przekształcanie szpitali w spółki prawa handlowego. Wprowadzenie takiej zmiany ustawowo gwarantowałoby, że szpital po wyzerowaniu konta stałby się podmiotem gospodarczym, za którego kondycję finansową własnym majątkiem odpowiadałby dyrektor. Przykład kilkudziesięciu placówek, które dobrowolnie zdecydowały się na takie przekształcenie, potwierdza, że jest to rozwiązanie możliwe.

Jednak opozycyjne PiS z prezydentem Lechem Kaczyńskim na czele zablokowało reformę pod hasłem obrony szpitali przed prywatyzacją. Tym samym publiczne molochy mogą nadal bez ponoszenia konsekwencji zaciągać długi, za które płacimy my wszyscy.

Co więcej, publiczne szpitale – w odróżnieniu od tych przekształconych w spółki – nie wykorzystują posiadanych mocy →

Podział pieniędzy w szpitalach



DANE MINISTERSTWA ZDROWIA ZA 3 KWARTAŁY 2009 R.

→ przerobowych. W opisywanym radomskim szpitalu wykorzystanie łóżek kształtuje się na poziomie 50 procent. Średnia krajowa dla publicznych szpitali wynosi 60 procent. Tymczasem przekształcony w spółkę pięć lat temu powiatowy szpital w Zamościu (nie prywatny, ale w stu procentach własność samorządu) wykorzystuje łóżka na poziomie 88 procent. Tak jak inne szpitale niepubliczne po podpisaniu kontraktu z NFZ świadczy odpłatne usługi. Nie tylko nie ma długów, ale nawet odprowadza do państwowej kasy podatek od wypracowanego zysku. Dotychczas ponad 1,2 miliona złotych.

Dla porównania publiczny szpital w Żarach (Lubuskie) balansujący na granicy płynności finansowej już we wrześniu 2009 roku podnosił larum: „Nowoczesny laser będzie stał bezczynnie do końca roku i pokrywał się kurzem, bo skończyły się limity z NFZ”.

Dziura druga: lekarze

Na podstawie analizy struktury wydatków NFZ łatwo stwierdzić, że ci, którzy najbardziej płacą, czyli szpitale, zyskali w ostatnich latach najwięcej. Na przestrzeni trzech lat trafiło tam o 30 procent więcej pieniędzy: z 18,5 miliarda złotych w 2007 roku do 25,5 miliarda w roku 2009.

– Jeśli taki zastrzyk finansowy nie przełożył się ani na skrócenie kolejek, ani na zadowolenie pacjenta z leczenia – mówi minister zdrowia Ewa Kopacz – to odpowiedź na pytanie, gdzie trafiły te pieniądze, może być tylko jedna: do białego personelu.

Jej opinie potwierdzają dane Narodowego Funduszu Zdrowia (patrz tabela: podwyżki pensji lekarzy). Tylko z tytułu „religówki” – wynegocjowanych w 2006 roku ustawowo podwyżek – NFZ przekazał placówkom służby zdrowia 4,8 miliarda złotych w samym 2008 roku. W tym 707 milionów złotych poszło na podwyżki dla personelu medycznego pochodni, 435 mi-

lionów złotych dla personelu placówek ambulatoryjnych i 2 miliardy 843 miliony na podwyżki dla pracowników szpitali.

Ministerstwo Zdrowia szacuje, że w przypadku szpitali publicznych wynagrodzenia dla pracowników etatowych i dodatkowe kontrakty lekarzy to 60 procent ogółu kosztów. Gdy dodać do tego koszty utrzymania szpitala (energia, leki – 25 procent), przestaje dziwić, że na samo leczenie brakuje pieniędzy. Przeznacza się na nie jedynie 15 procent (sic!) budżetu szpitala publicznego w Polsce (patrz wykres: podział pieniędzy w szpitalach). W przypadku opisywanego przez nas radomskiego szpitala wynagrodzenia pochłaniały w ubiegłym roku 80 procent kontraktu. W szpitalu w Żarach, gdzie we wrześniu przestał działać laser – 75 procent.

Eksperti brzożowego czasopisma „Puls Medycyny” wyliczyli, że pensje lekarzy z II stopniem specjalizacji wzrosły w ciągu ostatnich trzech lat o 100 procent, a lekarzy z I stopniem – o 120 procent. I żeby była jasność: nie jesteśmy przeciw urealnieniu płacy lekarzy, bo dotychczasowe, gło-dowe pensje uwłaczały ich pracy. Nie mówiąc o tym, że często były korpucjogenną fikcją.

Urealnienie nie powinno jednak oznaczać rozpasania, bo choć lekarzy z pensją w wysokości dwóch–trzech tysięcy złotych wciąż nie brakuje, to jednocześnie coraz częstsze są doniesienia o ponadstandardowych wynagrodzeniach. Jak choćby 21 tysięcy złotych miesięcznie dla ordynatora szpitala wojewódzkiego w Lubuskiem, podczas gdy dane resortu zdrowia mówią o średniej pensji ordynatorskiej w 2009 roku na poziomie 10 284 złotych brutto miesięcznie. Nie mówiąc już o rekordziście z zielonogórskiej lecznicy, który za siedem miesięcy pracy zainkasował 288 tysięcy złotych, czyli ponad 40 tysięcy miesięcznie.

Co więcej, do kominowych płac dochodzi kominiowe zatrudnienie. Tym razem rekord padł w łódzkim oddziale NFZ, który podczas ubiegłorocznej kontroli wykrył lekarza zatrudnionego w 25 placówkach zdrowia jednocześnie. Ośrodki opie-



Więcej pieniędzy żądają i lekarze, i pacjenci. Ale przy obecnym sposobie finansowania służby zdrowia każde pieniądze trafiają w studnię bez dna

ki medycznej podpisujące kontrakty z NFZ są bowiem zobowiązane przedstawiać funduszowi harmonogramy pracy zatrudnionych lekarzy. NFZ dokonał kontroli tych harmonogramów i wyniki okazały się przerażające. Zaledwie 17 procent lekarzy pracuje wyłącznie na jeden etat. Standardem jest, że lekarze pracują w dwóch–trzech miejscach, ale nie brakuje i takich, którzy są zatrudnieni w ośmiu placówkach równocześnie. Związka wśród lekarzy mających za sobą staż pracy nie dłuższy niż siedem lat. Oczywiście jest to praca na papierze, bo godziny przyjmowania pacjentów w różnych miejscach zwykle się pokrywają. I gdyby taki lekarz chciał wypełniać swoje obowiązki zgodnie z harmonogramem, musiałby pracować 240 godzin tygodniowo, czyli po 34 godziny na dobę, wliczając w to soboty i niedziele.

Aż ciśnie się na usta pytanie: czy tacy lekarze nie boją się ujawniania nieprawidłowości, czyli mówiąc wprost, oszukiwania podatników? Odpowiedź brzmi „nie”, bo ewentualne grzywny NFZ nakłada na pracodawcę. Lekarz zaś rozgrzesza się pokutującym w opinii publicznej przekonaniem o niskich zarobkach w służbie zdrowia. Tymczasem „Diagnoza społecz-

na 2009 – warunki i jakość życia Polaków” przygotowywana przez doktora habilitowanego Janusza Czapieńskiego właśnie lekarzy umieszcza na szczycie placowej drabiny. Z dochodami wynoszącymi średnio 4722 złote na rękę wyprzedzili dotychczasowych liderów prawników (3675 złotych netto). Diagnoza opiera się na danych z publicznych i niepublicznych placówek zdrowia, ale w ostatnich latach skokowo wzrosły głównie dochody lekarskie pochodzące z kontraktów z NFZ.

Jednocześnie raport pokazuje, że strumień pieniędzy płynący z NFZ do środowiska medycznego trafił głównie do lekarzy. Pielęgniarki z dochodem w wysokości 1975 złotych znalazły się dopiero na 24. miejscu.

Chcąc więc latać dziury, którymi w służbie zdrowia wyciekają fundusze, należy – po pierwsze – dokonać restrukturyzacji szpitali i urealnienia w nich zatrudnienia, a po drugie – zweryfikować płace personelu medycznego. I nie chodzi o równanie w dół, lecz o eliminację anomalii płacowych, które demoralizują środowisko. Bez uszczelnienia tej szpitalno-lekarskiej dziury nie ma co marzyć o uzdrowieniu finansów NFZ.

Dziura trzecia: nadwykonania

Druga połowa ubiegłego roku to zalew informacji ze szpitali w całym kraju o zaprzestaniu wykonywania zabiegów z uwagi na wyczerpanie kontraktów NFZ. Oto kilka przykładów zaczerpniętych z lokalnych mediów:

Lublin, listopad 2009: „Pomoc tylko dla pacjentów w stanach zagrożenia życia. NFZ zapowiada, że nie zapłaci za tak zwane nadwykonania”.

Poznań, listopad 2009: „Kolejne poznańskie szpitale wyczerpały limity w ramach kontraktów z NFZ i przestały przyjmować pacjentów”.

Chrzanów i Wadowice, listopad 2009: „Szpitale nie przyjmują już pacjentów”.

Wrocław, październik 2009: „Tylko pacjenci w stanach nagłych mają szansę na leczenie. Pieniądze na ten rok już się skończyły”.

Świdnica, październik 2009: „W związku z ograniczeniami wprowadzonymi przez NFZ chorzy będą leczeni jedynie na oddziałach ratunkowym i ginekologiczno-położniczym”.

Czy szpitale mają tak kiepskich menedżerów, że nie potrafia zaplanować rzeczywistego budżetu? Przecież NFZ istnieje już siedem lat i na podstawie doświadczeń oraz statystyk z poprzednich lat można sensownie przewidzieć wydatki. A może wina leży po stronie NFZ, który świadomie przycina szpitalom finansową kolderkę?

Odpowiedź nie jest prosta. Służba zdrowia mogłaby wchłonąć każde pieniądze.

Kto utrzymuje NFZ

Tort przychodów z tytułu składki zdrowotnej w miesiącach I–X 2009 roku



ZUS – 40,8 mld zł, w tym:

- 37 mld zł pochodzi od osób płacących 9-procentową składkę zdrowotną
- 3,8 mld zł pochodzi od osób prowadzących działalność pozarolniczą, mających prawo do płacenia najniższej stawki składki zdrowotnej

KRUS – 3,3 mld zł

RAZEM – 44,1 mld zł

DANE NFZ I ZUS

Bo ludzie uwielbiają się leczyć, a lekarze – wypisywać skierowania na niezliczone badania. Nie zawsze, niestety, z sensem, czego sama doświadczyłam w ubiegłym roku, gdy trafiłam z synem, który spadł z roweru, do jednego z warszawskich szpitali. Na bóle kolano zlecono RTG, USG i jeszcze dwa inne badania. Już po wykonaniu pierwszego było wiadomo, że z kolaniem wszystko w porządku, ale przeprowadzono wszystkie, bo – jak przyznał lekarz – szpital właśnie dostał zastrzyk finansowy z NFZ i jeśli go nie wykorzysta, to – argumentował – następnym razem fundusz obetnie pieniądze.

W publicznej służbie zdrowia jak u rozrutej gospodyni – wypłata rozchodzi się na długo przed pierwszym i trzeba żyć na krechę. Takie życie zwie się właśnie nadwykonaniami, czyli leczeniem wykracającym poza limit finansowy wyznaczony kontraktem.

Rzecznik NFZ Edyta Grabowska-Woźniak tłumaczy, skąd wziął się problem nadwykonania w 2009 roku, lecz by to zrozumieć, najpierw trzeba wiedzieć, że każdy zabieg wyceniony jest punktowo, na przykład poród kosztuje 31 punktów, a każdy punkt ma dziś stałą wartość 51 złotych. Tym samym poród kosztuje 1581 złotych i tyle NFZ płaci szpitalowi.

– Nadwykonania to problem głównie 2009 roku. Rok wcześniej szpitale walczyły wyłącznie o wyższą wartość punktu, a nie o zwiększenie limitów wykonywania zabiegów na kolejny rok. Innymi słowy: walczyły o to, by pracować drożej, a nie więcej. Gdy w 2009 roku zorientowały się, że dalszej podwyżki kwot wypłacanych za jeden punkt nie będzie, zaczęły grać nadwykonaniami – wyjaśnia Edyta Grabowska-Woźniak.

Dowód? Lawinowy wzrost procedur ratujących życie w drugim półroczu 2009 roku, bo NFZ może przycinać limity zabiegów planowanych, ale za leczenie pacjenta trafiającego na ostry dyżur musi zapłacić. I tak Szpital Wojewódzki w Jeleniej

Górze w ciągu jednego miesiąca (z września na październik 2009 roku) dokonał skoku rozliczania nadwykonanych ratujących życie z 8 do 32 procent. Szpital powiatowy w Wołowie – z 35 do 71 procent. Szpital powiatowy w Oleśnicy – z 9 do 48 procent!

Natomiast spory o nadwykonania wykonywane w trybie zwykłym przeniosły się do sądu. Tylko we wrześniu ubiegłego roku aż 112 szpitali złożyło pozwy sądowe przeciw NFZ na łączną kwotę 172 milionów złotych. I tu kolejny absurd: sądy stają po stronie szpitali, podczas gdy Najwyższa Izba Kontroli w raporcie z listopada 2009 roku stwierdza, że NFZ płaci za nadwykonania bezprawnie, bo „nie ma przepisów pozwalających na płacenie za usługi medyczne wykonane ponad limity”.

Co w takiej sytuacji robi NFZ? Tnie wszędzie, gdzie tylko się da. Nierazko na wyrost, bo jako instytucja płatnicza jest pozbawiony możliwości kontroli tego, →

Na co idą pieniądze z NFZ

Podział według planu finansowego NFZ na rok 2009

55 066 155 000 zł

– koszty świadczeń zdrowotnych ogółem, w tym:

- podstawowa opieka zdrowotna (przychodnie rejonowe) 7 176 358 000 zł
- ambulatoryjna opieka specjalistyczna (przychodnie specjalistyczne) 4 375 642 000 zł
- leczenie szpitalne 25 623 642 000 zł
- refundacja leków 7 778 586 000 zł
- opieka psychiatryczna i leczenie uzależnień 1 990 773 000 zł

● rehabilitacja lecznicza 1 766 483 000 zł

● leczenie stomatologiczne 1 958 243 000 zł

● koszty realizacji zadań zespołów ratownictwa medycznego 1 730 500 000 zł

● uzdrowiska, transport sanitarny, sprzęt ortopedyczny i inne 3 318 892 000 zł

DANE NFZ

Podwyżki pensji lekarzy

Wzrost nakładów na służbę zdrowia po wejściu w życie ustawy z 22.07.2006 r. o przekazaniu środków finansowych świadczeniodawcom na wzrost wynagrodzeń

WYSZCZEGÓLNIENIE	ROK 2006	ROK 2007	ROK 2008
koszty świadczeń zdrowotnych (ogółem)	35 965 837 000 zł	40 122 979 000 zł	49 348 746 000 zł
w tym wyłącznie na podwyżki dla personelu medycznego (ogółem)	989 215 000 zł	4 567 575 000 zł	4 840 342 000 zł
a. podstawowej opieki zdrowotnej (przychodni rejonowych)	0 zł	718 664 000 zł	707 543 000 zł
b. szpitali	613 358 000 zł	2 550 806 000 zł	2 843 546 000 zł

DANE NFZ

→ w jaki sposób wydawane są pieniądze. Ile funduszy z kontraktów idzie na leczenie, a ile na placebo? Czy limity są wykorzystywane rzetelnie? Czy nie ma nadużyć z nadwykonaniami? Z założenia jest więc nieufny i w efekcie mamy takie kwiatki jak obcięcie Szpitalowi Wojewódzkiemu w Bielsku-Białej kontraktu na 2010 rok o 10 procent, choć to jedyna placówka na Podbeskidziu, do której trafiają narciarze po urazach na stoku, a której na ich obsługę nie wystarczył nawet dotychczasowy budżet. A co dopiero po cięciach?

Przepaść między żądaniami placówek zdrowia a możliwościami NFZ jest więc strukturalna. Bez dokonania zmian w systemie zarządzania finansami przeznaczanymi na ochronę zdrowia śpiewka o braku pieniędzy będzie powracać pod koniec każdego roku jak refren. – Oczywiście, że bylibyśmy w stanie wykonywać dwa razy więcej zabiegów, niż pozwala nam na to kontrakt z NFZ – mówi Kamila Wicińska, rzecznik dwóch bydgoskich szpitali uniwersyteckich, których zadłużenie przekracza sto milionów złotych, a kolejki na zabiegi liczone są w miesiącach. – Wiadomo jednak, że pieniędzy więcej nie będzie, więc rozpoczęliśmy racjonalizację kosztów poprzez połączenie procedur medycznych w obu szpitalach czy stworzenie wspólnej kliniki zabiegów jednodniowych.

Inaczej mówiąc, bez takiej kompromisowej postawy obu stron – szpitali i NFZ – zasypanie dziury nadwykonaniem nie jest możliwe.

Dziura czwarta: kolejki

Oczywistą konsekwencją nadwykonania są wydłużające się kolejki do specjalistów i na zabiegi planowane. Bo skoro placówki pieniądze kończą się na długo przed końcem roku, to zaplanowane na czwarty kwartał wizyty i zabiegi są przesuwane na następny rok. Tym samym nowy limit jest już na starcie obłożony zaległymi świadczeniami. Z doniesień o długości kolejek w służbie zdrowia można ułożyć swoją listę rekordów.

Na pilną operację zastawki serca w Szpitalu Uniwersyteckim imienia doktora Antoniego Jurasza w Bydgoszczy czeka się 190 dni. W Klinice Traumatologii, Ortopedii i Chirurgii Ręki Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu oczekiwanie na przeszczep kości wynosi dwa lata. Tyle samo trzeba czekać na leczenie wirusowego zapalenia wątroby typu C w Poradni WZW Zawady w Poznaniu. W szpitalu MSWiA w Łodzi najbliższy termin usunięcia ząbny to rok 2011. W Opolu szpital wojewódzki zapisuje pacjentów na endoprotezoplastykę stawu biodrowego lub kolanowego na rok 2013 roku. Nie mówiąc już o opisanym pod koniec ubiegłego roku przez „Gazetę Wyborczą” przypadku

Utrzymywanie fikcji bezpłatnej opieki zdrowotnej jest utrzymywaniem obywatela w lęku, że na izbie przyjęć odeślą go z kwitkiem

55-letniego pacjenta z Pogwizdowa, któremu na wszczęcie endoprotezy stawu kolanowego w Szpitalu Specjalistycznym imienia Świętej Rodziny w Rudnej kazano poczekać... siedem lat i siedem miesięcy.

NFZ tłumaczy się enigmatycznie, że „w kwestii zarządzania kolejkami ze środków UE były realizowane różne projekty”. Wygląda na to, że pieniądze te wyrzucono do kosza, bo w sprawie kolejek zamiast lepiej jest coraz gorzej. I to oburza najbardziej, bo skoro płacimy tak wysokie składki zdrowotne (patrz dziura szósta: składki), to mamy prawo oczekiwać, że w razie potrzeby będziemy leczeni, a nie odsyłani na ogon liczonej w miesiącach, a nawet latach kolejki.

Jeśli choremu na serce człowiekowi każe się czekać pół roku na operację zastawki, a choremu na zapalenie wątroby typu C prowadzące do jej marskości albo raka dwa lata, to prędzej może on umrzeć, niż doczekać leczenia. W takiej sytuacji mimo płacenia na publiczną służbę zdrowia zaczyna się zapożyczać i leczyć prywatnie. W 2008 roku na prywatne leczenie przeznaczaliśmy 28 miliardów złotych (czyli ponad 700 złotych na statystycznego Polaka), przy czym na stomatologów i ginekologów wydajemy dziś prywatnie dwa razy więcej, niż płaci NFZ. Może więc warto spojrzeć prawdzie w oczy. Jeśli polska służba zdrowia jest finansowo niewydolna, to może uczciwiej byłoby, gdyby NFZ, a wraz z nim Ministerstwo Zdrowia (czyli de facto rząd) przyznali, że bez dodatkowych ubezpieczeń nie ma szans na skrócenie kolejek. Utrzymywanie fikcji bezpłatnej, gwarantowanej przez konstytucję opieki zdrowotnej jest

w rzeczywistości utrzymywaniem obywatela w lęku, że na izbie przyjęć odeślą go z kwitkiem. Tym samym kolejki to bardzo kosztowna dziura polskiej służby zdrowia, którą państwo każe latać podatnikom z ich własnej kieszeni.

Dziura piąta: leki

8 miliardów złotych – tyle w 2009 roku NFZ wydał z naszych składek na refundację leków. Olbrzymia jest nie tylko wysokość kwoty, ale także skala nieprawidłowości, które dotyczą segmentu leków. Na rządowej konferencji podsumowującej dwa lata rządzącego PO szef Śląskiego Centrum Chorób Serca profesor Marian Zembala przestrzegł przed niekontrolowaną refundacją leków. Przywoływał przykład izofluranu, leku stosowanego w anestezji, którego jedna ampulka kosztuje w Polsce 700 złotych, a w sąsiednich Niemczech – kilkanaście euro. Podobnie jego zdaniem wygląda sytuacja z paskami cukrzycowymi, kilkakrotnie droższymi w Polsce niż na Słowacji. – Z powodu tak zawyżonych cen w minionym roku tylko w moim regionie, na Śląsku, NFZ wydał na leczenie cukrzycy o 160 milionów złotych więcej – ostrzega profesor.

W resorcie zdrowia huczy od plotek na temat iwabradyny. Sprawa stała się głośna, gdy ogłoszono, że negocjacje dotyczące wpisania leku na listę refundacyjną odbywały się na terenie krakowskiej kurii. W związku z tym prokuratura chce przesłuchać samego kardynała Stanisława Dziwisza. Nie to jednak nadaje smaczku całej sprawie, lecz to, że iwabradyna jako lek refundowany kosztowała 220 złotych. Natomiast gdy została wykreślona z listy refundacyjnej, jej cena spadła do 70 złotych. To zaś oznacza, że za każde opakowanie leku NFZ przepłacał 150 złotych!

Polityka lekowa i ustalanie list refundacyjnych to kompetencje Ministerstwa Zdrowia. – Nowelizacja list refundacyjnych zgodnie z prawem powinna odbywać się co najmniej cztery razy w roku. Na tę, która miała ukazać się w lipcu 2009, czekaliśmy aż do grudnia. Dla porównania w Danii takie zmiany ogłaszane są co dwa tygodnie – mówi Andrzej Tarasiewicz, prezes Związku Pracodawców Hurtowni Farmaceutycznych.

– Obowiązek publikacji czterech list w ciągu roku odziedziczyliśmy po poprzednikach, którzy też mieli problem z dotrzymaniem terminów. Uaktualnienie listy refundacyjnej wymaga żmudnych procedur prawnych. W 2010 roku, po nowelizacji ustawy refundacyjnej i prawa farmaceutycznego, listy będą ogłaszane nie w drodze rozporządzeń jak dziś, ale obwieszczeń, co powinno znacznie skrócić czas procesowania – tłumaczy rzecznik resortu zdrowia Piotr Olechno.

Czas publikacji to jednak tylko połowa problemu. Drugą jest zawartość list. Krzysztof Łanda, specjalista od technologii medycznych i farmakologii, w „Pulsie Medycyny” (listopad 2009) mówi wprost: „Włos mi się jeży na głowie, jak widzę, że decyzje – wydawałoby się – oczywiste, zwłaszcza w dobie kryzysu, kiedy ministerstwo wciąż mówi o braku środków i konieczności szukania oszczędności, są odwlekane z nieznanych przyczyn, których mogę się tylko domyślać. Brakuje odpowiedniej liczby pracowników, którzy profesjonalnie zajmowałoby się polityką cenową, negocjacjami cen z przemysłem, monitorowali ceny w Polsce i porównywali je z cenami leków z zagranicy. Na obecnych listach refundacyjnych jest mnóstwo, jak ja to nazywam, »zgnitych kartofli«”.

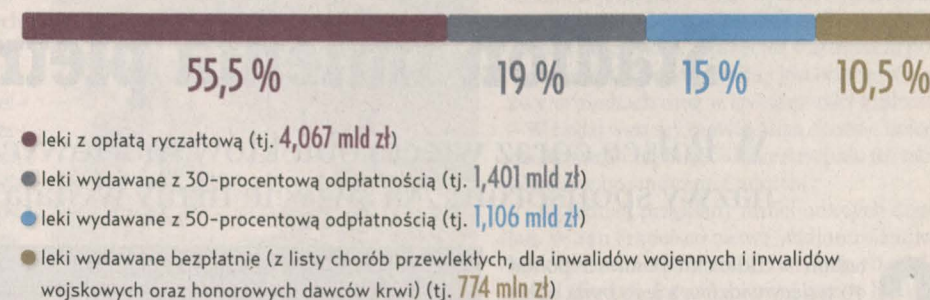
– Oczywiście, że porównujemy ceny leków. Stale współpracujemy z Węgrami, którzy prowadzą bazę cen leków dla krajów UE. Przeplacanie to już historia – zapewnia enigmatycznie pracownik gabinetu wiceministra zdrowia Marka Twardowskiego odpowiedzialnego za politykę lekową, do którego zwróciliśmy się z pytaniem o wyjaśnienie refundacyjnych niejasności.

To jednak wciąż żywa historia, bo wystarczy sięgnąć po listopadowy numer „Aptekarza”, który zamieszcza „Studium na temat wzrostu cen leków z chwili ich refundacji”. W roku 2009 takich leków jest wymienionych aż 28. Listę otwiera aziteva, której cena po refundacji wzrosła o 102 procent (z 17,79 zł do 35,94 zł) po fentanyli ze skokiem refundacyjnym 19,9 procent (z 217,60 zł do 260,93 zł). Co ciekawe, niektóre z wymienionych na tej liście specyfików można znaleźć w tabeli 25 leków generujących najwyższe koszty refundacyjne sporządzonej przez NFZ w raporcie „O wydatkach z tytułu refundacji leków” (kwiecień 2009).

Jeśli więc kogoś dziwi, że na refundację leków wydajemy coraz więcej, bo kwota skoczyła z blisko 6,7 miliarda złotych w 2006 do prawie 8 miliardów w roku 2009, to powinien wziąć pod lupę listy refundacyjne. Według publikacji „Pharmaceutical Pricing and Reimbursement Information” przygotowanej przez austriacki instytut leków w 2008 roku „dopłaty pacjentów do leków w Polsce są najwyższe wśród 27 krajów UE”.

Minister Kopacz na podsumowaniu dwóch lat szefowania resortowi zapewniała, że rozwiązanie problemu przyniesie przygotowywana ustawa refundacyjna. Owszem, jej założenia są już gotowe, ale przede wszystkim dotyczą usztywnienia cen leków refundowanych i obniżenia marż dla aptek oraz hurtowni farmakologicznych. Co swoją drogą też jest potrzebne, gdyż będzie służyć okiełznaniu

Refundacja leków w 2008 roku, jeśli chodzi o rodzaj odpłatności



rozpisanego rynku farmaceutycznego. Leki za grosz, którymi reklamują się apteki, to w rzeczywistości głębsze sięgnięcie do kieszeni pacjenta. Bo są to głównie leki ryczałtowe, czyli takie, za które pacjent płaci stałą kwotę paru złotych, a resztę dofinansowuje NFZ. Jeśli jednak można dany lek kupić za grosz (głównie cukrzycowe i astmatyczne), to ich sprzedaż rośnie lawinowo, a NFZ wydaje na leki objęte opłatą ryczałtową ponad połowę pieniędzy przeznaczonych na refundację (patrz wykres: refundacja leków w 2008 roku).

Rozchwiana sytuacja rabatowa doprowadziła do tego, że apteki zaczęły wyrostać w Polsce jak grzyby po deszczu. Mamy 14 tysięcy aptek, co oznacza, że na jedną przypadającą 2,3 tysiąca klientów, podczas gdy średnia europejska zapewniająca rentowność to 4–5 tysięcy osób na jedną aptekę. Skoro jednak w Polsce można nieźle żyć, sprzedając leki za grosz, nic dziwnego, że staliśmy się aptekarskim eldorado.

Konieczność szybkiej reformy refundacji potwierdza także raport firmy ubezpieczeniowej EulerHermens z grudnia 2009 roku poświęcony rynkowi farmaceutycznemu. Wynika z niego, że w ciągu najbliższych 30 lat podwoi się liczba osób w wieku powyżej 65 lat, a właśnie ta grupa wiekowa zużywa średnio trzy razy więcej produktów medycznych niż reszta populacji. I są to głównie leki refundowane stosowane do końca życia (jak leki kardiologiczne czy reumatologiczne).

Ile pieniędzy wycieka z NFZ wraz z niekontrolowaną refundacją leków? Tego nie wie nikt. Wiadomo za to, że kilka decyzji dotyczących fachowej weryfikacji list refundacyjnych i likwidacja nieprawidłowości w sprzedaży leków mogą tę dziurę przynajmniej częściowo załatać.

Dziura szósta: składka zdrowotna

Każdy płacący podatki Polak oddaje co miesiąc 9 procent swoich dochodów na składkę zdrowotną. Przy czym 7,75 odliczane jest od zaliczki na podatek dochodowy, a 1,25 procent bezpośrednio od dochodów. Przy zarobkach wynoszących 5 tysięcy złotych brutto to 388 złotych miesięcznie.

Gorzka prawda jest jednak taka, że to haracz płacony wyłącznie przez osoby zatrudnione na etatach oraz przez emerytów i rencistów. 1,8 miliona osób prowadzących działalność gospodarczą (dane ZUS) ma prawo korzystać z możliwości opłacania najniższej składki zdrowotnej, która obecnie wynosi 224,24 zł.

Kolejne 1,7 miliona to rolnicy ubezpieczeni w Kasie Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego. Roczny wkład KRUS do kasy NFZ zamyka się w granicach czterech miliardów złotych, tyle że są to pieniądze pochodzące nie z rolniczych dochodów, lecz z budżetu państwa, czyli z podatków tych, którzy i tak słono na służbę zdrowia płacą. Dlaczego? Ano dlatego, że rolnicy w Polsce nie płacą podatku dochodowego, więc nie ma im z czego odliczać.

KRUS z własnych składek płaci jedynie za rolniczych emerytów i rencistów oraz za rolników prowadzących działalność gospodarczą (na przykład przetwórstwo rolne). To jednak nie więcej niż kilkanaście procent sumy, jaką na leczenie rolników wydajemy jako podatnicy. Nie mówiąc o tym, że ich składka obliczana jest na podstawie ceny kwintala żyta, a jako że ta w trzecim kwartale 2009 roku znacznie spadła, to i wpływy ze składki zmalały, co zagroziło NFZ dziurą wielkości półtora miliarda złotych w 2010 roku.

Obciążenie „9-procentowych” podatników na tym nie koniec. Muszą także zafundować opiekę zdrowotną bezrobotnym, których jest półtora miliona. Czy w takiej sytuacji można marzyć o poprawie komfortu publicznego leczenia w Polsce? O sprawiedliwości społecznej nie wspominając?

Stare powiedzenie, że błąd na wejściu oznacza błąd na wyjściu, w przypadku służby zdrowia sprawdza się w stu procentach. Zaczyna się od nierówności w pobieraniu składek zdrowotnych, a kończy na źle kontrolowanej refundacji leków, nadwykonaniach i problemach z pensjami lekarzy. Prawdziwa reforma zdrowia mająca na celu poprawę kondycji finansowej, a tym samym jakości naszego leczenia, powinna objąć więc wiele działań. Jak w przysłowiu: ziarno do ziarnka, a zbierze się miarka. □

WZROST WYDATKÓW NA REFUNDACJĘ LEKÓW	
rok 1999	3 523 310 550 zł
rok 2000	4 506 572 660 zł
rok 2001	5 182 876 960 zł
rok 2002	5 463 081 290 zł
rok 2003	6 355 658 910 zł
rok 2004	6 118 389 040 zł
rok 2005	6 323 263 840 zł
rok 2006	6 690 066 730 zł
rok 2007	6 719 002 630 zł
rok 2008	7 349 209 990 zł
rok 2009	7 778 586 000 zł

dane NFZ

Stadion imienia pietruszki

W Polsce coraz więcej obiektów sportowych zawdzięcza nazwy sponsorom. Na świecie firmy wydają na to miliony

Stadion w Gdańsku pomieści ponad 40 tysięcy widzów, a jego bryła obłożona tysiącami brązowych płytek będzie niczym wielki bursztyn. – Na rozpisany przez władze miejskie konkurs pełne oferty złożyły Lotos oraz Polska Grupa Energetyczna. Propozycja PGE była najatrakcyjniejsza finansowo: w sumie 35 milionów złotych przez pięć lat to dobra cena. Porównywalna, z zachowaniem proporcji, z wartością podobnych umów zawieranych w Niemczech – mówi Michał Kruszyński, rzecznik miejskiej spółki Biuro Inwestycji Euro Gdańsk 2012 o rozstrzygnięciu 10 grudnia konkursie.

Urzednicy, by przygotować zainteresowanym profesjonalny pakiet sponsorski, zbierali doświadczenia w Niemczech, odwiedzili między innymi Commerzbank-Arenę we Frankfurtu, na której gra Eintracht. – PGE oprócz nazwy otrzyma prawo do umieszczania logo na elewacji, prowadzenia działań marketingowych na stadionie, będzie miała do dyspozycji łóżce VIP-ów, a pozostałe szczegóły zostaną uzgodnione w najbliższym czasie – informuje Kruszyński. Na budowę gdańskiego stadionu miało wydać ponad 520 milionów złotych, a koszty późniejszego utrzymania to 10–12 milionów rocznie, w tym 7 milionów od sponsora nazwy.

W Polsce pomysły sprzedawania nazw obiektów sportowych rozkwitły właśnie z okazji przyznania naszemu krajowi organizacji piłkarskich mistrzostw Europy w 2012 roku oraz europejskich czempionatów w koszykówce czy siatkówce, choć już w 2006 roku pobudowaną w Kaliszu halę nazwano Winiary Arena, a od firmy telefonicznej Dialog swoją nazwę wziął stadion Zagłębia Lubin. W obu przypadkach nazwa narzucała się sama.

Władze Kalisza zaproponowały umowę Winiarom, bo to największa firma w okolicy.



Allianz Arena w Monachium przynosi firmie podwójną korzyść, bo grają tam dwa kluby



Stadion w Chicago od ponad 80 lat nazywa się Wrigley Field, a na ten pomysł wpadł magnat gumy do żucia

Z kolei klub z Lubina jest własnością koncernu miedziowego KGHM, a ten ma sto procent akcji Telefonii Dialog. Może więc w tym ostatnim przypadku cele promocyjne były przykrywką dla zwykłego finansowania klubu? – Nie – mówi Marta Pietranik-Pacula, rzecznik Telefonii Dialog. – Byliśmy pierwszą polską firmą, która kupiła, w lutym 2009 roku, prawa do tytułu stadionu piłkarskiego. Była to pionierska, oryginalna i prestiżowa forma reklamy, stąd decyzja.

Nazwa się opłaca

– Stadion ma się nazywać jak stadion, a nie jak gorzalka – powiedział Ford Frick, szef amerykańskiej ligi baseballowej, gdy w 1953 roku obiekt St. Louis Cardinals zmienił nazwę na Budweiser (Busch) Stadium. – Ale to my dajemy pieniądze – odrzekł spadkobierca Adolpha Buscha, twórcy potęgi browaru. Tak tworzyły się *naming rights*, czyli technika marketingowa polegająca na wprowadzeniu nazwy firmy do nazwy stadionu lub hali sportowej.

Magnat gumy do żucia William Wrigley Jr. jednocześnie twórca finansowej potęgi baseballu w Ameryce, prawdopodobnie pierwszy zastosował *naming rights*. W 1926 roku stadion, na którym grali Chicago Cubs oraz futboliści Chicago Bears, jeden z najważniejszych obiektów tej dyscypliny, został nazwa-

ny Wrigley Field. Teraz ponad 80 ze 120 klubów Big Leagues (NFL – futbol, NBA – koszykówka, MLB – baseball oraz NHL – hokej) gra na stadionach lub w halach, które noszą nazwy przedsiębiorstw.

W 1991 roku linie lotnicze America West Airlines kupiły prawo do nazwy nowej hali, w której mecze rozgrywali koszykarze Phoenix Suns. Za rok płacono 550 tysięcy dolarów. Dwa lata później drużyna zmierzyła się w finale NBA z Chicago Bulls Michaela Jordana. 30-sekundowy spot reklamowy emitowany podczas transmisji spotkania kosztował 300 tysięcy dolarów.

W USA ponad 200 wieloletnich kontraktów na *naming rights* wartych jest ponad trzy miliardy dolarów. – Każdy zainwestowany w to dolar to 42 dolary wydane na klasyczną reklamę – mówią badacze z amerykańskiej agencji Performance Research.

W Europie na monachijskiej Allianz Arenie (sponsorem jest towarzystwo ubezpieczeniowe) grają dwa miejscowe kluby – Bayern oraz TSV 1860. Oba rozgrywają w sezonie po 17 meczów ze średnią (odpowiednio) 67 i 35 tysięcy widzów. Do tego dochodzą spotkania pucharowe oraz towarzyskie, a także koncerty i inne imprezy. Sponsor ma więc zagwarantowaną wielotysięczną widownię kilkadziesiąt razy w roku.

Emirates Stadium londyńskiego Arsenalu (sponsorem są linie lotnicze z Emiratów Arabskich) podczas każdego z 19 meczów ligowych odwiedza 60 tysięcy kibiców. Za taką promocję sponsor w ciągu 13 lat zapłaci sto milionów funtów. Już teraz trzy angielskie kluby – Chelsea Londyn, Tottenham Hotspur oraz Liverpool FC – zdecydowały się na budowę nowych stadionów obliczonych na blisko 60 tysięcy widzów każdy. I bez wątpienia znajdą sponsorów, którzy nadadzą im nazwy. Przychody z *naming rights* najważniejszych lig europejskich cztery lata temu wynosiły bowiem 13 milionów euro, a w 2009 roku były już 72 miliony.

Gdzie sponsor, tam arena

W Łodzi mieszcząca 14 tysięcy widzów hala od sierpnia 2009 roku nosi nazwę Atlas Arena. – Przeprowadziliśmy przetarg – wyjaśnia Krzysztof Lipiński, zastępca dyrektora wydziału sportu łódzkiego magistratu. – Oferta firmy Atlas była zadowalająca. Głównym celem było zagwarantowanie odpowiednich pieniędzy, które zrekompensują koszty utrzymania.

– Umowę zawarto na pięć lat, Atlas zapłacił miastu pięć milionów złotych – dodaje Dariusz Gałązka, prezes miejskiej spółki zarządzającej obiektem. – To dobre pieniądze, choć zawsze chciałoby się więcej. Jeśli jednak Porsche płaci za nazwę hali w Stuttgarcie do dwóch milionów euro rocznie, to kontrakt zawarty w Łodzi mieści się w granicach rozsądku. Dajemy Atlasowi nazwę, dwa wielkie billboardy w środku hali oraz dwa napisy przy wejściach, tablice reklamowe, a także prawo do wykorzystania nazwy hali i jej znaków w firmowych działaniach marketingowych.



Po przetargu nowa hala w Łodzi nazywa się Atlas Arena

Podobno Atlas zamierza umieścić informację o sponsorowaniu hali na opakowaniach swoich produktów budowlanych – opowiada Gałązka.

Tegoroczne mistrzostwa świata w kolarstwie torowym odbyły się w Polsce w Pruszkowie na krytym torze BGŻ Arena. – Strategicznie wspieramy kolarstwo – mówi Małgorzata Zdzienicka, dyrektor departamentu społecznej odpowiedzialności biznesu i sponsoringu BGŻ. – Ta dyscyplina jest dostępna dla wszystkich, rodzinna, a to jest związane z wizerunkiem Banku BGŻ SA. Mistrzostwa świata transmitowane były na cały świat i obecność promocyjna BGŻ była dla banku takim



Bank wspiera kolarstwo, bo to sport rodzinny, dlatego w Pruszkowie jest tor BGŻ Arena

kick off [wybicie rozpoczynające grę w futbolu amerykańskim – przyp. red.] – dodaje dyrektor (kolarstwo sponsoruje też holenderski Rabobank, z którym BGŻ jest związany kapitałowo). Mieszczą ponad trzy tysiące widzów tor pokryty drewnem z sosny syberyjskiej zbudowany został na przekazanej przez miasto ziemi z funduszy Ministerstwa Sportu i jest własnością Polskiego Związku Kolarskiego.

Generalnie bez modelu

Naming rights są więc w Polsce coraz powszechniejsze. Firmy mogą się promować w nowy sposób, a właściciele stadionów i hal otrzymają zastrzyk gotówki. W Polsce powstaną wkrótce cztery nowe stadiony budowane z myślą o Euro 2012: Narodowy w Warszawie, obiekty w Gdańsku, we Wrocławiu oraz w Poznaniu. Staną też stadiony Legii Warszawa, Cracovii, zmodernizowane będą obiekty Wisły Kraków oraz Stadion Śląski w Chorzowie.

Stadiony w Gdańsku, we Wrocławiu i w Poznaniu będą obiektami miejskimi, obiekt w Warszawie to własność Skarbu Państwa. Czy ich nazwy czekają na sprzedaż? „Kwestia *naming rights* jest elementem szerszego modelu biznesowego związanego ze sposobem zarządzania, który musi zostać wybrany dla Stadionu Narodowego” – odpowiada mi na piśmie Rafał Kapler, prezes Narodowego Centrum Sportu. Dodaje, że obiekt ma nieporównywalny z żadnym innym polskim stadionem potencjał. „Wiedząc, jaka jest wartość praw do nazwy, właściciel (Skarb Państwa) może podjąć decyzję o wyborze konkretnego modelu – przykłady światowe wskazują, że może to być zarówno sprzedaż nazwy, jak i tytuł generalnego partnera” – wyjaśnia Kapler (tak jest w przypadku Wembley, gdzie partnerem jest odzieżowa firma Umbro). Najprawdopodobniej pozostałe trzy stadiony przygotowywane na Euro też będą miały nazwy sponsorów. Tak mówią nieoficjalnie samorządowcy z tych miast, ale żadne decyzje zmierzające w tym kierunku nie zapadły.

Jest zresztą jeden szkopuł – podczas meczów na Euro 2012 nie będzie można eksponować nowych nazw stadionów. Według przepisów UEFA na stadionach i wokół nich można pokazywać wyłącznie znaki sponsorów mistrzostw. Dlatego za dwa lata nie ujrzemy

na gdańskim stadionie wielkiego napisu PGE Arena, a jego nazwa nie będzie wymieniana w oficjalnych sprawozdaniach europejskiej federacji piłkarskiej. A przecież warunkiem powodzenia akcji sponsorskiej jest obecność nazwy w mediach oraz w świadomości kibiców. – W Łodzi wszyscy mówią Atlas Arena – twierdzi Krzysztof Lipiński. Kibice Arsenalu też mówią o swoim stadionie Emirates.

Są jednak przykłady mniej udanych działań. W San Francisco nazwę stadionu Candlestick Park zamieniono na 3Com Park. – Ludzie nadal używali dotychczasowej nazwy lub potocznej The Stick. Bo tak jest od trzech dekad. Potem podpisano umowę z producentem kabli Monster Cable, a mimo to kibice i tak powtarzali starą nazwę – tłumaczy Sam Hollis, amerykański specjalista marketingu sportowego.

Podobnie kibice angielskiego Leicester City odrzucili nazwę Walkers Bowl, mówiąc, że idą oglądać mecz na Filbert Way. Inny przykład to stadion InvestCo Pole – można grozić



W Lubinie jest pionierska Dialog Arena, choć więcej się na niej kopie, niż mówi

śmiercią mieszkańcom Denver, on i tak będzie powtarzał Mile High (dzielnica miasta i zwykła nazwa). A już naprawdę przesadzili szefowie angielskiego klubu Newcastle, którzy swój stadion, jeden z najstarszych na Wyspach, próbowali nazwać Sportsdirect.com@St James' Park, za co zapłacił sklep ze sprzętem sportowym. Wściekłość fanów była tak wielka, że pomysłodawcy musieli się wycofywać.

Negocjacje nad murawą

Dobrze skonstruowana umowa *naming rights* daje zyski obu stronom – właścicielom zapewnia pieniądze na utrzymanie, a sponsorom daje rozgłos, wzrost świadomości marki, możliwość prowadzenia wielu akcji marketingowych oraz lepszą sprzedaż swoich produktów. W dodatku właściciel nazwy ma na stadionie łóżce, do których może zaprosić własnych gości i podczas meczu, w odpowiedniej atmosferze prowadzić biznesowe rozmowy.

Jeden wniosek nasuwa się tu nieodparcie – przyjmują się przede wszystkim nazwy nowych stadionów. I choć *pecunia non olet*, zwolennicy tradycji nie wyobrażają sobie jednak, by nazwę mogły zmienić tak znane stadiony, jak Wembley w Londynie, Santiago Bernabéu w Madrycie czy Maracanã w Rio de Janeiro. I dobrze.

Strach ma piękne oczy. Zanim europeizujemy, oni nas zislamizują – prorok pesymiści. Na zdjęciu: Claudia Schiffer zalewającą w spreju, Manche

CLAUDIA SCHIFFER
L'ORÉAL
PARIS

Because I'm worth it.

NIE MA EUROPY BEZ MUŻULMANÓW

WBREW ŻYCZENIU WIELU EUROPEJCZYKÓW ISLAM Z EUROPY NIE ZNIKNIJE.
ZAMIAST NIM STRASZYĆ, LEPIEJ ZACZĄĆ Z NIM ROZMAWIAĆ

Pewnego poranka 1979 roku 10-letni Ahmed Marcouch ostatni raz w życiu przywiózł na ośle wodę z sąsiedniej wsi gdzieś na północy Maroka, pierwszy raz w życiu wsiadł najpierw do samochodu, potem do samolotu i po kilku godzinach lotu zobaczył zachodnią cywilizację. Nie umiał ani pisać, ani czytać i znał tylko język arabski. 27 lat później został pierwszym w historii Holandii muzułmańskim burmistrzem (amsterdamska dzielnica Slotervaart), a w roku 2009 dostał tytuł samorządowca roku. Ahmed Marcouch przekonuje, że pełna pokojowa asymilacja muzułmanów jest w Europie możliwa.

Strach

Jeden z adwersarzy Marcoucha Geert Wilders porównuje Koran do „Mein Kampf” i żąda objęcia świętej księgi muzułmanów za-

MNIEJSZOŚCI MACIEJ JARKOWIEC

kazem. Chce wprowadzić selektywną imigrację – obywatele krajów muzułmańskich nie mieliby wstępu do UE. Muzułmanki mają płacić „podatek od zanieczyszczania przestrzeni publicznej” za noszenie chusty na głowie. Geert Wilders mówi: „Jesteśmy w ostatniej fazie islamizacji Europy”. Jego Partia Wolności zdobyła w zeszłorocznych wyborach do Parlamentu Europejskiego 17 procent głosów holenderskich

wyborców, co uczyniło ją drugą siłą polityczną w kraju.

Badania pokazują, że z poglądami Wildersa zgadza się 40 procent Holendrów. Ponad 80 procent Niemców kojarzy islam przede wszystkim z radykalizmem, terroryzmem i opresją kobiet. 57 procent Szwajcarów głosuje w referendum za zakazem budowy minaretów, mimo że z czterech już istniejących nie wolno odtwarzać nawoływania

imama przez głośniki, a większość szwajcarskich muzułmanów przyjechała z Bałkanów, czyli z Europy. Plakat kampanii zwolenników zakazu pokazywał czarną postać w burce na tle ustawionych pionowo ni to rakiet, ni to minaretów i wielki napis: „Stop”.

Vincent Geisser z francuskiego Narodowego Instytutu Badań Naukowych (CNRS) uważa, że Europa weszła w fazę złożonego niepokoju. Jego źródeł należy szukać w kryzysie ekonomicznym, globalizacji, masowej imigracji, terroryzmie, spadającym przyroście naturalnym rdzennych Europejczyków i coraz większej podległości państw narodowych względem rozszerzającej się Unii.

Imigracja

To ojciec zabrał Ahmeda Marcoucha z osła i przywiózł do Amsterdamu. On sam odbył podobną podróż kilka lat wcześniej, gdy jego sąsiad przywiózł mu imienny kontrakt na pracę we francuskiej kopalni. Takie kontrakty dostali prawie wszyscy mężczyźni we wsi. Otwierając granice, Europa nie kierowała się humanitarnymi ideami integracji kultur czy spłaty postkolonialnych długów moralnych, tylko czystym interesem. Rozwijająca się w zawrotnym tempie gospodarka zachodnioeuropejska potrzebowała tanich rąk do pracy i wywoziła z północnej Afryki i z Turcji całe wsie. Ojciec Marcoucha z francuskiej kopalni trafił do belgijskich hoteli, gdzie sprzątał pokoje, by potem awansować na tragarza na amsterdamskim lotnisku Schiphol. Tam zastała go recesja lat 80. i do emerytury dotrwał na zasłanku. Wtedy była już z nim w Holandii cała rodzina. Mieszkali w amsterdamskiej dzielnicy Slotervaart, jednej z dziesiątek imigranckich enklaw, w które zamieniły się robotnicze części zachodnich metropolii.

Gdy w drugim pokoleniu przybyszów kształtowała się nowa, euro-muzułmańska tożsamość, gdy wielu z nich Koran zamieniało na uciechy zachodniej popkultury, a baraninę halal na big maca, w Nowym Jorku runęły wieże WTC i w jednej chwili wiara imigrantów urosła do kwestii dla Europy kluczowej. Jak opowiada reporterowi „The New Yorkera” popularna w Holan-

Fabryka w Bradford: modlitwa zamiast herbatki. Część angielskich pracowników uszanowała religijność muzułmańskich robotników

dii aktorka tureckiego pochodzenia Funda Mijde: „Kiedyś byłam znana jako »ta turecka artystka kabaretowa«. Po 11 września zostałam »muzułmańską artystką kabaretową«. A Youcef Mammerti, francuski publicysta i członek Połączonej Rady Muzułmanów Marsylii, zauważa: „10 lat temu wśród francuskich muzułmanów toczyła się zażarta debata na temat asymilacji. Dziś wszyscy mówią jednym głosem, bo wszyscy czują się tak samo atakowani. W oczach większości Francuzów nie ma już zsekularyzowanych muzułmanów, umiarkowanych muzułmanów i radykalnych muzułmanów. Są tylko muzułmanie”.

Asymilacja

W Europie Zachodniej żyje dziś 15–20 milionów muzułmanów (dokładnych danych nie ma, bo w europejskich spisach powszechnych z reguły nie pyta się o religię). Największy odsetek populacji stanowią oni we Francji – około ośmiu procent, dalej są Holandia, Niemcy, Wielka Brytania – od czterech do sześciu procent. Większość z nich mieszka w dużych miastach, dlatego muzułmańska mniejszość w Marsylii czy Amsterdamie składa się na jedną czwartą mieszkańców. Gastarbeiterzy sprowadzani przed 40 laty do ośrodków przemysłowych osiadali w biednych robotniczych dzielnicach, gdzie szybko rozwinęły się sieci zapewniające im wsparcie religijne, kulturowe, dystrybucję żywności halal. Rodziny, które do nich dołączały, łądowały w „małych Marokach”, „małych Turcjach” czy „małych Algieriach”. Jednak teza o autosegregacji mniejszości islamskiej nie jest zgodna ze stanem fak-

tycznym. Ich sytuacja przypomina raczej tę, w jakiej znajdują się Murzyni w gettach amerykańskich miast.

Organizacja Open Society Institute (OSI) przeprowadziła wieloletnie badania socjologiczne wśród muzułmanów 11 zachodnioeuropejskich metropolii. Ich wynikiem jest opublikowany pod koniec zeszłego roku prawie 400-stronicowy raport, w którym można przeczytać między innymi, że dziś większość muzułmanów wolałaby mieszkać w mieszanych dzielnicach. Na przeszkodzie stały bariery socjoekonomiczne, a nie kulturowe. Młodzi wychowani w bezrobotnych rodzinach (fabryki, do których sprowadzono ich ojców, dawno pozamykano) wpadają w zakłętą krąg biedy. Zamieszki na paryskich przedmieściach w 2005 roku nie wybuchły z przyczyn religijnych, tylko z powodu bezrobocia i braku perspektyw. W kultowym filmie „Nienawiść” Mathieu Kassovitz trójka głównych bohaterów, chłopaków z blokowiska uczestniczących w wojnie z policją, to Arab, Żyd i Murzyn. Film powstał w 1995 roku, sześć lat przed wybuchem wojny z terrorem.

Niektórym udaje się wyrwać i ci budują muzułmańską, coraz bardziej zsekularyzowaną klasę średnią, zajmując stanowiska w administracji państwowej, współtworząc elitę artystyczną i intelektualną. Tak jak burmistrz Slotervaart Ahmed Marcouch, były nauczyciel i policjant, który objął to stanowisko z ramienia Partii Pracy.

Raport OSI pokazuje, że muzułmanie są aktywni w tradycyjnych partiach politycznych głównego nurtu i na nie głosują. W żadnym europejskim państwie nie odniosło sukcesu ugrupowanie opierające program na etnicznej i religijnej identyfikacji. W styczniu 2009 roku Ahmed Aboutaleb został drugim po Marcouchu muzułmańskim wódcą holenderskiego miasta – wybrano go na burmistrza Rotterdamu. W brytyjskim parlamencie zasiada kilkunastu muzułmanów, urodzony w Niemczech Turek Cem Özdemir jest szefem niemieckich Zielonych.

Paradoks polega na tym, że Europa z jednej strony oczekuje od muzułmanów pełnej asymilacji, a z drugiej populacji strasza, że owa asymilacja raz na zawsze odmieni europejską tożsamość. Powstaje pytanie: czy to muzułmanie nie chcą się integrować, czy Europejczycy nie pozwalają im na integrację?

Dyskryminacja

„Ani muzułmańska krew przelana we francuskich mundurach na frontach obu wojen światowych, ani pot wylany przez robotników imigrantów podczas budowy powojennego dobrobytu nie zapewnił muzułmanom we Francji statusu pełnych współobywateli” – pisze francuski badacz Gilles Kepel.

Raport OSI stwierdza, że religijna dyskryminacja muzułmanów jest główną barierą w ich pełnym i równym uczestnictwie w społeczeństwie. Urodzeni w Europie mężczyźni z mniejszości islamskiej wskazują policję jako główne źródło niesprawiedliwego traktowania. Dyskryminacja ogranicza ofertę mieszkaniową i utrudnia dostęp do rynku pracy. Prawdopodobieństwo bezrobocia wśród muzułmanów jest trzykrotnie większe niż w reszcie społeczeństwa, choć oczywiście poza dyskryminacją ważną rolę odgrywają tu także czynniki jak wykształcenie, znajomość języków, sieć kontaktów towarzyskich.

55 procent muzułmanów odczuwa, że religijna dyskryminacja nasiliła się w ostatnich pięciu latach. „Skoncentrowanie uwagi mediów na religijnym aspekcie europejskiej imigracji po 11 września 2001 roku przyczynia się do wzmacniania negatywnych stereotypów i uprzedzeń” – piszą badacze z OSI. Poczucie odrzucenia radykalizuje nastroje wśród młodych muzułmanów w Europie. Ahmed Marcouch uważa, że Europa dramatycznie potrzebuje zresetowania debaty na temat swojej muzułmańskiej mniejszości. – Żaden dialog nie przyniesie pozytywnych skutków, jeśli zasada się na negatywnych przesłankach – mówi. – Dziś Europa dyskutuje o tym, co zrobić z „muzułmańskim problemem”, i muzułmanie w Europie coraz silniej odczuwają, że są dla kontynentu →



→ „problemem”. Z jednej strony potrzeba zmiany debaty z religijnej na socjoekonomiczną, a z drugiej europejski islam musi się otworzyć na krytykę.

Tolerancja

A największa krytyka pod adresem mniejszości islamskiej w Europie jest taka, że to ona pozostaje głównym źródłem dyskryminacji na kontynencie. Pytam burmistrza Slotervaart, jaki jest sposób na prowokowanie kulturowych zmian w społecznościach muzułmańskich. Jak wzmacniać rolę kobiet, walczyć z przemocą w rodzinie, z przymuszaniem do małżeństw, z dyskryminacją homoseksualistów?

– Potrzeba liderów – odpowiada.

Przykład daje sam. W sierpniu zeszłego roku Marcouch otwierał paradę gejów, która rokrocznie korowodem kolorowych rzeźbionych barek płynie amsterdamskimi kanałami. Zapowiada otwarcie baru dla homoseksualistów w samym sercu marokańskiej części Slotervaart. Stworzył interwencyjne patrole pracowników społecznych, które reagują na doniesienia o przemocy wobec kobiet i innych problemach muzułmańskich rodzin. W ich szeregach pracują zatrudnione przez niego muzułmanki w chustach na głowach. Te „zholandyzowane islamistki” są jego wysłanniczkami do najbardziej ortodoksyjnych zakamarków dzielnicy, gdzie mają tworzyć grunt pod obalanie kulturowych tabu. Meczet w Slotervaart uchodzi za najbardziej postępowy w kraju – mężczyźni i kobiety modlą się wspólnie, kazania wygłaszane są po holendersku, organizowane są dyskusje międzyreligijne z udziałem chrześcijan.

– Sprawa dla władzy fundamentalna to ochrona prawa jednostki do wyrażania własnej tożsamości – mówi burmistrz. – To dotyczy zarówno ortodoksyjnych muzułmanów, jak i transseksualistów. Granicą osobistej wolności czy – jak kto woli – ortodoksji może być tylko krzywda drugiego człowieka.

Dlatego z jednej strony Marcouch otwiera bar dla muzułmańskich gejów i zachęca ich do ujawniania się, a z drugiej jest przeciwny zakazowi zakrywania głowy chustą w szkołach publicznych, jaki wprowadziła Francja. Chciałby też, aby związek muzułmanów z instytucjami państwa był budowany od najmłodszych lat, choćby przez naukę różnych religii, w tym islamu, w szkołach.

Pytam, czy w warunkach polskich zdejmovalby krzyże ze szkolnych ścian. – Nie. Rola symboli w kraju o tak silnej katolickiej tradycji jest ważna. Kluczowe nie jest to, co wisi nad tablicą, tylko to, czy przedstawiciele mniejszości czują, że państwo otacza ich opieką i strzeże ich prawa do odrębności.

Antysemityzm

Mówienie o „islamizacji europejskiego antysemityzmu”, o czym pisze choćby Andrzej Lubowski w „Gazecie Wyborczej” („Europa przechodzi na islam”, GW, 2–3 stycznia 2010), każe zamknąć oczy na setki przykładów postawy antysemickiej wśród rdzennych

Europejczyków, również w Polsce. Antysemityzm w Europie nie musi się odradzać za sprawą muzułmanów, bo nigdy z niej nie zniknął. W zasadzie w każdym kraju Unii działają skrajnie prawicowe, nacjonalistyczne, często neonazistowskie organizacje, które nienawiść do Żydów mają wypisaną w swoich manifestach. Jeszcze do niedawna ludzie „zamawiający pięć piw” zasiadali w Polsce w rządowych ławach i władali państwową telewizją.

Marcouch zwraca uwagę na to, że w przypadku muzułmanów definicja antysemityzmu staje się problematyczna. – Gdzie zaczyna się uprzedzenie, a gdzie kończy głęboka niezgoda na politykę Izraela i jego sojuszników względem Palestyny? – pyta.

Tę głęboką niezgodę podziela z muzułmanami spora część zachodnioeuropejskiej lewicy. W wieloletnich demonstracjach na ulicach Londynu, Paryża czy Madrytu przeciw blokadzie Gazy, domniemanym zbrodniom wojennym popełnionym przez izraelską armię czy przeciw żydowskiemu osadnictwu na Zachodnim Brzegu idą w większości młodzi biali Europejczycy. Czy to są demonstracje nienawiści do Żydów?

W całej Europie działają też takie muzułmańskie grupy jak londyńska City Circle pod przewodnictwem charyzmatycznego Asima Siddiqui, która corocznie organizuje specjalną ceremonię w Dzień Pamięci Holocaustu.

Terroryzm

Jedna z komórek Al-Kaidy przygotowujących zamach na USA 11 września 2001 roku mieściła się w Hamburgu. Zamach w Madrycie w 2004 roku przeprowadzili imigranci z Maroka. Mordu na artyście Theo van Goghu, autorze krytycznych wobec islamu filmów, dokonał

młodzieniec marokańskiego pochodzenia urodzony i wychowany w Slotervaart. Eksplozje w londyńskim metrze, które wstrząsnęły Wielką Brytanią w roku 2005, to dzieło Anglików o pakistańskich korzeniach. Nigeryjczyk, który w grudniu próbował wysadzić samolot lecący z Amsterdamu do Detroit, przeszedł radykalne szkolenie w jednym z meczetów w Londynie. Według pisma „Foreign Affairs” międzynarodowe służby specjalne u daremniły po 11 września 2001 roku blisko 30 ataków terrorystycznych, które miałyby się rozegrać zblizoną do zburzenia WTC. Większość operacji wywiadowczych przeciw terrorystom skoncentrowana jest na Europie.

Wbrew temu, co twierdzą populiści, zsekularyzowana Europa Zachodnia nie boi się islamskiej ofensywy religijnej, bo już dawno we-

Alternatywą dla dalszej integracji różnych kultur jest przeprowadzenie w Europie czystki

szła w postchrześcijańską fazę religijnego zobojętnienia i muzułmanie nic a nic się do tego nie przyczynili. Przeciwny Europejczyk boi się przede wszystkim tego, że któregoś poranka wyleci w powietrze w drodze do pracy. Dlatego na plakacie nawołującym do głosowania przeciw minaretom w Szwajcarii narysowane były rakiety. Ci sami Europejczycy, którzy przez 30 lat obchodzili biedne dzielnice muzułmańskich imigrantów z obojętnością, dopiero po 11 września zaczęli je obchodzić z przerażeniem. Mimo że tam nadal mieszkają ci sami ludzie, z których zdecydowana większość nie popiera terroryzmu. Jedyne, co ich łączy z terrorystami, to sprzeciw wobec inwazji na Irak, wobec wojny w Afganistanie, wobec Ameryki jako policjanta świata. Ale zgodnie z tą logiką z Al-Kaidą spowinowacana jest też większość badanych w sondażach Niemców i Francuzów.

Wojna z islamskim ekstremizmem jest również wojną o dusze 20 milionów zachodnioeuropejskich muzułmanów. Albo coraz więcej z nich będzie wpadało w sidła radykałów, albo coraz częściej będą zostawać ambasadorami modernizacji islamu. Bronią Europy w tej wojnie powinny być dialog i integra-

cja, a nie straszak islamizacji, który skazuje muzułmanów na izolację i wysyła ich na dżihad.

Europa

Ahmed Marcouch jest dumnym muzułmaninem i dumnym Europejczykiem. – Z religii czerpię duchową siłę – tłumaczy. – To jest intymna kwestia życiowego ognia, który się w sobie nosi. Ludzie biorą go z różnych źródeł, dla mnie ważny jest kontakt z bogiem i wizyta w meczecie.

– A pana europejska duma z czego się bierze?

– Z tego, że mamy jeszcze niedoskonały, ale na dziś najlepszy na świecie system zasadzony na ideach praw człowieka i wolności jednostki. Również wolności religijnej, w której mieści się i ortodoksyjny islam, i wojujący ateizm.

Pytam więc, jak powinna wyglądać właściwa reakcja dobrego Europejczyka, który jest jednocześnie ortodoksyjnym muzułmaninem, na publikację karykatur proroka Mahometa w gazecie (w noworoczny piątek powiązany z Al-Kaidą Somalijczyk próbował wtargnąć z nożem i siekierą do domu Kurta Westergaarda, autora rysunków opublikowanych przed czterema laty w duńskim „Jyllands-Posten”).

– Powinien ją potraktować jak zaproszenie do dyskusji – odpowiada burmistrz. – Islam jest zbyt starą i piękną religią, by bał się krytyki.

Marcouch jest optymistą. Według niego euromuzułmanie nadal będą się westernizować, a Europa otworzy się na nową, pozytywną debatę i w końcu rozszerzy swoją tożsamość o islam. To będzie jednak obustronnie trudny proces rozłożony na kilka dziesięcioleci.

Unia ciągle stoi też przed wyborem dotyczącym Turcji. Przyjęcie 70-milionowego muzułmańskiego państwa do europejskiej rodziny sprawiłoby, że pojęcia kulturowej asymilacji i europeizacji islamu nabrałyby nowego znaczenia. Ale perspektywa członkostwa Turcji oddała się, bo sprzeciwiają jej rządy Francji i Niemiec. Czy się to komuś podoba, czy nie, wielokulturowość i wieloetniczność Europy jest faktem i została zapoczątkowana z jej własnej woli i interesu. Alternatywą dla dalszej, momentami bolesnej integracji różnych kultur jest przeprowadzenie na kontynencie jakiejś formy czystki. Tym bardzo chętnie zajęliby się niebezpieczni populiści w typie Geerta Wildersa. Trudno przewidzieć, jak wyglądałby europejski krajobraz po takiej interwencji, ale wydaje się pewne, że Europejczycy nie czuliby się w nim bezpieczniej. □

NIEMCY AGATA JANKOWSKA

Szkoła integracji

W berlińskiej szkole dla imigrantów dwaj emeryci, Arab i Niemiec, udowadniają, że nie ma złej młodzieży. Zły może być tylko system

Uczniowie szkoły Rütli w 2006 roku tak przerażali nauczycieli, że ci bali się stawiać im złe stopnie



Berlin. Stacja Rathaus Neukölln. Im dalej od metra, tym trudniej uwierzyć, że to zachodnia metropolia. Obrdapanie kamienice, w kilku oknach tektura zamiast szyb. Wokół słychać tylko język arabski. W sklepie zamiast niemieckiej pieczonej kielbasy Bratwurst – burek, czyli turecka gorąca kanapka. Na bocznej ulicy Rutlistrasse chodnik jest fioletowy, bo ktoś pomalował sprejem wszystkie psie kupy.

Na końcu ulicy zza drzew wyłaniają się dwie żaby. Mają prawie cztery metry wysokości. Jedna trzyma globus, druga znicz. Żaby postawione przez podopiecznych socjalnej świetlicy strzegą bram szkoły Rütli. Na początku 2006 roku placówka znalazła się na czołówkach niemieckich gazet. Rozpętała wojnę polityczną oraz podzieliła berlińczyków: jedni imigrantów bronili, drudzy chcieli się ich pozbyć.

Zamieszanie to efekt listu otwartego, który ówczesna dyrektorka szkoły i wszyscy nauczyciele wystosowali do lokalnych władz. Ogłaszała kapitulację. „Nie przyjdziemy więcej do pracy. Boimy się” – zapowiadali. Opisali agresję w szkole: wyrzucanie krzeseł przez okna, oburzanie tablic ceglami, wyzviska pod adresem pedagogów. Handel narkotykami, porachunki gangów i noże w kurtkach były rutyną na szkolnym boisku. „Jesteśmy bezradni. Na lekcje wchodzimy z telefonem komórkowym, że-

by w razie zagrożenia móc wezwać pomoc – pisali w liście. – Boimy się też zemsty za złe stopnie” – dodawali.

Nauczyciel nigdy nie wiedział, czy ktoś nie uszkodzi mu samochodu, nie napadnie go w zaułku. Pedagogzy o swój strach obwinili nieudolny system edukacji i brak pomysłu na skuteczną integrację imigrantów. Rütli przypięto łatę „szkoły nienawiści”. Stała się haniebnym symbolem nieudolnej polityki Niemiec.

Owoce długiej drogi

W ponadstuletnim budynku działają różne placówki. Przedszkole i świetlica socjalna, czteroletnia podstawówka oraz dwie szkoły ponadpodstawowe – jedna realschule i jedna hauptschule. Obie ostatnie nie dają ani zawodu, ani matury. Po prostu spełnia się w nich obowiązek nauki do 16. roku życia, czyli do 10. klasy. – Jeśli z góry wiesz, że przegrałeś życie, trudno wymagać posłuchu i poświęcenia – wyjaśnia mi jedna z nauczycielek historii. – Kończąc takie szkoły, młodzi nie mają żadnych perspektyw. Zostają bez zawodu, bez szans na pracę, szczególnie w tej dzielnicy patologii, gdzie panuje największe w mieście bezrobocie – opowiada (według statystyk lokalnego urzędu dzielnicy tylko w północnej części Neukölln mieszka ponad 7,5 procent wszystkich bezrobotnych Berlina).

Ahmed Marcouch, burmistrz amsterdamskiej dzielnicy Slotervaart, jest praktykującym muzułmaninem. Mówi, że podoba mu się kolorowa Europa

VOX FM Więcej na ten temat słuchaj w Radiu VOX FM we wtorek 12 stycznia o godz. 20.00

→ W sumie w Rütli uczy się blisko 750 uczniów. 98 procent to imigranci, głównie z państw arabskich i Turcji, częściowo z Serbii. Nawet uczniowie starszych klas mają problemy z językiem pisanim, bo w większości domów rozmawia się po arabsku.

Dziś nauczyciele niechętnie wspominają protest. – Nie ma potrzeby wracać do tamtych dni – wyjaśnia Cordula Heckman, od trzech lat dyrektorka szkoły. – Przeszliśmy długą drogę, pokonaliśmy bariery. To wspólny sukces nauczycieli, uczniów i rodziców. Soczysty owoc ciężkiej pracy.

Mur znów runął

Kilka tygodni po ukazaniu się listu do szkoły zgłosił się 61-letni emeryt Ahmed al-Sadi, do niedawna właściciel firmy budowlanej. W prasie przeczytał o proteście nauczycieli i nie mógł uwierzyć w brak dobrego pomysłu na szkołę. – Byłem pewien, że to kwestia dialogu i współpracy z rodzicami. Chciałem spróbować dotrzeć do młodzieży i dziś wiem, że się udało – wspomina.

Nie było dla niego etatu, pracował więc jako wolontariusz. Już w pierwszym dniu zorganizował zebranie rodziców, podczas którego opowiedział (po arabsku) o swoim dzieciństwie. Urodzony w Nazarecie dorastał w obozie dla uchodźców w Jordanii, gdzie wraz z rodziną znalazł się podczas jordańsko-izraelskiej wojny. – Od dziecka mu-

mówić. Większość przeżyła podobną historię – wspomina. Po zebraniu matki płakały, a ojcowie ocierali wilgotne oczy. Od tamtej pory Al-Sadi raz w miesiącu zaprasza rodziców do szkoły. Z nauczycielami szykują śniadania, gotują arabskie i niemieckie potrawy, grają na instrumentach i śpiewają ludowe pieśni, przy okazji omawiając stopnie dzieci. – Jestem świadkiem wielkiej rzeczy: na moich oczach wali się międzykulturowy mur – cieszy się Al-Sadi.

– Teraz jest naszym moderatorem kultury – mówi dyrektorka Heckman. – Przez dwa lata pracował bez zapłaty, od roku jest zatrudniony na pół etatu. Zawdzięczamy mu zaangażowanie rodziców w sprawy szkolne, a to już połowa sukcesu. Wcześniej matki i ojcowie winili za brak zainteresowania dziećmi. Teraz wiem, że winna jest też nasza ignorancja – dodaje.

Kampus pełną parą

Jesienią 2006 roku, kilka miesięcy po Al-Sadim, do szkoły przybył 67-letni Klaus Lehnert, emerytowany dyrektor jednego z berlińskich gimnazjów. Burmistrz dzielnicy Heinz Buschkowsky opowiedział mu o swoim pomysle na rozwiązanie problemów szkoły. – To brzmiało jak wizja małego pięknego światka, w którym życie uczniów byłoby lepsze, zupełnie inne niż to na ulicach Neukölln – wspomina Lehnert.



Teraz uczniowie wolą nie zadzierać z ochroną. Wrócili do nauki i do kół zainteresowań

siałem sam dbać o siebie. Straciliśmy dom i firmę budowlaną ojca w Nazarecie – opowiadał. Wspominał jego słowa: „Tylko nasza głowa może nas wyciągnąć z tarapatów. Tylko zdobyta wiedza da nam lepsze życie”. Ahmed opowiadał o szkole w obozie, gdzie uczył się na zmiany w dzień i w nocy. Mówił o przyjeździe do Niemiec, o studiach ekonomicznych, o swojej firmie.

Dał rodzicom uczniów wiarę, że może być lepiej. – Nie musiałem zresztą wiele

Z władzami dzielnicy i z dyrekcją szkoły rozpoczął pracę nad projektem „Campus Rütli”, na który miasto przeznaczyło 25 milionów euro. – Bez dofinansowania szkoła by nie przetrwała – zauważa dyrektorka Heckman. – Rząd musi inwestować, jeśli chce kształcić profesorów, inżynierów, a jednocześnie poprawić sytuację imigrantów. A ich plan dnia dotąd był jasny. Rano szkoła, po południu świetlica, wieczorem policja. Chcemy to zmienić.

Cztery miesiące temu przy finansowym wsparciu jednej z niemieckich firm energetycznych w szkole otwarto dobudowaną stołówkę. Długie białe stoły na kółkach ze lśniącego laminatu, blisko 200 krzeseł. Dziś w menu zupa z dyni, chili con carne, słodkie naleśniki z owocami i kompot. Wszystko za jedno euro. W pomieszczeniu są ścianki wspinaczkowe, bo po lekcjach stołówka zamienia się w salę gimnastyczną.

Na pierwszym piętrze szkoły trwają prace nad biblioteką. Na półkach już stoi kilka lektur, słowniki i książki po arabsku. Jedną salę zaadaptowano na pokój nauczycielski, bo dotąd uczący rezydowali na korytarzach lub w wolnych klasach.

Do 2012 roku szkoła wraz ze świetlicą i z przedszkolem zajmie należące do niej, ale dotąd nieużytkowane pobliskie tereny ogródków działkowych i sąsiadujące z boiskiem nieużytki budowlane. To 41 tysięcy metrów kwadratowych. Na ich miejscu stanie hala sportowo-widowiskowa, obok będzie park, pełnowymiarowe boisko do piłki nożnej i plac zabaw dla przedшкоłaków. Warsztaty plastyczne, zajęcia muzyczne i centrum pomocy społecznej – to wszystko będzie działało nawet w wakacje.

Poprawy w dzienniku

Al-Sadi skupił się na integracji i bezpieczeństwie. Gdy idzie korytarzem w czarnym szykownym garniturze i bordowym satynowym szalu, wśród dzieciaków rośnie wrzawa. Słychać serdeczne powitania, każde chce uścisnąć mu dłoń. – Gościu jest wporzo. Nikogo nie ochrzania, nawet jak coś nawywijamy. I chętnie nam pomaga, nawet w najmniejszych pierdołach – berlińskim slangiem mówi 15-letnia Ismina, Turczynka z dziewiątej klasy.

Al-Sadi zainicjował dodatkowe lekcje języka arabskiego dla uczniów, dzięki niemu powstało kółko muzyczne i plastyczne. Poprosił o pomoc studentów pedagogiki, którzy dwa razy w tygodniu bezpłatnie pomagają uczniom w nauce niemieckiego i matematyki. Wymógł wprowadzenie do szkoły ochrony, która legitymuje wchodzących, pilnuje porządku w budynku i na boisku.

– Pięć lat temu, gdy mój brat wychodził do szkoły, mama w progu krzyczała: „Nie zadzieraj z prawem, uważaj na policję” – wspomina Dzijan, 16-letni Algierczyk z 10a. – Dziś do mnie rano krzyczy: „Nie zadzieraj z Al-Sadim, bądź miły dla ochroniarzy” – śmieje się.

Poprawę widać też w dziennikach ocen. Przed dwoma laty niespełna 29 procent 16-latków z 10. klasy posiadało na tyle dużo wiedzy, że w innych szkołach mogliby się dalej uczyć i zdawać maturę. Ale niewiele ponad 10 procent było tym zainteresowane. Dziś 51 procent doskonale opanowało program, a ponad 80 deklaruje chęć dalszej nauki. Dlatego od semestru letniego w 2010 roku uczniowie będą mogli kontynuować naukę przez kolejne dwa lata, przygotowując się do egzaminu maturalnego.

– Wyniki naszych starań przerosły oczekiwania – ocenia Al-Sadi. – Największa praca czeka nas jednak w głowie. Ale tu uczniowie są dopiero na początku drogi. □

MAGAZYN LUDZI WYJĄTKOWYCH



W styczniowym numerze między innymi:

- Penelope Cruz – Poskromiona
- Jan Nowicki – Starość jest fajna
- Tymon Tymański – Artysta w mentalnym szpagacie
- Emmanuelle Seigner – Ile poświęci dla Polańskiego?

SIĘGNIJ PO SUKCES

Atak dronów

O potajemnym wykorzystywaniu dronów przez amerykański wywiad i o poważnych zagrożeniach, jakie to ze sobą niesie

Siedziba Centralnej Agencji Wywiadowczej w Langley, w stanie Wirginia, 5 sierpnia. Grupa pracowników ogląda bezpośredni przekaz wideo z Pakistanu. Na monitorach widać Baitulaha Mehsuda, jednego z najbardziej poszukiwanych terrorystów. Przywódca pakistańskich talibów odpoczywa na dachu domu swojego teścia w Zangharze, małej osadzie w Południowym Waziristanie. Towarzyszą mu żona i wuj medyk. Jest upalna noc. Na zdjęciach ostrych jak brzytwa widać, że Mehsud, który cierpi na cukrzycę i bóle w nerce, dostaje kroplówkę.

Obrazki te przekazywała kamera na podczerwień zamontowana na predatore – zdalnie sterowanym bezzałogowym urządzeniu latającym, które unosiło się na wysokości trzech kilometrów. Pakistański minister spraw wewnętrznych A. Rehman Malik zdradził mi niedawno, że Mehsud leżał na wznak. Robiąc kadr za pomocą rąk, Malik wyjaśniał, że sterujący predatorem widzieli go całego, a nie tylko czubek jego głowy. – Mieli idealny widok – mówił Malik, który miał później okazję obejrzenia tego zapisu. – Widziało się te filmy, na których Bond gadał do własnego buta czy zegarka. Każdy wtedy myślał, że to bujda. A tu – prościej bardzo.

Obraz nawet nie drgnął, gdy CIA zdalnie odpaliła z predatora dwa pociski Hellfire. Ośle-

piający błysk eksplozji władze obejrzały w czasie rzeczywistym. Gdy opadł kurz, zobaczyły, że z Mehsuda pozostał tylko tułów. Razem z watażką zginęło 11 osób: żona, teść, teściowa, adiutant i siedmiu ochroniarzy.

Rząd Pakistanu uznawał Mehsuda za głównego wroga i obarczał go winą za niemal każdy z ostatnich ataków terrorystycznych w kraju – wliczając w to zamordowanie byłego premier Benazir Bhutto w grudniu 2007 roku czy zamach na hotel Marriott w Islamabadzie we wrześniu roku kolejnego. Mehsud miał również pomagać swoim afgańskim konfederatom w przeprowadzaniu ataków na stacjonujące w strefie przygranicznej wojska USA i koalicji międzynarodowej. – I my, i Pakistańczycy marzyliśmy o tym, żeby zobaczyć, jak przemija z wiatrem – powiedział mi Roger Cressey, niegdyś członek Narodowej Rady Bezpieczeństwa, a dziś przedstawiciel firmy konsultingowej Good Harbor. I rzeczywiście: gdy kilka dni po ataku predatora CNN doniosła, że zatwierdził go sam Barack Obama, nikt nie miał pretensji.

Pretensje pojawiły się za to, gdy mniej więcej w tym samym czasie „Wall Street Journal” ujawnił, że za czasów George’a W. Busha CIA planowała utwo-

żenie oddziałów zabójców, których zadaniem byłoby chwywanie lub likwidacja rozsianych po całym świecie kontaktów operacyjnych Al-Kaidy. A gdy „New York Times” doniósł, że o pomoc w realizacji tego zadania wywiad poprosił prywatną firmę ochroniarską Blackwater (dziś Xe Services), ludzie się wściekli. Przedstawiciele komisji wywiadu Senatu oraz Izby Reprezentantów zażądali dochodzenia w sprawie tego programu, twierdząc, że jego istnienie zostało przed nimi zatajone. Prawnicy nie mieli wątpliwości, że gdyby plany CIA weszły w fazę realizacji, byłyby pogwałceniem egzekutywy wydanej w 1976 roku przez prezydenta Geralda R. Forda zakazującej wywiadowi USA wkładania się w zabójstwa.

Hina Shamsi, specjalistka do spraw praw człowieka na Uniwersytecie Nowojorskim, była zdziwiona tym, że reakcje społeczne okazały się tak niespójne. – Rozłożył nas pomysł likwidacji członków Al-Kaidy, choć on nigdy nie doczekał się realizacji – powiedziała. – A tymczasem program zabijania za pomocą dronów jest jak najbardziej prawdziwy.

Według Shamsi wykorzystywanie predatorów do tego celu jest niczym innym jak tylko usankcjonowanym przez państwo likwidowaniem ludzi w innych krajach.

Zdarza się również, że do realizacji takich zadań jak na przykład sterowanie predatorem wykorzystywani są prywatni najemnicy. To ludzie z Xe Services zajmują się serwisem pocisków Hellfire i ładowaniem ich do predatorów. Jak zauważyła Vicky Divoll, była prawniczka CIA, która dziś wyklada w Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis, „śmierć wielu osób na skutek ataku predatora robi na społeczeństwie o wiele mniejsze wrażenie niż podejrzenie jednego gardła”. – Zdalne zabijanie to jednak wciąż zabijanie – dodała Divoll.

Amerykańska administracja wykorzystuje drony w ramach dwóch programów. Ten w wersji wojskowej realizowany jest na oficjalnie uznanych obszarach działań wojennych w Afganistanie i Iraku, a jego celem są siły wrogie stacjonujące tam oddziałom USA. W tym sensie drony są tylko uzupełnieniem konwencjonalnych działań wojennych. Natomiast celem programu realizowanego przez CIA są terroryści na całym świecie, a więc również tam, gdzie nie ma amerykańskich wojsk. Jego inicjatorem była administracja George’a W. Busha, ale – przynajmniej według Juana Zarate, który za czasów poprzedniego prezydenta był w Białym Domu doradcą do spraw antyterrorystycznych – Obama został praktycznie cały personel. Program ma charakter tajny, więc wywiad nie udostępnia opinii publicznej żadnych danych. Nie wiadomo, gdzie jest realizowany, w jaki sposób odbywa się selekcja celów, ile ich zostało zlikwidowanych i kto za to wszystko odpowiada.

Mimo to i tak co kilka dni pojawiają się nowe doniesienia o atakach predatorów w Pakistanie. Często są to informacje z drugiej ręki i trudne do zweryfikowania, bo władze Pakistanu nie wpuszczają dziennikarzy na terytory przy granicy z Afganistanem. Ale nawet jeśli nie ma co liczyć na dokładne dane, wiadomo, o co chodzi: CIA ramię w ramię z pakistańskim wywia-

dem prowadzi agresywną kampanię, której celem jest wybiecie miejscowych i zagranicznych bojowników, którzy schronili się na najbardziej niedostępnych terenach kraju.

Do pierwszych dwóch ataków CIA za czasów Obamy doszło 23 stycznia o świcie – a więc trzeciego dnia jego urzędowania. Kilka godzin później było wiadomo, że w porannych ostrzałach w Pakistanie zginęło około 20 osób. Ofiarami pierwszego z nich padło czterech Arabów, zapewne członków Al-Kaidy. Drugi jednak zupełnie się nie udał. W odległości 10 kilometrów od miasta Wana w Południowym Waziristanie predaktor omyłkowo wziął na cel dom jednego z przywódców plemiennych przychylnych rządowi. Zginęła cała jego rodzina, w tym troje dzieci (jedno z nich miało pięć lat). Zgodnie z amerykańską polityką informacyjną żaden z tych ataków nie doczekał się oficjalnego potwierdzenia.

Od tamtej pory liczba takich operacji zaczęła rosnąć lawinowo. Z raportu opracowanego przez instytut New America Foundation wynika, że w czasie dziewięciu i pół miesiąca na stanowisku prezydenta Barack Obama zatwierdził tyle operacji powietrznych CIA, ile George W. Bush przez trzy ostatnie lata swojej drugiej kadencji. Autorzy tego raportu – Peter Bergen i Katherine Tiedemann – ustalili, że obecna administracja autoryzowała co najmniej 41 ataków dronów w Pakistanie – czyli mniej więcej jeden na tydzień. Z różnych szacunków wynika, że liczba ofiar tych ataków waha się między 326 a 538. Część z nich to przypadkowi, niewinni ludzie, także dzieci.

Tylko w ostatnim tygodniu września doszło do czterech takich incydentów – trzy z nich miały miejsce w ciągu jednej doby. Jak twierdzi jeden z byłych pracowników Białego Domu, drony CIA latają nad Pakistanem bez chwili przerwy. Jest ich podobno tak dużo, że ich zdal-

ni operatorzy toczą „spory terytorialne”, oskarżając się nawzajem o podkradanie celów.

Producent predatorów i silnie uzbrojonych reaperów, firma General Atomics Aeronautical Systems, ledwo nadąza z realizacją rządowych zamówień. Flota dronów amerykańskich sił powietrznych rozrosła się z około 50 sztuk w 2001 roku do prawie 200 dziś – przy czym CIA nie ujawnia dokładnych liczb. Władze chcą zamówić setki kolejnych dronów – w tym najnowszej wersji „nano” – urządzenia, które mogą wlecieć do pokoju swojej ofiary przez otwarte okno.

Z powodu coraz większego społecznego niezadowolenia z wysyłania kolejnych amerykańskich żołnierzy do Afganistanu w Waszyngtonie rośnie liczba zwolenników nasilenia ataków dokonywanych za pomocą predatorów. Według nich Stany Zjednoczone, zamiast zaprowadzać spokój w Afganistanie za pomocą zwalczania talibów, powinny się skoncentrować wyłącznie na działaniach antyterrorystycznych i korzystając z najnowszej technologii, dokonywać precyzyjnych ataków na przywódców Al-Kaidy i ich sojuszników. We wrześniu jeden z konserwatywnych ekspertów George Will opublikował na łamach „Washington Post” tekst pod tytułem „Czas zabrać się z Afganistanu”, w którym argumentował: „Ameryka powinna zająć się tylko tym, co da się zrobić na odległość, przy wykorzystaniu wywiadu, dronów, pocisków rakietowych i niewielkich jednostek specjalnych; skupić się tylko na 1500-milowej granicy z Pakistanem, jedynym krajem, który tak naprawdę ma w tej wojnie znaczenie”. Podobno taki sam pogląd wyznaje wiceprezydent Joe Biden.

Pokusa zdalnego zwalczania Al-Kaidy jest zrozumiała, nie zmienia to jednak faktu, że przyjęciu tej taktyki towarzyszyła zaskakująco mizerna debata publiczna, zważywszy, że przecież chodzi o precedensowe, nieograniczane geograficznie i sankcjonowane przez państwo użycie śmiertelnej broni. Co więcej, z powodu utajnienia programu nie da się ustalić, kto →

Ten predaktor właśnie rozpoczyna lot nad Irakiem. Jest lipiec 2008 roku. Rakiety podczerwone pod kadłubem świadczą o tym, że nie jest to misja rozpoznawcza. Według CIA wykorzystywanie dronów do zwalczania terrorystów ma same zalety. Bądźmy szczerzy: ma też wady



→ i za co odpowiada, choć przecież CIA zabija cywilów w politycznie niestabilnym, uzbrojonym w bombę atomową kraju, z którym zresztą USA nie prowadzi żadnej wojny. Nie wiadomo, co się stanie, jeśli z programem CIA coś pójdzie nie tak. A może pójść, bo w październiku Amerykanie musieli nad Afganistanem zestrzelić predatora, nad którym utracili kontrolę.

Predatorami wykorzystywanymi przez CIA „latają” cywile – czy to pracownicy wywiadu, czy prywatni zleceniobiorcy. Według byłego doradcy do spraw antyterrorystycznego takim zleceniobiorcą zostaje najczęściej stara wyga – emerytowany wojskowy lub agent. Kontrola nad predatorem jest w CIA rozdzielona na kilka zespołów. Jedna grupa pilotów i operatorów pracuje za granicą, w pobliżu ukrytych lądowisk w Afganistanie i Pakistanie, zajmując się tylko startami i lądowaniami. Ale jak tylko dron znajdzie się w powietrzu, stery przejmują ludzie w Langley, którzy nawet nie muszą mieć za sobą żadnego szkolenia z dziedziny klasycznego latania. Zasiadają oni obok oficerów wywiadu i z dżostikami, które przypominają te wykorzystywane w grach komputerowych, oglądają na wielkich ekranach bezpośredni przekaz z kamer zamontowanych na predatorze. Siedząc w swojej reducie na przedmieściach, są w stanie zawrócić dron, obejrzeć w zbliżeniu teren i podjąć decyzję o namierzeniu celu. Dzięki strumieniowi danych, które trafiają do Langley z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, możliwe jest elektroniczne potwierdzenie, czy cel został zidentyfikowany prawidłowo. Z woli Białego Domu decyzję o tym, kiedy nacisnąć guzik, podejmują pracownicy CIA, w tym także szef Centrum Antyterrorystycznego, którego tożsamość agencja utajnia.

Ci, którzy widzieli na monitorach atak drona, opisują go jako coś, co jednocześnie wprawia w zachwyt i przeraża. – Najpierw widzisz rozbiegających się ludzi, potem następuje eksplozja, a kiedy opada dym, na ziemi leżą tylko gruz i zwęglone ciała – tak jeden z ataków opisał były agent CIA, który po 11 września trafił do Afganistanu. Ludzie szukający w poplochu schronienia to tak częsty widok na monitorach, że mają nawet swoje slangowe określenie: „zaszczańce”.

Peter W. Singer, autor „Wired for War”, książki o rewolucyjnym zastosowaniu robotyki w nowoczesnej wojnie, przekonuje, że technologia dronów jest niebezpiecznie kusząca, bo stwarza wrażenie, że wojny można prowadzić praktycznie bez kosztów własnych. Amerykanie, odcięci od realiów bombardowań w Pakistanie, zostali jednocześnie odizolowani zarówno od danych dotyczących liczby ofiar, jak i od moralnych i politycznych konsekwencji takiej polityki. Ofiary predatorów są bezimienne, nie widać zniszczeń spowodowanych eksplozjami. W odróżnieniu od Strefy Gazy, gdzie za-



Polowanie na Baitullaha Mehsuda trwało ponad rok. W końcu się powiodło

bijanie bojowników Hamasu przez armię Izraela było szeroko nagłaśniane – dzięki czemu było jasne, że tak zwane przypadkowe straty wśród ludności cywilnej mogą być poważne – pakistańskie terytoria plemienne są dla mediów strefą zamkniętą. Nie ma więc żadnych materiałów filmowych pokazujących atak dronów. Publikacji doczekało się zaledwie kilka zdjęć zrobionych zaraz po masakrach.

To pozorne odrealnienie skutków latania predatorem odczuwają także piloci. Podobno niektórzy z nich zasiadają za dżostikami ubrani w kombinezon lotniczy. A gdy ich zmiana dobiega końca, ci biurowi wojownicy wsiadają do swoich aut i pędzą na obiad z rodziną. Krytycy twierdzą, że przez izolowanie takich wojowników od zagrożeń i poświęcenia urzędnika bezałogowe tworzą coś, co sir Brian Burridge, były szef brytyjskich sił powietrznych w Iraku, określił mianem „wojny bez cnót” – czyli takiej, w której nie ma miejsca ani na odwagę, ani na heroizm. Według Singera niektórzy operatorzy dronów tak samo, a może nawet bardziej niż prawdziwi piloci cierpią na stres pola walki. To by sugerowało, że virtualne zabijanie ze względu na swoją sterylność jest jednak frustrującą odmianą działań wojennych. Tymczasem krytycy, jak profesor Mary Dudziak z Gould School of Law w Kalifornii, przekonują, że strategia dronów ma inne, jeszcze wyższe polityczne koszty. – Drony to technologiczny sus, który zupełnie odizolował Amerykanów od działań wojennych – powiedziała Dudziak.

Stosowanie predatorów do zabijania to ogromna zmiana – mówi Gary Solis, wykładowca na Uniwersytecie w Georgetown. – Czy kilka lat temu wyrażalibyśmy oburzenie taką polityką? Ależ przecież je wyrażaliśmy!

W lipcu 2001 roku, a więc dwa miesiące przed tym, zanim zamachy Al-Kaidy na Nowy Jork i Waszyngton całkowicie zmieniły po-

dejście Ameryki do terroru, Stany Zjednoczone ostro potępiły Izrael za systematyczne mordowanie palestyńskich terrorystów. Ówczesny ambasador USA w Izraelu Martin Indyk powiedział wtedy: „USA są jasno i wyraźnie przeciwko takim zabójstwom. To nie innego jak egzekucje bez wyroku sądu. My tego nie poprzemy”.

Przed 11 września CIA, która była wcześniej krytykowana za morderstwa, odmawiała stosowania predatorów do celów innych niż rozpoznawanie. Daniel Benjamin z Departamentu Stanu i Steven Simon, były doradca do spraw zwalczania terroryzmu, odnotowali w swojej książce „The Age of Sacred Terror” („Czas uświęconego terroru”) z 2002 roku, że na tydzień przed atakami Al-Kaidy na USA George Tenet, wtedy dyrektor CIA, upierał się, że „dla szefa wywiadu stosowanie takiej broni” byłoby „katastrofalnym błędem”.

Jednak zaraz po tym, jak Ameryka padła ofiarą ataków terrorystycznych, postawa CIA uległa zmianie. Agencja zwróciła się do Białego Domu o nadanie jej nowych uprawnień. Kilka dni później prezydent Bush wydał jej zezwolenie na zabijanie członków Al-Kaidy praktycznie na całym świecie, a Kongres zatwierdził tę decyzję, przyjmując specjalną ustawę. Doradcy Busha opierali swoją doktrynę na stanowisku Izraela i przekonywali, że w ramach samoobrony rząd USA ma prawo do wyprzedzającego zastosowania śmiertelności technologii przeciwko terrorystom. Po zakwalifikowaniu terroryzmu jako działania o charakterze wojennym, a nie przestępczym, administracja Busha uznała, że nie obowiązują jej już konwencje, które nakazują stawiać zamachowców przed sądem.

W listopadzie 2002 roku najwyżsi rangą ludzie z otoczenia Busha ogłosili udany atak predatora na członka Al-Kaidy. Qaed Salim Sinan al-Harethi, podejrzany o przygotowanie w 2000 roku zamachu na amerykański niszczyciel USS „Cole”, wyparował wraz ze swoim samochodem po trafieniu pociskiem Hellfire

na pustynnej drodze gdzieś w Jemenie. Ówczesny zastępca sekretarza obrony Paul Wolfowitz rozpytywał się nad nową taktyką, mówiąc CNN: „Przy okazji takich sukcesów jak ten trzeba mieć nadzieję, że nie tylko zlikwidowaliśmy niebezpiecznego człowieka, ale także pokrzykowaliśmy im plany”.

Zrazu niektórzy eksperci do spraw wywiadu odczuwali pewien dyskomfort w związku z programem dronów. W 2002 roku Jeffrey Smith, były adwokat pracujący dla CIA, powiedział Seymourowi M. Hershowi: „Skoro nie żyją, to nie mogą z tobą rozmawiać, więc tworzysz nowych męczenników”. A w wywiadzie dla „Washington Post” dodał: „Kolejne ataki dronów mogą stworzyć wrażenie, że zabijanie ludzi da się zaakceptować. Zabójstwa jako nowy sposób prowadzenia się za granicą wystawia nam i naszym liderom paskudne świadectwo”.

Dziś – siedem lat później – nikt już nie ma wątpliwości, że zabijanie na zlecenie stało się częścią oficjalnej polityki USA. – Zaczęliśmy stosować to, za co kiedyś tak krytykowaliśmy Izrael – mówi Solis, zauważając, że już nikt nie nazywa tego zabójstwem.

Stosowanie predatorów jest uważane w świecie wywiadu za najbardziej skuteczną broń Ameryki przeciwko Al-Kaidzie. W maju podczas nieoficjalnej rozmowy po jednym z wykładów szef CIA Leon Panetta określił ten program mianem „jedynej rozrywki w mieście”. Przedstawiciele organizacji zwalczających terroryzm twierdzą, że w zeszłym roku dzięki dronom udało się zlikwidować kilkunastu przywódców Al-Kaidy, skracając w ten sposób o ponad połowę listę 20 najbardziej poszukiwanych osób przez CIA. Oprócz Baitullaha Mehsuda byli na niej: były adiutant Osamy ben Ladena Nazimuddin Zalatow; Ilyas Kashmiri, w Al-Kaidzie na stanowisku szefa do spraw operacji paramilitarnych na terenie Pakistanu; Saad ben Laden, najstarszy syn Osamy; Algierczyk Abu Sulayman al-Jazairi, który prawdopodobnie szkolił zamachowców w Europie i USA; oraz Osama al-Kini i Sheikh Ahmed Salim Swedan, członkowie Al-Kaidy podejrzani o przygotowanie w 1998 roku zamachów na amerykańskie ambasady w Kenii i Tanzanii.

Juan Zarate, były doradca Busha do spraw zwalczania terroryzmu, sądzi, że Al-Kaida „robi bokami” właśnie między innymi dlatego, że predatory wybiły im „tyłe mózgi”. Choć przyznaje, że główni liderzy ugrupowania – Osama ben Laden i Ajman al-Zawahiri – są wciąż na wolności, to jego zdaniem wyższych rangą przywódców zostało już najwyżej 50. Plus 200, może 300 wyższych rangą działaczy „wewnętrznego kręgu”.

Zarate i inni zwolennicy wykorzystywania predatorów twierdzą, że realizacja programu przynosi wiele korzyści: bojownicy, którym udaje się przeżyć, muszą działać o wiele bardziej ostrożnie, co z kolei utrudnia im planowanie kolejnych zamachów. Wiadomo też, że istnienie lokalnych informatorów, bez któ-

rych współpracy nie udałoby się namierzyć terrorystów, szerzy w ich szeregach podejrzliwość, która coraz bardziej utrudnia im działanie. Czterech Europejczyków, którzy zostali schwytani w grudniu 2008 roku, gdy próbowali wstąpić w szeregi Al-Kaidy w Pakistanie, zeznało, że bojownicy żyją w nieustannym strachu i wzajemnej nieufności, że z powodu obsesyjnego strachu przed dronami muszą porozumiewać się za pomocą wyszukanych szyfrów, a swoje cuchnące kryjówki opuszczają tylko nocą. Według „New York Timesa” predatory tak rozsiedziły rebeliantów, że w końcu wypuścili film, na którym zabijają domniemych kolaborantów. Przeraziła ich też plotka, że na pakistańskich terytoriach plemiennych tamtejsi informatorzy CIA zostawiają w domach liderów Al-Kaidy sylikonowe nadajniki wysyłające sygnały dla predatorów.

Mimo sukcesów taktycznych program CIA budzi głębokie wątpliwości natury etycznej. Michael Walzer, filozof polityki i autor książki „Just and Unjust Wars” („Wojny słuszne i niesłuszne”), mówi, że istnienie agencji wywiadu, która w tajny sposób posługuje się tak śmiertelnością, napawa go przerażeniem. – Na jakich zasadach odbywa się ta operacja? – pyta. – Nie wiem. Armia działa na podstawie prawa i podlega sądom.

O programie CIA Walzer wyraził się następująco: – Osoby sklasyfikowane jako cele powinny trafić na specjalną ogólnie dostępną i weryfikowalną listę. Przecież ci ludzie są zabijani, a my generalnie wymagamy podstaw prawnych, gdy chodzi o zabijanie.

Od 2004 roku Philip Alston, australijski ekspert praw człowieka, jako specjalny sprawozdawca ONZ do spraw pozasądowych, do-raznych i arbitralnych egzekucji, wielokrot-

Predatory są uważane za najbardziej skuteczną broń Ameryki przeciwko Al-Kaidzie. – To jedyna rozrywka w mieście – mówi szef CIA Leon Panetta

nie próbował (za każdym razem bezskutecznie) uzyskać odpowiedź na elementarne pytania dotyczące programu CIA – najpierw od Busha, a teraz od Obamy. Gdy w liście formalnym zwrócił się o odpowiedź na pytanie dotyczące podstaw prawnych egzekucji dokonywanych przez CIA, został – jak sam potem przyznał – po prostu olany. (Mnie przedstawiciel CIA powiedział, że „agencja stosuje zgodne z prawem, precyzyjne i skuteczne narzędzia oraz taktykę w celu przeniesienia wojny z Al-Kaidą na jej własne terytorium. To staranne, precyzyjne podejście skutkuje wieloma sukcesami przeciwko niezwykle groźnemu i śmiertelnościemu wrogowi”). Alston przedstawił potem krytyczny raport o dronach na forum Rady Praw Człowieka ONZ, ale – jak mówi – przedstawiciele USA zignorowali jego wątpliwości.

Według Alstona CIA działa w nieweryfikowalnej próżni: – To przypomina trochę spra-

wę tortur. Zaczynasz od ogłoszenia, że złapiesz garstkę organizatorów zamachów z 11 września. Lecz gdy już uruchomisz tę maszynę z podtapianiem i innymi technikami przesłuchań, zaczynasz używać jej w sposób o wiele bardziej dowolny. Wszystko staje się standardową procedurą. Staje się zbyt proste. Stratedzy rzucają nagle hasło: „Zacznijmy stosować drony w szerszym zakresie”. Wystarczy, że raz złuzujesz zasady, a będziesz luzował je zawsze.

Zgodnie z prawem międzynarodowym, żeby władze USA mogły poza granicami swojego kraju legalnie namierzać i zabijać podejrzanych o terroryzm, muszą uznać, że jakaś organizacja terrorystyczna zaangażowała się w konflikt zbrojny i użycie siły wobec niej jest „z militarnego punktu widzenia absolutnie konieczne”. Poza tym zabójstwo musi być jedynym wyjściem. Schwytanie celu musi być w danej chwili niemożliwe, a on sam musi być „bezpośrednio zaangażowany we wrogie działania”. Dalej: siła musi być proporcjonalna do zagrożenia. I w końcu kraj, na terytorium którego ma dojść do takiej egzekucji, musi wyrazić na to zgodę.

Wielu prawników, którzy badali realizowany w Pakistanie program CIA, uważa, że spełnia on te podstawowe wymogi prawne. Ale i tak mają problem, bo USA ciągle rozszerzają definicję priorytetowych celów. W marcu zeszłego roku administracja Obamy postanowiła po cichu kupić poparcie prezydenta Pakistanu dla stosowania dronów przez danie mu możliwości decydowania o celach. – Wiele obiektów wybierają Pakistańczycy – to część umowy gwarantującej współpracę – mówi Bruce Riedel, były oficer CIA, który doradzał Obamie w sprawach związanych z Pakistanem i Afganistanem. Z raportu fundacji Nowej Ameryki wynika, że na 41 ata-

ków predatorów tylko w 6 przypadkach celem byli bojownicy Al-Kaidy. W 18 innych chodziło o talibów, a w 15 – wyłącznie o Baitullaha Mehsuda. Talat Masood, emerytowany pakistański generał i ekspert w dziedzinie bezpieczeństwa, twierdzi, że eliminacja Mehsuda uciszyła krytyków, którym nie podobały się amerykańskie ataki, choć wciąż są one uważane za coś, co godzi w suwerenność Pakistanu.

Gdy się okazało, że dane dotyczące liczby zabitych pakistańskich talibów były ukrywane nawet przed pracownikami wywiadu, niektórzy zaczęli się zastanawiać, czy nie oznacza to przypadkiem, że ci bojownicy bynajmniej nie kwalifikowali się jako cele dla predatorów. – W ich atakach ginęło mnóstwo rebeliantów niskiego szczebla. To rodzi pytanie, czy były one zgodne z wytycznymi, z których wynikało, że mają ginąć liderzy – powiedział mi Peter Bergen. A Roger Cressey, były przedstawiciel →

→ Rady Bezpieczeństwa Narodowego i wciąż wielki zwolennik programu CIA, wyjaśnia: – Chodzi o to, że paramy się tym już tak długo, że musimy bombardować gości niskiego szczebla, którzy nie zasługują na wbicie im w dupę hellfire'a. (Według niego „nie każdy cel musi być od razu gwiazdą estrady”).

Administracja Obamy rozszerzyła również zakres dopuszczalnych ataków dronów w Afganistanie. Senacka komisja stosunków międzynarodowych ujawniła w swoim sierpniowym raporcie, że tak zwana Wspólna Skonsolidowana Lista Celów Priorytetowych – czyli obowiązujący w Pentagonie kapow-

nie możesz również czekać, aż będzie on w stanie zdetonować ładunek wybuchowy. Mamy tu do czynienia z szalami na wadze.

Od ich zbalansowania zależy, ile osób cywilnych może zginąć podczas likwidacji celu. – Jeśli udałoby się namierzyć Osamę ben Ladena, to nawet gdyby w pobliżu było czterolatnie dziecko, większość ludzi zgodziłaby się na atak – twierdzi Radsan. – Ale gdyby było troje lub czworo dzieci? Dla niektórych to już za dużo. Albo cała szkoła? Wielu powiedziałoby wtedy, żeby tego nie robić. CIA (Radsan mówi, że ma ona ledwie skromne doświadczenie w zabijaniu, bo to domena Departamentu Obrony) staje przed takimi dylematami każdego dnia.



Na pierwszym planie sierżant **Fred Roberts**, na drugim **Bush** (ale Alex – sierżant, nie prezydent). Obaj sprawdzają systemy predatora. A wieczorem... Kolacja?

nik z nazwiskami terrorystów przeznaczonych do likwidacji – została rozszerzona o prawie 50 afgańskich narkowatażków podejrzewanych o finansowanie talibów. To już nie ma nic wspólnego z Al-Kaidą. Według raportu komisji „nic nie wskazuje na to, by jakiegokolwiek znaczące wpływy ze sprzedaży narkotyków trafiały do Al-Kaidy”. Co więcej, wpisanie ludzi narkobiznesu na listę celów może w kilku przypadkach okazać się niefortunne, jeśli prawdą jest, że rywal Hamida Karzaja Mohammad Qasim Fahim i brat afgańskiego prezydenta Ahmed Wali Karzaj są powszechnie wiązani z narkobiznesem. – Zapolują na brata Karzaja? – pyta więc Andrew Bacevich, profesor historii i stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Bostońskim. I odpowiada: – Musimy bardziej uważać na to, kogo określamy nieprzyjacielem przeznaczonym do eliminacji. Nie można w środę negocjować z tymi, których we wtorek chciało się zlikwidować.

Określenie, kto się nadaje na cel dla predatora, a kto nie, nie jest łatwe. John Radsan, który był kiedyś adwokatem CIA, a dziś wykłada w Wyższej Szkole Prawniczej w St. Paul, mówi: – Nie będziesz polować na kogoś tylko dlatego, że odwiedził stronę internetową Al-Kaidy. Ale

Metodologia CIA pozostaje tajemniczą, ale Pentagon stworzył skomplikowane wzory, żeby pomóc wojskowym w tych ostatecznych kalkulacjach. – Mamy całą taksonomię celów – opisał to jeden z zastrzegających sobie anonimowość ekspertów. – Niektórzy kwalifikują się do zastrzelenia na miejscu. Inni wymagają dodatkowych zezwoleń. Do równania wprowadzamy również lokalizację celu. Jeśli w polu rażenia jest szkoła, szpital czy meczet, wprowadzamy te informacje do algorytmu komputera przed zatwierdzeniem ataku.

Według najnowszego raportu senackiej komisji stosunków międzynarodowych amerykańscy wojskowi umieszczają na liście celów tylko te osoby, które zostały potwierdzone przez „dwa weryfikowalne ludzkie źródła” i co do których istnieją „silne dowody” na to, że są nieprzyjaciółmi. W Izraelu, który przeprowadza podobne misje bezzałogowe nad terytoriami palestyńskimi, proces identyfikacji celu jest – przynajmniej w praktyce – jeszcze bardziej szczegółowy. Wojskowi prawnicy muszą być przekonani, że nie ma żadnych realnych szans na pojmanie obiektu i że stanowi on zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Również wojskowi eksperci kultury arab-

skiej powinni być zdania, że udany atak przyniesie więcej pożytku niż szkody. – Tu trzeba niebawem ostrożności – mówi Amos Guiora, profesor prawa na Uniwersytecie w Utah, w latach 1994–1997 doradzał izraelskim dowódcom przy eliminowaniu indywidualnych celów w Strefie Gazy. – Nie każdy może stać się celerem – zastrzega. – To musi być lider, w licznym towarzystwie takich jak on.

Guiora, który uważnie śledzi program CIA, uważa, że amerykańskim urzędnikom od bezpieczeństwa narodowego brakuje precyzyjnych wytycznych i silnej gwarancji sukcesu. – Gdy już zaczniesz zabijać, rób to zgodnie z piekielnymi dobrymi wytycznymi. To nie może polegać na likwidacji za wszelką cenę.

Daniel Byman, dyrektor Center for Peace and Security Studies przy Uniwersytecie w Georgetown, uważa, że prawie zawsze lepiej schwytac terrorystę, niż go zabić. – Dzięki temu zdobywasz informację. Martwi nie składają zeznań – mówi. Przypadek zabicia przez CIA Saada ben Ladena, syna Osamy, to niezły przykład na słuszność takiego stanowiska. Zanim pod koniec 2008 roku Saad dotarł na pakistańskie tereny plemienne, szanse na to, że złąpią go którzykolwiek stróża prawa, były minimalne. Ale jak twierdzi Hillary Mann Leverett, doradca przy Radzie Bezpieczeństwa Narodowego w latach 2001–2003, administracja Busha mogła mieć kilka okazji, by go przesłuchać, gdyby chciała dogadać się w tej sprawie z Iranem, gdzie według amerykańskiego wywiadu przyjeżdżał od czasu do czasu po 11 września. – Irańczycy chcieli dojść do porozumienia w sprawie przekazywania podejrzanych o działalność terrorystyczną, ale Bush się na to nie zgodził – mówi Leverett. W grudniu 2008 roku Saad wyjechał z Iranu do Pakistanu i kilka miesięcy później predator odebrał mu życie. – Z całą pewnością nie dostaliśmy tego, co mogliśmy dostać. Dziś wiemy, że Saad ben Laden byłby niezwykle wartościowym źródłem informacji. Wręcz kopalnią złota.

Byman pisze właśnie książkę o izraelskich doświadczeniach w zwalczaniu terroryzmu, w tym o zdalnej likwidacji terrorystów. Choć dzięki niej udało się osłabić palestyńskie przywództwo, to zdaniem Bymana „nieumiejętne posługiwanie się takimi narzędziami grozi utratą moralnego gruntu pod nogami, a to zawsze boli. Rozpoznanie bywa od czasu do czasu niedokładne i trzeba liczyć na szczęście. Takie są uroki wywiadu.

Fakt, historia „likwidacji obiektów” usiana jest pomyłkami. W 1973 roku agenci izraelskiego wywiadu zamordowali marokańskiego kelnera, myśląc, że to terrorysta zamieszany w przeprowadzony rok wcześniej atak na ekipę izraelskich olimpijczyków w Monachium. A w 1986 roku administracja Reagana usiłowała przeprowadzić zamach na libijskiego przywódcę Muammara Kaddafiego. Miał to być odwet za jego domniemany udział w ataku na wypelnioną amerykańskimi żołnierzami dyskote-

kę w Niemczech. Amerykanie zbombardowali dom dyktatora. Jemu nic się nie stało, ale zginęła jego 15-miesięczna córeczka.

Podejmowane przez CIA próby namierzenia Osamy ben Ladena także napotykały rozmaite przeszkody. Po tym jak Al-Kaida wysadziła w sierpniu 1998 roku amerykańskie ambasady w Tanzanii i Kenii, prezydent Bill Clinton w odwecie wysłał 75 rakiet Tomahawk do Afganistanu, gdzie miało się odbyć spotkanie na szczycie z udziałem ben Ladena. Zginęło około 20 pakistańskich bojowników, ale liderowi Al-Kaidy nie się nie stało, bo opuścił spotkanie kilka godzin wcześniej.

Predator opracowany na początku lat 90. ubiegłego stulecia miał pomóc w wyeliminowaniu takich pomyłek. Drony mogą latać nad celem do 40 godzin bez tankowania, a przekaz wideo w wysokiej rozdzielczości ułatwia identyfikację obiektu. Ich ataki są jednak tak dokładne jak dane wywiadu. Wskazówki dostarczane przez informatorów mogą być błędnie interpretowane, tak jak błędnie interpretowane mogą być obrazy wideo. Na krótko przed 11 września na przykład amerykańskim antyterrorystom wydało się, że jeden z latających nad Afganistanem dronów namierzył ben Ladena, zresztą w okolicach, w których dość regularnie bywał. Na przekazie wideo było widać wysokiego mężczyznę w długiej szacie otoczonego przez uzbrojonych ochroniarzy, którzy utworzyli wokół niego formację w kształcie diamentu. Wtedy jeszcze drony służyły tylko do prowadzenia rozpoznania, więc nie były uzbrojone. – Obraz nie był najwyższej jakości, ale to na pewno był on – zapewniał dziennikarzy tygodnika „Time” Henry Crumpton, wówczas wysoki rangą oficer do spraw tajnych operacji CIA w regionie Afganistanu. Jednak dwaj inni oficerowie agencji,



Tak wygląda przygotowanie predatora do likwidacji celu. Te pociski to hellfire'y. Będzie jesień średniowiecza...

którzy też widzieli materiał, mieli wątpliwości. – Zupełnie jak w legendach miejskich – powiedział mi jeden z nich. – Od razu wiedzieli swoje. Nawet nie było widać twarzy. To mógł być jakikolwiek Stasiak Srasiek. Proszę mi wierzyć, żaden wysoki brodac nie jest bezpieczny w południowo-zachodniej Azji.

W lutym 2002 roku w górzystym regionie przygranicznym między Afganistanem a Pakistanem predator podobno wysledził i zlikwidował trzech podejrzanych wyglądających mężczyzn, w tym jednego wysokiego w szatach, który miał być Osamą ben Ladenem. Okazało się, że to niewinni wieśniacy, którzy zbierali złom.

Zarówno w Afganistanie, jak i w Pakistanie miejscowi informatorzy, którzy równocześnie służą do potwierdzania, że cel został prawidłowo zidentyfikowany, notorycznie zawodzą. Jeden z byłych oficerów CIA, który był w Afganistanie po 11 września, opowiedział mi, jak jeden z jego afgańskich informatorów zaklinał się, że w pobliskiej klinice leży jeden z liderów Al-Kaidy. – Ledwo udało mi się powstrzymać atak na szpital, gdy już przekazał tę informację do zwierzchników – wspomina. – Zebrała się cała elita. Centrala zrobiła nam piekło. „Dlaczego

go nie atakujecie?”, dociekali, gdy my domagaliśmy się zweryfikowania danych.

Okazało się, że ktoś ich celowo chciał oszukać. – Czasem mamy do czynienia z watażkami – wyjaśnia były oficer. – Często się zdarza, że denuncjują swoich wrogów jako członków Al-Kaidy tylko dlatego, że chcą się ich pozbyć. Albo pakują nas w jakieś gówno tylko po to, by pokazać, że są wartościowymi informatorami. Nie można im wierzyć.

Skutki złego wywiadu mogą być tragiczne. We wrześniu w nalocie NATO zginęło od 70 do 125 osób, w tym cywile, którzy brali benzynę z dwóch porzuconych cystern; zostali omyłkowo wzięci za talibów. (NATO prowadzi dochodzenie w sprawie tego incydentu). Według reportera dziennika „The Guardian” wybuch bomby zrzuconej przez samolot F-15E zrobił taką masakrę, że starszyna wioski nie miała innego wyjścia jak tylko rozdawać krewnym ofiar niemożliwe do rozpoznania fragmenty ciała, żeby można było dokonać pochówku. Jak ujął to jeden z mieszkańców: „Wziąłem ze sobą kawał mięsa i nazwałem je moim synem”.

Według pracowników wywiadu z uwagi na lepsze urządzenia do prowadzenia rozpoznania predatory są dokładniejsze niż samoloty bojowe. Także montowane na nich pociski Hellfire z powodu swoich niewielkich rozmiarów mają mniejszą siłę rażenia. Mimo to zakończona niedawno operacja, której celem był Baitullah Mehsud, stanowi smutne studium na temat zagrożeń, jakie niesie ze sobą wojenna robotyka. Wygląda na to, że do zabicia Mehsuda trzeba było 16 pocisków i 14 miesięcy poszukiwań. W polowaniu tym zginęło – w zależności od tego, które doniesienia uznamy za wiarygodne – od 207 do 321 osób. Uzyskanie pełnych danych na temat ofiar, które zginęły →

REKLAMA

Po pierwsze,
przyszłość to słowo na plus.



Amplifico

→ z rąk CIA podczas tej prowadzonej głównie w Waziristanie operacji, jest absolutnie niemożliwe. Pakistan zablokował dostęp do tego regionu nie tylko dziennikarzom. Także organizacjom humanitarnym, jak Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża czy Lekarze bez Granic. – Nie możemy się zbliżyć nawet na odległość stu kilometrów do Waziristanu – powiedział mi koordynator LBG Brice de la Vingne. – Chcieliśmy założyć tam ambulatorium, ale władze się nie zgadzały.

Z nielicznych pakistańskich i międzynarodowych artykułów, z których większość opiera się bardziej na informacjach z drugiej ręki niż na relacjach świadków, można dowie-



To nie jest chłopiec z latawcem. To żołnierz z ravenem. Tu ofiar nie będzie

dzieć się tylko najprostszych rzeczy. 14 czerwca 2008 w Makeen, rodzinnym mieście Mehsuda, dron CIA zabił jedną niezidentyfikowaną osobę. 2 stycznia 2009 – cztery, także niezidentyfikowane. 14 lutego zginęło ponad 30 osób, z czego 25 to domniemani członkowie Al-Kaidy lub talibowie (wśród ofiar nie znaleziono nikogo ważnego). 1 kwietnia predator, którego celem był Hakimullah Mehsud (zastępca Baitullaha Mehsuda) chybił, ale zabił 10–12 jego ludzi. 29 kwietnia rakietę odpalono z dronów zabiły od sześciu do dziesięciu osób – w tym prawdopodobnie jednego z przywódców Al-Kaidy. 9 maja było od pięciu do dziesięciu niezidentyfikowanych ofiar. 12 maja – dokładnie osiem. 14 czerwca atak dronów zabił od trzech do ośmiu osób. 23 czerwca CIA zabiła od dwóch do sześciu bojowników w pobliżu Makeen, a potem kilkudziesięciu, być może 86, uczestników ceremonii pogrzebowych. Z notatki w pakistańskiej gazecie „The News” wynikało, że wśród ofiar było dziesięcioro dzieci i czterech przedstawicieli starszyny plemiennej. Świadek, któremu eksplozja urwała nogę, powiedział Agencji France-Press, że ludzie w kondukcji wiedzieli, co ich może spotkać: – Po modłach ludzie zaczęli mówić, że trzeba się szybko rozejść, bo w górę latają drony.

Predatory, które wydają charakterystyczny brzęczący dźwięk, są przez Pasztunów nazywane *machay* („osy”). Czasem, jeśli pogoda pozwoli, można je zobaczyć i usłyszeć. Według świadka zanim żałobnicy zdążyli się rozejść, dwa drony zaczęły do nich strzelać: – Siały

spustoszenie. Wszędzie unosił się dym i kurz. Ranni jęczeli i wołali o pomoc. Potem nastąpiła trzecia eksplozja i upadłem na ziemię.

Lokalni mieszkańcy mieli w oczywisty sposób za złe władzom Pakistanu, że pozwoliły Amerykanom na ostrzelanie ceremonii pogrzebowej. (Z danych wywiadu wynikało, że wśród żałobników może być Mehsud). W komentarzu redakcyjnym „The News” potępił Amerykanów, że zniżają się do poziomu terrorystów. Ukazujący się w języku urdu dziennik „Jang” napisał, że Obama „jest głuchy na wołania tysięcy kobiet obróconych w pył przez wasze drony”. Na przedstawicielach amerykańskiego wywiadu nie zrobiło to jednak żadnego wrażenia; kontynuowali ataki w regionie aż do unicestwienia Mehsuda.

Takie akcje próbują wykorzystać talibowie, którzy chcą podgrzać antyamerykańskie nastroje w regionie, twierdzą, zresztą niezgodnie z prawdą, że Stany Zjednoczone zabijają wyłącznie niewinnych cywilów. W wielu pakistańskich miastach doszło do dużych protestów społecznych, których uczestnicy potępiali używanie dronów. Organizatorzy zamachów bombowych w Pakistanie zaczęli je przedstawiać jako akty zemsty za amerykańskie ataki. A niedawna seria krwawych rajdów na budynki rządowe w Pakistanie każe sądzić, że bojownicy do tej pory biernie się przyglądający rozwojowi sytuacji dołączyli do przeciwników prezydenta Asifa Alego Zardarięgo.

David Kilcullen, który jako ekspert od zwalczania rebelii doradzał generałowi Davidowi Petraeusowi w Iraku, uważa, że propagandowe koszty ataków dokonywanych za pomocą dronów mogą się okazać katastrofalnie wysokie. Bojownicy wykorzystują te ataki do oskarżania pakistańskiego rządu (który i bez tego się trzęsie w posadach) o to, że jest marionetką w amerykańskich rękach. W raporcie, który Kilcullen współtworzył dla jednego z amerykańskich instytutów, czytamy: „Každy z tych martwych cywilów to jeszcze jedna sfrustrowana rodzina, nowe pragnienie zemsty i kolejna grupa chętnych, by przyłączyć się do ruchu oporu, który wraz ze wzrostem ataków predatorów dyna-

micznie rośnie w siłę”. Współautor tego raportu Andrew Exum, były ranger i obecny doradca generała Stanleya McChrystala w Afganistanie, powiedział mi: – Ani Kilcullen, ani ja nie jesteśmy fundamentalistami – nie twierdzimy, że należy skończyć z dronami. Uważamy jednak, że należy skończyć z problemami, które one generują. Jeśli stosujemy taktykę, która zabija braci i synów, nie mówiąc już o siostrach i żonach, utrudniamy sobie realizację celu, jakim jest powstrzymanie miejscowej ludności przed zbrataniem się z bojownikami.

Exum wyraża zaniepokojenie tym, że predatory są urządzeniami zdalnie sterowanymi. – Jako wojskowy staram się wczuć w sytuację mieszkańca FATA (pakistańskich Federalnie Zarządzanych Terytoriów Plemiennych) i w tych bezzałogowych urządzeniach jest coś, co mi nie pasuje do pojęcia honorowych metod prowadzenia wojny – mówi. – Jako major specjalizujący się w uzbrojeniu klasycznym mam klasyczną opinię o tym, co znaczy wojownik.

Jeden z weteranów wojny w Iraku, który tworzył doktrynę uzasadniającą stosowanie dronów, także ma wątpliwości. – Gdy decydujesz się na prowadzenie wojny jako naród, to gdy wysyłasz na nią synów i córki, jest w tym coś istotnego. Brnąć za daleko w stosowaniu dronów, ryzykujemy zmarnowanie krwi, którą zainwestowaliśmy w tę wojnę – mówi.

Bruce Riedel, który w ciągu ostatnich lat aktywnie angażował się w debaty na ten temat, uważa, że Barack Obama stoi przed niezwykle trudnym wyborem. – Czy program dronów pomaga, czy szkodzi? – pyta. – Trudno powiedzieć. Każda operacja wojskowa oznacza koszty.

Według niego wykorzystywanie dronów jest trochę jak „ściganie ula po jednej pszczołce na raz”. Problem w tym, że „ul zawsze będzie produkował kolejne pszczoły”. Zdaniem Bruce’a Riedela predatory są jedyną formą presji wywieranej na Pakistan i Afganistan: – Tylko tym możemy zaszkodzić Al-Kaidzie. Powód, dla którego obecna administracja stosuje drony, jest oczywisty: stosuje je, bo nie ma niczego innego w zamian.

Oryginalnie published in „The New Yorker”



Predatory na pewno są bezzałogowe, ale nie bezosobowe. Oto predator weteran

Po drugie,

nowe czasy to nowe możliwości.

Pragniemy w pełni wykorzystać nasz wspólny potencjał.

Dlatego teraz oferujemy pod jedną marką zarówno ubezpieczenia na życie, jak i rozwiązania emerytalne oraz fundusze inwestycyjne:

→ AIG PTE przyjęło nazwę Amplico Powszechne Towarzystwo Emerytalne.

→ AIG TFI to teraz Amplico Towarzystwo Funduszy Inwestycyjnych.

→ Dotychczasowe Amplico Life takim pozostaje.

Wszystkie trzy firmy posługują się nowym logo.

Co przyniesie przyszłość? Jesteśmy przekonani, że kolejne wspólne sukcesy.

Wspólne, czyli Twoje i nasze – razem.



Dowiedz się więcej
www.amplico.pl

Amplico

Blżej siebie. Dla Ciebie.



Myśleliście,
 że jesteście
 odważni?
 A tańczycie?
 Jeśli nie, to odwaga
 i dorosłość dopiero
 przed wami
 – przekonuje
Agustin Egurrola,
 kapłan nowej
 polskiej religii
 – tańca

MODLITWA NOG NA PARKECIE

Rozmowa odbyła się 6 stycznia 2010 w Warszawie

– I oni wychodzą do nas, jurorów YCD, i wtedy mają tych 60 sekund, które decydują o ich „życiu lub śmierci”. Kończą się castingi, więc zobaczyłem ostatnio kilka tysięcy takich 60-sekundówek.

W 60 sekund można kogoś zabić, ale czy poznać?

– Możemy ocenić, jak oni się poruszają, ale tak naprawdę szukamy wyrazistych osobowości.

Co to jest wyrazista osobowość?

– Coś, co budzi emocje, a ludzie, którzy będą oglądać program, zidentyfikują się z tą osobą, poczuja, jak ważny jest dla niej ten występ. Uwielbiam ten program, bo tak naprawdę on nie jest o tańcu.

Tylko?

– O pasji, o młodych ludziach, którzy się czemuś absolutnie poświęcili! Kiedy wchodzi na casting, to tak naprawdę my nie oceniamy ich występu, tylko ich życie. Dla nich taniec jest drogą życia, wszystko mu podporządkowują, jeżdżą na warsztaty, wydają ostatnie pieniądze na nauczycieli, chodzą na mnóstwo castingów...

A czy taniec nie jest dla nich ucieczką od tego wszystkiego, co jest na zewnątrz?

– Raczej pójdę do przodu, oni znaleźli swój sposób na ten świat i to, co ich otacza. Wiedzą, że ciężka praca, często ponad siły, musi dać sukces, spełnienie swojej osobowości. Jeżeli w życiu coś się robi dobrze, to ludzie cię kochają, ludzie cię uwielbiają! To bzdura, setki tysięcy ludzi na świecie robi coś dobrze i nikt ich nie kocha. Kocha się kilkuset wybranych.

– Nie, kocha się ludzi, którzy są interesujący, którzy mają coś do zaproponowania.

Których można zobaczyć przede wszystkim w telewizji, a do telewizji trafiają nieliczni z tych, którzy coś potrafią.

– Absolutnie się z tym nie zgadzam. Na przykład... Idziemy na imprezę i kto jest wtedy najbardziej uwielbiany? Ten, który świetnie tańczy, jest duszą towarzystwa, bo czymś imponuje. I dlatego w samej Warszawie jest sto szkół tańca! Taniec stał się czymś, co podnosi nie tylko poczucie wartości, ale też powoduje, że dobrze tańczący lub tańcząca stają się atrakcyjni dla wszystkich naokoło.

Czy czasem nie jest pan podobny do tych, którzy 10 lat temu próbowali sprzedawać feromony syntetyczne, czyli coś, co zapewniało – według sloganów reklamowych – u płci przeciwnej niebywałe powodzenie?

– To nie jest takie proste, że idziemy do apteki i kupujemy jakiś proszek. Taniec jest

sztuką i żeby się jej nauczyć, trzeba spędzić setki godzin na sali. Każdy chciałby dobrze tańczyć, ale nieliczni do tego dochodzą, ci, którzy postawią wszystko na jedną kartę.

„Każdy chciałby dobrze tańczyć...”. Znam paru, którzy by nie chcieli.

– Nie spotkałem kobiety, która by nie chciała dobrze tańczyć. A wielu mężczyzn wstydzi się do tego przyznać i dla nich to, że nie umieją, staje się czymś wstydliwym, więc starają się po prostu z tego żartować. Nie ma kobiety, która by nie marzyła o tym, żeby mieć fantastycznie tańczącego mężczyznę. (Wydaje mi się, że ten pan ma rację – dopisała w tym miejscu nieoceniona Wanda Ostrowska, spisująca ten wywiad). Każdy człowiek z tańcem się spotka, na weselu, prywatce, studniówce... Są narody, które nawet na pogrzebach tańczą. A osoba, która dobrze tańczy, w każdym towarzystwie jest osobą absolutnie pożądaną.

Niech pan zamknie oczy i wyobrazi sobie świat, w którym wszyscy umieją tańczyć... Czy to by świat zmieniło?

– Na przykład na Kubie 80 procent ludzi dobrze tańczy.

I żyją w totalnie nieprzyjaznych okolicznościach.

– Ale dzięki temu, że mają taniec, są w stanie przetrwać. Taniec powoduje, że oni są chociaż momentami szczęśliwi.

Kiedy pan tak mówił, przyszło mi do głowy, że nie słyszałem, żeby jakkolwiek skazany na karę śmierci w swojej ostatniej przed śmiercią prośbie poprosił o możliwość zatańczenia... Więc może pan przesadza z tą apologią tańca?

– Dlatego, że taniec jest substytutem wolności... Kubańczycy przez taniec czują się wolni. A w tak ekstremalnych warunkach jak więzienie nie ma mowy o tym, żeby choć przez moment poczuć się wolnym...

Kubańczycy żyją w wielkim więzieniu.

– Nauczyli się już z tym żyć, tym bardziej że oni tę rewolucję zrobili sami, poszli za swoimi marzeniami. A to, że im się nie udaje, część młodych już widzi, starsi za wszelką cenę wypierają to że świadomości, tak jak mój ojciec, który jest absolutnym komunistą, kończył tę samą uczelnię co Fidel Castro...

Co tracę, nie tańcząc? Bo ja nie tańczę.

– Na pewno jeszcze jeden środek wyrażenia siebie i swoich emocji.

Umiem mówić, mogę tak wyrażać swoje emocje.

– Ale traci pan jeszcze jedną możliwość pełnego, głębokiego i szczerego →



→ wyrażenia siebie, swoich emocji i tego, kim pan jest. Są dwie takie umiejętności – śpiew i taniec – które wychodzą z samego środka i powodują, że człowiek jest absolutnie pełny i szczęśliwy. Na przykład dla dzieci taniec jest czymś, co nie tylko stymuluje rozwój fizyczny, ale również psychiczny. Dziecko staje się pewne siebie, potrafi się odnaleźć w każdej sytuacji, taniec jest czymś, bez czego tak naprawdę nie możemy mówić o pełnym istnieniu.

Czyli niecałkiem istnieję...

– Tak, jest bariera, której pan nie przekracza, bo pan się wstydił coś w sobie uruchomić. A czy może być coś piękniejszego dla mężczyzny niż taniec z kobietą?

Spotkanie z nią w łóżku?

– Taniec jest tego substytutem, tylko inaczej miłym... Łóżko jest pewną kolejnością poznawania się, a taniec jest czymś, co pozwala na prawie takie zbliżenie jak w łóżku, a nie robimy tego kroku dalej. Jest ogromnie przyjemną częścią flirtu, który może zaprowadzić później do łóżka i do seksu. Ale nie musi...

I taniec, i łóżko łączą pewną śmieszność dziwnych ruchów, jak na to spojrzeć z boku...

– Pan mówi „śmieszne ruchy” i w ten sposób się odsłania. Bo dlaczego kroki są śmieszne? Dlatego, że ich nie umiemy, bo jak byśmy umieli...

Nie, bo są dziwnie skomplikowane.

– Są skomplikowane dla osób, które nie tańczą i boją się ośmieszenia, że sobie nie poradzą, że w oczach innych ludzi się skompromitują. Stąd pańska ucieczka w żart, mówienie, że taniec jest czymś śmiesznym...

A może jednak nie? Rozumiem taniec plemienny, on jest dosyć prosty, tancerze tańczą w kółko, najczęściej wokół ogniska lub wokół wizerunku boga, wpadają w trans, kroki są nieskomplikowane. A w takich tańcach jak paso doble, które poznaliśmy dzięki „Tańcowi z gwiazdami”, czy innych równie skomplikowanych wszystko jest dosyć wymyślone, wykombinowane.

– Krok podstawowy tanga jest jednym z najprostszych, podobnie krok podstawowy salsy. To są absolutnie najprostsze rzeczy i w ogóle nieśmieszne. Ludzie, którzy osiągają pewną perfekcję, szukają – tak jak w łóżku, kiedy im dłużej jesteście razem, tym więcej wymyślamy najbardziej fantastycznych sytuacji. Tańcząc, pokonują pewne bariery i robią rzeczy, które później nas zachwycają, ale od czegoś trzeba zacząć, od nieśmiesznego kroku podstawowego.

No to już bez śmiechu... Co jeszcze tracę, nie tańcząc?

– Taniec przede wszystkim daje ogromną pewność siebie, nie boimy się tańczyć z kobietami, więc i rozmawiać z kobietami.

Nie mam tego lęku, mimo że nie tańczę.

– Ale taniec daje nam też to, że w swoim środowisku zyskujemy taką magiczną otoczkę, że potrafimy rzeczy, których większość ludzi nie umie, przez co odzyskujemy swoje poczucie wartości. Taniec uczy nas też otwartości na innych ludzi, potrafimy z nimi rozmawiać także gestem, sposobem poruszania się, to jeszcze jedna możliwość kontaktu z drugim człowiekiem. Uczymy się w ten sposób nowego języka. Taniec pomoże dowiedzieć się, co jest atutem czło-

wieka, a co jest jego brakiem i jak powiniennym z tym żyć.

Pan żyje tańcem już 18 lat, czy zdarza się panu patrzeć na świat, na przykład na to, co się dzieje w polityce albo na ulicach, jak na taniec?

– Inaczej. Bardzo często siadam i obserwuję imprezę, nieraz widzę prezesów firm, którzy są absolutnymi bułterierami, przejmują firmy, obracają ogromnymi pieniędzmi, a widzę, że kiedy wychodzą na parkiet i zaczynają tańczyć, okazują się w gruncie rzeczy nieśmiałymi facetami. W tańcu nie da się oszukać, w tańcu widać, co jest ważne dla konkretnego

Przyjechałem z matką do Polski jako kilkulatek, mówiłem tylko po hiszpańsku. Byłem synem rewolucjonisty

AGUSTIN EGURROLA

człowieka, czy jest pewny siebie, czy nieśmiały, czy ma jakieś problemy.

Miał pan kiedyś okazję obserwować tańczących polityków?

– Tak, tańczą przede wszystkim ci, którzy mają jakąś wewnętrzną równowagę, są w środku poukładani, a to nieliczni. 80 procent polityków ma tak mały dystans do siebie, że nawet nie wyjdą na parkiet. Wychodzą ci, którzy mają trochę dystansu do siebie, poczucie wartości, którzy nie walczą z całym światem, którzy potrafią się na moment odciąć od tego, co robią.

I z tych, których pan widział, kto najlepiej tańczy?

– Chyba Marek Borowski. Na pewno widać, że kiedyś tańczył, widać, że to lubi, że mu się to podoba i że nie widzi w tym nic śmiesznego.

Pańska droga do tańca nie była prosta, zaczął pan bardzo późno, jako 19-latek.

– Wtedy w Polsce nie było tańca, były dancingi, były raptem dwa czy trzy kluby tańca i... szkoła baletowa. Ja do tańca trafiłem przypadkowo. Pewnego dnia wszedłem na salę i zobaczyłem tańczące pary, tę modlitwę nóg na parkiecie... To wydało mi się tak magiczne, że wiedziałem – to jest to, czego szukałem w życiu. I zacząłem tańczyć. Wszyscy mówili mi, że „mój pociąg już dawno odjechał”, że czego ja szukam w tańcu, tak późno zaczynając! I to było dobre pytanie... Szukałem w tańcu spełnienia i chciałem w życiu coś robić naprawdę dobrze, coś absolutnie niezwykłego, co spowoduje, że dla ludzi będę kimś ważnym, że bę-

dą mnie kochać za to, co robię, szukałem akceptacji. I myślę, że właśnie w tańcu to znalazłem.

A zanim pojawił się taniec, w latach 80., jakim był pan dzieckiem i młodzieńcem?

– Do 19. roku życia byłem całkiem inny. Przyjechałem z matką do Polski jako kilkulatek, mówiłem tylko po hiszpańsku i byłem synem rewolucjonisty, którego nie było w moim życiu, więc szukałem wzorca i tym wzorcem był dziadek. On zaprowadził mnie do kościoła.

Był antykomunistą.

– Tak, więc moja młodość minęła mi na służeniu do mszy, chodzeniu na pielgrzymki...

Był pan ministrantem w kościele, w którym księdzem był Jerzy Popiełuszko, to nie był wtedy zwyczajny kościół...

– Służyłem do mszy u księdza Jerzego, więc byłem młodym człowiekiem absolutnie świadomym tego, co się w kraju dzieje. Księdzem pan nie został, chociaż mogło tak być.

– Nie zostałem, mimo że miałem swojego rodzaju powołanie.

Na czym ono polegało?

– Na chęci zmieniania tego, co wokół, chęci mówienia ludziom, że jest coś ważniejszego w życiu niż tylko to, co nas na co dzień otacza, że warto iść prostą drogą przez życie, mówić prawdę.

I co się stało?

– Taniec stanął na mojej drodze... Geny, obraz ojca, o którym matka mi mówiła, że świetnie tańczy, opowieści o Kubie, to dręmało we mnie. I kiedy wszedłem wtedy na salę, usłyszałem cza-cze, rumbę, w środku zaczęło coś się dziać...

Niech mi pan o tym opowie jaśniej.

– Matka bardzo kochała mojego ojca, mimo że przeplakała przez niego tyle lat, wiedziałem, że była też zafascynowana kulturą latynoamerykańską, tym, że ludzie czerpią radość ze słońca i z tego, co się dzieje wokół. Kiedy jako 19-latek usłyszałem tę muzykę, nagle mój środek zaczął szybciej bić, nagle poczułem, że to też jest część mnie!

Wcześniej zdarzało się panu słuchać latynoskiej muzyki?

– Byłem mały, ale pamiętam, że słuchaliśmy na Kubie Iglesiasa, to był wtedy jego czas, Kuba po prostu kochała Iglesiasa. Małe dziecko tym nasiąkło i to dręmało. Przyjechałem do Polski, a tutaj była komuna i było szaro...

Nie było słońca.

– Nie było. Nauczyłem się szybko polskiego i za wszelką cenę chciałem być Polakiem i robiłem wszystko, żeby być akceptowanym, żeby jak najmniej się wyróżniać. Dlatego jako dziecko używałem drugiego imienia Marek, dopiero póź-

niej, jak nabrałem pewności siebie, postanowiłem wrócić do Agustina.

Ile miał pan wtedy lat?

– Tak naprawdę to się stało po pierwszej wizycie na Kubie, miałem wtedy trzydzieści kilka lat, spotkałem się z ojcem, doszedłem do wniosku, że nie ma co uciekać, że warto też się zmierzyć z tym, co się działo, zastanawiałem się, kim bym był na Kubie, jakbym tam żył.

Dlaczego tak długo trwało zaakceptowanie siebie?

– Taniec to była moja droga do akceptacji siebie, to nie było coś łatwego. Ja nie mówię, że raz się załaził i już się człowiek czuje wolnym. Ja powoli to swoje poczucie wartości budowałem. Już wcześniej powoli zaczynałem używać tego imienia i coś mnie w tym wszystkim fascynowało. Ale dopiero jak pojechałem tam, poznałem ojca, spędziłem z nim dużo czasu, a przyglądałem się już starszemu facetowi...

Był chyba obcy...

– Już nie było mowy o relacji ojciec – syn. Poznałem ciekawego człowieka, który skończył trzy fakultety, zjeździł cały świat, poświęcił swoje życie rewolucji, który miał w życiu mnóstwo kobiet, cztery małżeństwa... Patrzyłem, jak się porusza, jak chodzi, jak mówi, jak wita się z ludźmi.

A próbował pan mu mówić, jak daleko to, że porzucił pana polską mamę, wpłynęło na to, jak pan traktuje kobiety?

– To była jedna z pierwszych takich drastycznych rozmów, bo dla niego kobiety są trochę jak powieź, które trzeba mocno wdychać, on uwielbia kobiety, one go fascynują, one go napędzają, ale nie do końca widzi istoty, które można skrzywdzić, które czują, mają swoje marzenia, potrafią się zakochać.

I panu, zdaje się, odbiło w drugą stronę, z tego, co czytałem, pan nie potrafił nawet przerywać związku, który na przerwanie zasługiwał ze wszelkich miar?

– Tak. To jest pewna trauma z dzieciństwa, bo jak się widzi matkę, dla której ojciec był miłością życia i która przez wiele lat później – mimo że nie potrafiła już ułożyć sobie życia, przeplakała tyle lat i ze mną na rę-

Agustín Egurrola, 37, tancerz i choreograf, wielokrotnie zdobywał tytuł mistrza Polski w tańcach latynoamerykańskich (jest półkrwi Kubańczykiem). Reprezentował także nasz kraj w licznych konkursach międzynarodowych. Jako ledwie 20-latek założył formację taneczną VOLT, która rozrastała się wraz ze sławą właściciela. Nosząca dziś z angielska brzmiącą nazwę Egurrola Dance Studio następczyni VOLT-u jest zdecydowanie najpopularniejszą w Warszawie (jeśli nie w całej Polsce) szkołą tańca. Mieści się w pięciu miejscach stolicy, a służy nie tylko kształceniu tanecznemu dorosłych i dzieci, ale też jako studio, gdzie powstają dwa największe dziś show TVN-u: „Taniec z gwiazdami” i „You Can Dance”. W pierwszym Egurrola układa choreografię, w drugim jest jurorem. Prywatnie mąż tancerki Niny Tyrki, przed rokiem został szczęśliwym ojcem córki noszącej imię po najśłynniejszej bodaj bohaterce operowej Carmen.



ku, ona przecież cztery lata na tej rewolucyjnej Kubie czekała, aż on do niej wróci – nadal go kochała i żył w niej ten żal – to to musi coś z człowiekiem zrobić.

Z panem zrobiło to, że nie potrafił ranić kobiet.

– Tak, nie potrafię ich skrzywdzić, nie potrafię odejść, jak widzę płaczącą kobietę, to nagle jestem absolutnie sparaliżowany, bo mam wrażenie, że ból, który czuje, jest dla niej nie do zniesienia.

A współczuje pan przegranym w „You Can Dance”?

– Nie. Bo kiedy analizuję swoje życie, to dużo ważniejsze były dla mnie porażki niż sukcesy, one mnie mobilizowały, uświadamiały, gdzie jest problem, zmuszały do analizy, do niepokoju, do szukania przyczyny. Myślę, że oni przegrywają w „YCD” i od tego dojrzają, rozumieją, że ta porażka mogła być lepsza i ważniejsza niż wygrana.

Pan chodzi czasem na spektakle baletowe?

– Tak.

Co się panu w nich podoba? Perfekcja? Cichy tupot?

– Chodzę i zastanawiam się, co taką estetyką, tym charakterem ruchu oni mogą jeszcze pokazać, co mogą jeszcze wyrazić. Ale nie jest to coś, co budzi moje emocje.

Nogi panu nie biegają do skakania?

– Nie, po prostu patrzę, jak oni znaleźli swoją drogę w tańcu. Nie chodzę na balet dla emocji, chodzę raczej, żeby podziwiać.

Dokąd pan chodzi po emocje?

– Przede wszystkim na salę treningową, żeby ich szukać w sobie. I znajduję je, patrząc na innych, którym często wskazuję drogę, patrząc, jak odkrywają siebie, jak stają się mądrzejsi, lepsi, to budzi moje ogromne emocje, widok, jak ktoś się rozwija. Chodzę też po emocje na spektakle tańca współczesnego. Też koncerty gwiazd, dla których taniec jest czymś ważnym, którym oni pogłębiają swoje widowisko, budzą moje ogromne emocje.

Czy przy oglądaniu w wiadomościach telewizyjnych scen – kiedy demonstranci biegną, ścierają się z policją, rzucają kamieniami, czasem coś śpiwają – czuje pan podobne emocje?

– To jest ogromna inspiracja dla choreografa. Choreografowie czerpią z tego, co widzą. Nieraz „pracuję”, patrząc na ludzi na przystanku autobusowym, na sposób, w jaki się poruszają, bo po tym można poznać, skąd ktoś przyszedł, w jakim jest momencie swojego życia, to może być inspiracją. Tak samo, jak patrzy się na manifestację, widzi się ludzi, którzy czują rozpacz, lęk, ale idą, to może być ogromna inspiracja, jak takie emocje pokazać na scenie.

Jako młody człowiek chodził pan na pielgrzymki do Częstochowy. Czy coś z ruchów, majestatyczności takiej pielgrzymki może przydać się choreografowi?

– Cała liturgia kościelna to jest swego rodzaju choreografia, jak w ruchu scenicznym, w tym momencie ołtarz czy to, co dzieje się wokół niego, staje się sceną. Każdy ruch w jakiś sposób jest omówiony i przemyślany, niekiedy setki lat temu. To jest ogromna nauka choreografii patrzeć, kiedy ministrant podchodzi z winem czy moment podniesienia, czytania Pisma Świętego, temu wszystkim towarzyszą dopracowane ruchy. Tak samo, kiedy pielgrzymki dochodziły do Jasnej Góry, tłumy się rozlewały wokół klasztoru, odbywała się msza, tłumy klękały, pochylały głowy, wstawiały...

Bóg jest dla pana wielkim choreografem?

– Bóg jest największym choreografem.

Powiedział mi pan, jak wiele tracę, nie tańcząc. Mam 48 lat, czy jest sens, że bym w swoim wieku zaczął się uczyć tańca?

– Odpowiedź na to pytanie najlepiej znaleźć w Argentynie.

Czemu?

– Buenos Aires to stolica tańca. Miałem okazję być i oglądać milongi, imprezy tanga. Patrzyłem, co powoduje, że ludzie tam przychodzą, jak tańczą, jak siebie proszą do tańca i jak wygląda sam taniec. I rzecz uderzającą było to, że najlepsi tango to byli już bardzo dojrzały mężczyźni, żeby nie powiedzieć starszuszki... Tancerzem tanga, który wzbudzał moje największe zdziwienie i największy entuzjazm kobiet, był 70-letni facet. Tańczył w czasie jednego wieczoru z 30 kobietami, które po prostu czekały na swoją kolejkę. Zamykali oczy, przytulali się do siebie policzkami i miałem wrażenie, że te kobiety nie z nim tańczą, tylko z tym, co on ma w środku, z jego życiem i przeżyciami. On potrafił je tak wprowadzić w swój świat, że były jego bez reszty. I to świadczy o tym, że taniec jest przede wszystkim dla ludzi dojrzałych, bo jest sztuką, w której trzeba umieć też coś opowiedzieć. Dzieci i młodzi ludzie szukają w tańcu przede wszystkim sprawności, tego, żeby zachwycać innych, natomiast ludzie dorośli szukają wyrażenia siebie. Do tańca trzeba dorosnąć. Pan dorósł?

Nie sądzę. Byłby pan zwolennikiem wprowadzenia lekcji tańca w szkole?

– Bardzo często się nad tym zastanawiam, ale boję się, że wtedy taniec by stracił to coś magicznego, bo stałby się przymusem. Musi być dobrowolny, każdy człowiek musi dojrzeć do tego, że chce tańczyć, że jest już na tyle silny, żeby się na to odważyć.

Skandalista ze Skandynawii



Atakuje feministki i prawicowych polityków, mówi o hipokryzji Ameryki i broni świata islamu. Od blisko 40 lat jest czołowym skandalistą Skandynawii. Aż trudno uwierzyć, że **Jan Guillou** istnieje naprawdę, a nie zrodził się w wyobraźni słynnego twórcy politycznych kryminałów Stiega Larssona

SYTY KRZYŻOWIEC BARTOSZ STASZCZYŹYŃ

Gdy w październiku ubiegłego roku dziennikarze tabloidu „Expressen” ujawnili, że Jan Guillou w latach 60. współpracował z KGB, znów znalazł się on w środku medialnej burzy. Nie pierwszej i zapewne nie ostatniej w jego wieloletniej karierze. Szwedzki pisarz bowiem ma talent do ściągnięcia gromów na swoją głowę. Jest dziennikarskim celebrytą, prowokatorem, a zarazem jednym z najsprawniejszych szwedzkich prozaików. Stworzona przez niego trylogia o templariuszu Arnie w Szwecji sprzedała się w przeszło dwumilionowym nakładzie. Hitem okazał się także film Petera Flinthta „Templariusze. Miłość i krew”, goszcząca właśnie na naszych ekranach adaptacja pierwszych dwóch części serii (polskie wydanie Videograf II). Przedstawiona w niej historia miłości, zdrady i intryg ludzi władzy przy biografii Jana Guillou wygląda jednak jak lektura dla pensjonarek. Bo pisarz ze Sztokholmu skrywa więcej tajemnic niż większość książek o skartach templariuszy i wciąż nie sposób rozstrzygnąć, czy jest sprytnym oportunistą, czy człowiekiem naznaczonym przez błędy młodości? Literackim szalbierzem czy geniuszem pióra? Szpiegiem czy demaskatorem obnażającym nadużycia władzy?

Wytrawny śledczy

Pierwszy raz zrobiło się o nim głośno w 1973 roku. Pracował dla lewicującego pisma „Folket i Bild/Kulturfront”, kiedy wraz z Peterem Brattem opublikował artykuł ujawniający istnienie IB, szwedzkiej służby specjalnej funkcjonującej poza oficjalnymi strukturami państwa. Korzystając z informacji jej byłego pracownika, Guillou i Bratt pisali o inwigilacji środowisk lewicowych, współpracy z amerykańskimi i izraelskimi służbami specjalnymi oraz o bezpośrednich powiązaniach IB z kancelarią premiera Olofa Palme. Doniesienia młodych dziennikarzy szybko zostały zdemontowane przez polityków. Sven Andersson, ówczesny minister obrony, stanowczo zaprzeczył, jakoby IB miało kogokolwiek infiltrować czy też prowadzić zagraniczne operacje, a sejmowe dochodzenie nie potwierdziło nielegalnych działań tych służb.

Zarzuty usłyszeli natomiast dziennikarze: Guillou, Bratt, ich informator Håkan Isacson oraz fotograf Ove Holmqvist. Wszyscy zostali skazani za szpiegostwo na dziesięciomiesięczną odsiadkę. Guillou odbył jedynie część kary, a po opuszczeniu aresztu został gwiazdą swojej profesji. Afera IB uczyniła z niego dziennikarskiego męczennika, ale zostawiła też mało przyjemną pamiątkę – wciągnięty przez szwedzkie władze na listę domniemych terrorystów do dziś ma problem z zagraniczy-



Niech się święci Święto Pracy. 1 maja 1973 roku: **Guillou** (w środku), **Peter Bratt** (z prawej) i redaktorka „Folket i Bild/Kulturfront” **Greta Hofsten** w redakcji magazynu

mi podróżami. Właśnie z tego powodu w 2003 roku nie mógł stawić się na ceremonii wręczenia Oscarów, mimo że „Zło” nakręcone według jego powieści przez Mikaela Håfströma było jednym z kandydatów do tej nagrody.

Jego opinie wywołujące kontrowersje potwierdzały kolejne skandale. W 1976 roku poruszył opinię publiczną, kiedy w jednym ze swoich tekstów zaatakował Izrael, nazywając go „państwem apartheidu” zbudowanym na rasizmie i niesprawiedliwości. Sporą dyskusję spowodowała także wydana rok później książka „Irak – nowa Arabia” (napisana wraz z ówczesną żoną Mariną Stagh), w której entuzjastycznie pisał o rządach partii Baas. Sądził, że pod rządami Ahmeda Hassana al-Bakra oraz Saddama Husajna Irak bardzo szybko dorówna europejskim standardom życia, zadając kłam rasistowskim opiniom na temat Wschodu. Wierząc w świetlaną przyszłość Iraku, Guillou jednocześnie miał oskarżenia wobec myślicieli Zachodu – krótkowzrocznych intelektualistów oraz ksenofobów.

Skrzywdzony chłopiec

Na stronie internetowej Jana Guillou widzimy zdjęcie uśmiechniętego pisarza z wielkim kuchennym nożem przy twarzy – ten człowiek potrafi grać własnym

wizerunkiem. Jako pisarz dla sławy oraz pieniędzy wywlekał rodzinne brudy i niebezpiecznie bawił się swoją biografią.

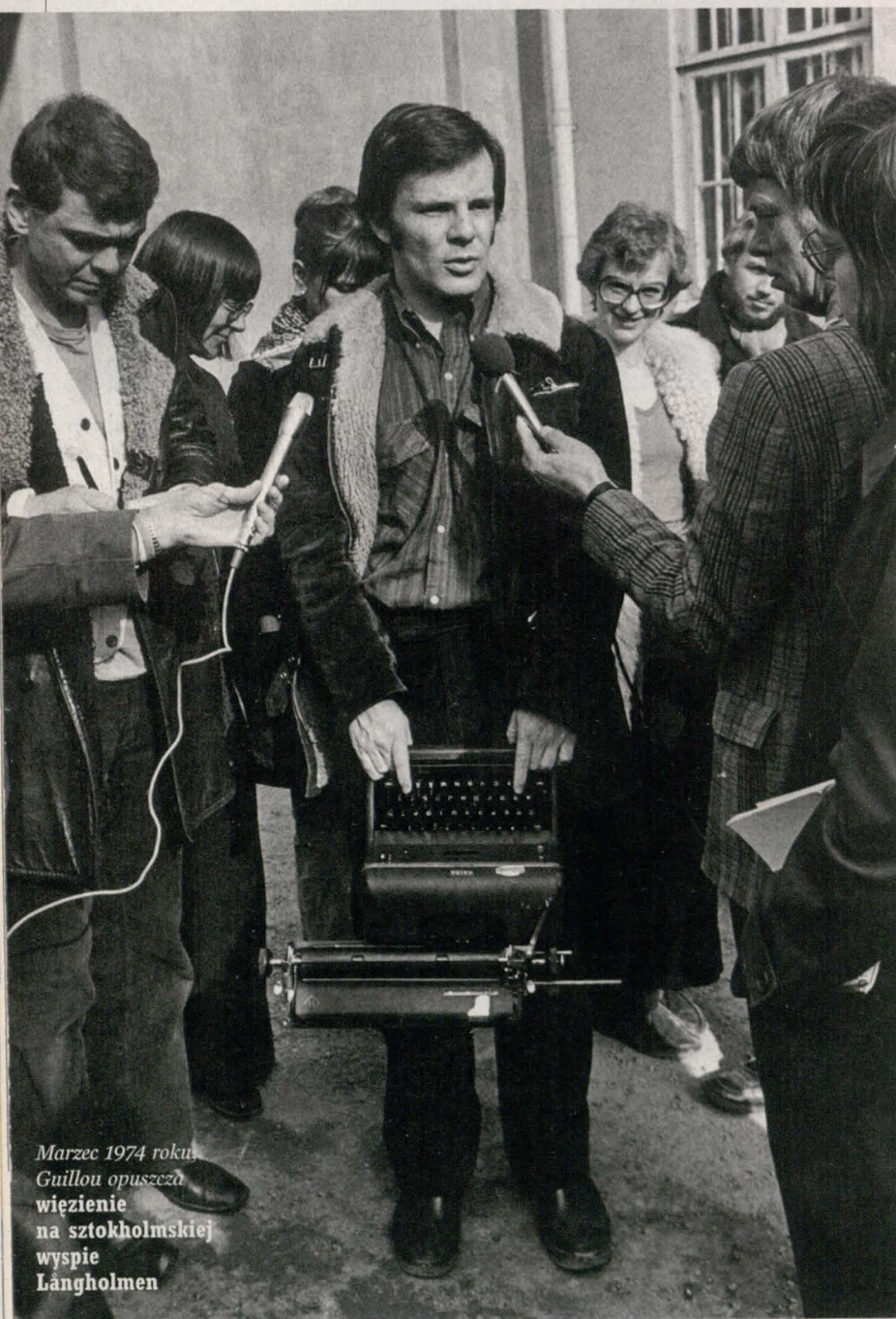
Kiedy w 1981 roku opublikował powieść „Zło”, nie ukrywał, że inspirowana jest jego osobistymi doświadczeniami. Historia 14-letniego Erika odraegoującego w szkolnych murach przemoc, której doświadcza ze strony okrutnego ojczyma, miała być opowieścią o traumatycznej młodości pisarza. Zgadzało się wiele faktów: ojciec Guillou, pracownik francuskiej ambasady, porzucił rodzinę i zamieszkał w sąsiedniej Finlandii. Młody Jan wychowywany był przez matkę Marianne oraz ojczyma. Jak powieściowy bohater mieszkał na przedmieściach Sztokholmu i tak jak on sprawiał poważne problemy wychowawcze – został wyrzucony z jednej ze szkół za złe zachowanie: fizyczną i psychiczną przemoc, zastraszanie kolegów oraz kradzieże. Fabułę powieści Guillou osnuł na przeżyciach z młodości, ale kreując postać refleksyjnego i skrzywdzonego Erika, wymieszał biograficzną prawdę z fikcją.

Na nic zdały się tłumaczenia matki, nauczycieli i przyjaciół z dzieciństwa, którzy podważali prawdziwość traumatycznych historii – publiczność kupiła je jako prawdziwe. Głównie dlatego, że Guillou okazał się znakomitym →

→ pisarzem. Nawiązując do Musila i Vargasy Llosy, stworzył obraz okrutnego, zhierarchizowanego świata, a zarazem wnikliwe studium zła. Napisałne błyskotliwym językiem, dobrze skonstruowane „Zło” okazało się lekturą dotkliwą (taką pozostaje też w świetnym polskim przekładzie Anny Marciniakówny), a literacka klasa książki oraz skandal towarzyszący jej wydaniu zaowocowały niemal półmilionowym nakładem. Komercyjny sukces „Zła” pokazał, że umiejętne mieszanie fikcji z rzeczywistością pomaga budować własną legendę i zarabiać wielkie pieniądze. Zapewne dlatego Guillou postanowił przemycić elementy swojej biografii do kolejnych powieści. Ich bohaterem był Carl Gustav Gilbert Hamilton (*vel* Coq Rouge), agent spe-

To były tylko rozmowy o polityce. Parę nieistotnych spotkań. Zresztą przecież nie jest zbrodnią spotkać się z kimś z obcego wywiadu

JAN GUILLOU O KONTAKTACH Z KGB



Marzec 1974 roku. Guillou opuszcza więzienie na sztokholmskiej wyspie Långholmen

cialny współpracujący ze szwedzkim wywiadem. Od 1986 roku, kiedy to ukazała się pierwsza poświęcona mu powieść, Hamilton aż dwunastokrotnie gościł na stronach książek Guillou. Stał się najpopularniejszym szpiegiem Skandynawii. Nazywany „nordyckim Bondem”, stworzony został na obraz i podobieństwo samego pisarza.

Wywodził się z arystokratycznej rodziny, był przeciwnikiem wojny w Wietnamie, zjadłym lewicowcem i – jak Guillou w latach 60. – należał do Maoist Clarté, studenckiej grupy antyfaszystowskiej związanej ze skrajnie lewicowym skrzydłem Komunistycznej Partii Szwecji. Opisując przygody bohatera agenta, autor „Zła” umiejętnie wykorzystywał swoją wiedzę o Bliskim Wschodzie i służbach specjalnych. W kolejnych częściach serii kazał Hamiltonowi walczyć z izraelskimi terrorystami, zapobiegać przemutowi broni nuklearnej wykradzonej z Murmańska, a nawet ścierać się z sycylijską mafią. W rzeczywistość sensacyjnych powiastek wplatał elementy realnej polityki – w niedawnej „Madame Terror” w tle szpiegowskiej intrygi pojawiała się między innymi Condoleezza Rice.

Losy Hamiltona wzbogacał też opisami własnych doświadczeń, czego najbardziej oczywistym dowodem była powieść „Fiendes fiende” („Wróg wroga”), w której szwedzki superbohater oskarżany był o szpiegostwo. Na tym nie kończyły się autobiograficzne inkrustacje. Dokumenty opublikowane przez Säpo, szwedzką służbę specjalną, a nagłośnione przez dziennik „Expressen” w październiku ubiegłego roku, rzuciły nowe światło na opisywane przez niego szpiegowskie historie.

Rosyjski szpieg

Dziennikarze szwedzkiego tabloidu Mikael Hylin i Micke Ölander ujawnili bowiem, że od 1967 roku przez pięć lat Guillou był sowieckim agentem. Spośród 700 stron, które liczy tom dokumentów ujawnionych przez Säpo, 20 poświęconych jest pisarzowi i relacjom łączącym go z oficerem KGB Jewgienijem Gergelem, który w latach 60. i 70. rezydował w radzieckiej ambasadzie w Sztokholmie. Dla Gergela młody dziennikarz miał być źródłem informacji na temat środowiska młodej lewicy. Sam Guillou zaś miał nadzieję, że dzięki kontaktom z oficerem KGB uda mu się lepiej poznać mechanizmy rządzące tajnymi służbami i zbadać, w jaki sposób sowiecka agencja infiltruje społeczeństwo. Zręczniejszym manipulatorem wydaje się szwedzki pisarz, który wykorzystywał swoje obserwacje, pisząc artykuły o agenturalnym światku, a później – serię powieści. Między innymi dzięki znajomości z Gergelem rok po zakończeniu ich współpracy zyskał sławę jako tropiciel nielegalnych służb politycznych.

I choć z akt dotyczących Guillou nie wyłaniał się obraz demonicznego agenta, szukający sensacji dziennikarze chcieli przykleić mu taką łatkę. Autor „Zła” tłumaczył, że przyjmowanie pieniędzy za współpracę miało dowodzić jego pozornej zależności, a rozmowy, które odbywał, nie dotyczyły środowiska dziennikarskiego, lecz międzynarodowej polityki, wojny w Wietnamie i spr-

wy palestyńskiej. W wywiadach brzmiał tak przekonująco, że brukowce wyciągnęły przeciw niemu potężniejsze działa. Jego działalność szpiegowską połączono ze śmiercią Arne Lemberga, dziennikarza zamordowanego w Ugandzie w 1979 roku, który 12 lat wcześniej doniósł Säpo o powiązaniach Guillou. Nikt nie był w stanie wyjaśnić, jaki związek z jego tragiczną historią miał szwedzki pisarz, a on sam mówił dziennikowi „Svenska Dagbladet”, że rewelacje autorów obwiniających go o śmierć Lemberga są jedynie ich chorym wymysłem. Zaskakująco szybko więc opadł kurz medialnej bitwy.

Midas z Södertälje

Sensacyjne doniesienia dotyczące agenturalnej przeszłości dziennikarza pozostawiły zaledwie rys na jego wizerunku. Po raz kolejny pokazały natomiast, że Guillou jest Zeligiem szwedzkiej kultury – niczym bohater Allena świetnie odnajduje się w każdym otoczeniu. Ma na swoim koncie głośne książki publicystyczne i szpiegowskie czytadła, psychologiczne „Zło” i historyczną trylogię, pisał do najważniejszych szwedzkich tytułów, ale ma swoją rubrykę w popołudniowym brukowcu. Wywołuje skandale, buduje własną legendę i korzysta z niej dla zwiększenia swojej popularności.

Gdy po atakach na World Trade Center podczas największego festiwalu literackiego w Skandynawii Gothenburg Book Fair ogłoszono trzuminutową ciszę mającą uczcić ofiary terrorystów, Guillou ostentacyjnie wyszedł. Manifestując swój sprzeciw wobec krwawej amerykańskiej polityki, jednocześnie skupił na sobie uwagę szwedzkich mediów. Te ostatnie mówiły o nim także wte-

Szwedzka ekranizacja „Zła” Guillou (2003) została nominowana do Oscara

dy, gdy krytykował szwedzką politykę imigracyjną i gdy dzielił się przemyśleniami na temat „mody na homoseksualizm”. Pisano o nim tym chętniej, że jego córka Ann-Linn jest znaną w Szwecji działaczką feministyczną i żyje w związku partnerskim z Sandrą Andersson, córką słynnego reżysera Roya Anderssona.

Guillou potrafi manipulować mediami. Pisarz, który swoją autobiografię zatytułował „Siła i bezsilność słowa”, często wykorzystuje pierwszą z tytułowych właściwości słów. Dzie-



ki marketingowemu sprytowi i bezsprzecznemu talentowi stał się jednym z najlepiej zarabiających ludzi kultury. Książki tego pisarza sprzedają się w milionowych nakładach i są tłumaczone na kilkanaście języków, a popularność próży przyciąga również filmowców. W adaptacjach szpiegowskich thrillerów Guillou występowali najwięksi gwiazdorz szwedzkiego kina: Stellan Skarsgård i Peter Stormare. Ekranizacja napisanej przez niego sagi o templariuszu – z budżetem sięgającym 30 milionów dolarów – była najdroższą produkcją szwedzkiej kinematografii, a „Zło” Mikaela Hafströma oprócz popularności zdobyło też uznanie krytyków.

Bo autor „Madame Terror” to nie tylko cynik skrywający się za ironiczną maską, ale także znakomity pisarz, który literackie rzemiosło raz podnosi do rangi sztuki, by znów oddać swój talent w służbę mamony. Oprócz milionów koron na jego koncie znajdujemy również nagrody dla telewizyjnej osobowości roku i najlepszego szwedzkiego pisarza. Jest współwłaścicielem (wraz z między innymi Lizą Marklund, królową szwedzkiego kryminału) jednego z największych szwedzkich wydawnictw literackich – Piratförlaget – i autorem ostrych felietonów. Konsekwentnie kontrowersyjny, czasem odważnie odrzucający polityczną poprawność jest bodaj najbardziej tajemniczym celebrytą Europy. □

Widowiskowe ziewanie

Żeby przetrwać ten film, trzeba wiary krzyżowca

W ZASADZIE WSZYSTKO jest, jak trzeba: rycerski epos z wojnami krzyżowymi w tle, wielka miłość i nie mniejsza zdrada. Piękne widoki, widowiskowe pojedynki przetykane odpowiednio patetycznie wygłaszanymi kwestiami dotyczącymi, nazwijmy to, spraw ostatecznych. I to wszystko za europejskie pieniądze. A jednak film nie działa nawet

w wyznaczonych ramach widowiskowego kiczu. Jesteśmy w XI wieku. Niejaki Arn Magnusson (nijaki do bólu Joakim Nätterqvist) łąduje w zakonie, w którym uczy się, jak dobrze mordować w imię Boga. Zanim jednak przystąpi do rzeczy, zdąży spłodzić syna dziewczynie o „perłowych włosach” (Sophia Helin) i przeżyć wiele, jeżeli wierzyć scenarzyście, fascynujących przygód. Ci, którzy nie uwierzą, wynudzą się jednak

setnie. Film Petera Flintha mizdrzy się do nas ładnymi widoczkami, niewątpliwą spektakularnością, niestety zupełnie zapominając o bohaterach (a jest ich tu kilkunastu!) i nawet nie próbując zarysować sensu ich ekranowej egzystencji. Podobno to wynik tego, że pokazywana u nas wersja jest zaledwie fragmentem oryginalnej czterogodzinnej dylogii. Wierzę, ale sprawdzać nie chcę.

Michał Burszta

„Templariusze. Miłość i krew”, reż. Peter Flinth, Szwecja/Norwegia, 2007, Kino Świat, 139', premiera 25 grudnia



TECZKI

> Tiana

– pierwsza czarna księżniczka Disneya, bohaterka „Księżniczki i żaby”. Twórcy tej animacji, by ochronić się przed gromami ze strony konserwatywnej widowni, zrobili sprytny unik: przez sporą część filmu Tiana nie jest ani czarna, ani biała, tylko zielona.



Uhura

– wy pamiętacie ją ze „Star Treka”, a historycy kina pamiętają ją dlatego, że jako pierwsza czarnoskóra postać 22 listopada 1968 roku pocałowała się na ekranie z białym, czyli Mr. Spockiem. Na południu USA w ogóle tego odcinka nie wyemitowano, uznając go za zbyt bulwersujący.

Głowy różnych państw

NIECH NAM ŻYJĄ 200 LAT!



Oscar Niemeyer



Rita Levi-Montalcini



Johannes Heesters

MIMO SKOŃCZONEJ SETKI wciąż nie myślą o emeryturze. „Nie ma czego świętować” – wzruszał niedawno ramionami Oscar Niemeyer, słynny brazylijski architekt, w dniu swoich 102. urodzin. Ten dzień spędził jak zwykle: przy desce kreślarskiej, z przerwą na spotkanie z dziennikarzami i zjedzony na mieście obiad.

Wciąż aktywna zawodowo jest również ponadstuletnia Włoszka Rita Levi-Montalcini, laureatka Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny, która czas dzieli między pracę laboratoryjną nad meandrami mózgu a działaniem na rzecz młodych naukowców z krajów rozwijających się. Choć od kilku lat na każde swoje urodziny daje

koncert, nie wypada śpiewać „Sto lat”. Johannesowi Heestersowi, bo w grudniu skończył on 107 lat. Słynny od lat 20. XX wieku niemiecki śpiewak hollenderskiego pochodzenia wciąż budzi kontrowersje, bo w czasie wojny śpiewał dla Wehrmachtu i żołnierzy SS między innymi w obozie koncentracyjnym w Dachau. – mil

PLANETARIUM KAROLINA PASTERNAK

Księżniczka, żaba i tabu

Po wyprodukowaniu 48 pełnometrażowych animacji rysownicy Disneya wreszcie odważyli się użyć do kolorowania księżniczki brązowej kredki

PRZELAMIE STEREOTYPY czy je umocni? Jak na „Księżniczkę i żabę”, 49. animację Disneya (na ekranach od 15 stycznia), zareaguje konserwatywna biała publiczność? Wreszcie: jaka będzie pierwsza bajkowa czarnoskóra księżniczka? Tego typu pytania przetaczały się przez zachodnią prasę – od „The New York Times”, przez „Hollywood Reporter”, po „The Guardian” – od maja 2009 roku, czyli od momentu, gdy Disney puścił w świat szczegóły fabuły swojej najnowszej animacji, w tym informację o tym, że jej główna bohaterka będzie Afroamerykanką. Dlaczego ponad 40 lat po wprowadzeniu w USA zrównującej w prawach białych i czarnych ustawy o prawach obywatelskich, w czasach prezydentury Baracka Obamy czarna baj-

kowa postać tak bardzo media i widzów porusza? Odpowiedź na to pytanie znajdziecie we wspomnieniach z dzieciństwa. Przecież wyróżnikiem prawie wszystkich disneyowskich postaci księżniczek – od Królowej Śnieżki, przez Kopciuszka, po Piękną z „Pięknej i bestii” i Arielkę z „Małej syrenki” – były nie tylko wielkie, lśniąco oczy, smukłe sylwetki i nienagannie fryzury, ale także śnieżnobiałe lica. Jedy- nym w historii Disneya odstępstwem od reguły, która nakazywała, by postaci o błękitnej krwi miały zawsze białe skóry, była śniada księżniczka Jasmina z „Alladyna”. Przeróżające? Owszem, dlatego o rasistowskich grzeszkach wytwórni Disneya powstała już niejedna praca naukowa. Ale to już opowieść na zupełnie inną bajkę...

< Christie – pierwsza czarna koleżanka białolicej Barbie. W sprzedaży od 1968 roku. Wyłączając kolor skóry, wyglądała identycznie jak jej biała przyjaciółka. Twórcy zupełnie nie uwzględnili różnic fizycznych charakterystycznych dla każdej z ras.



Nowa twarz gwiazdy „MASH”

Alan Alda robi karierę jako gospodarz programu popularnonaukowego

W PEWNYM SENSIE NIC, CO LUDZKIE, nie było mu obce już w czasach, gdy parał się aktorstwem. W pierwszej kolejności Alda kojarzony jest przecież z długoletnią rolą chirurga w serialu „MASH”, w drugiej – z udziałem w filmach Woody’ego Allena „Wszyscy mówią: Kocham cię” czy „Tajemnica morderstwa na Manhattanie”. Pierwsze doświadczenie dostarczyło mu wiedzy na temat ludzkiego ciała, drugie (czyli praca z ekscentrykiem Allenem) – ponadprzeciętnej wiedzy na temat ludz-

kiego umysłu, w szczególności przeróżnych neuroz. W swoim najnowszym (ma już na koncie emitowany latami „Scientific American Frontiers”), produkowanym przez PBS programie popularnonaukowym „The Human Spark” (premiera 6 stycznia) 74-letni Alda już jako dziennikarz zgłębia z kolei tajniki antropologii, próbując odnaleźć „brakujące ogniwo”. Co nas różni od szympanów? Jaka była droga od człowieka neandertalskiego do homo sapiens – oto, co dziś nurtuje pamiętnego Sokole Oko z serialu Roberta Altmanna. Ale Alda nie jest ani pierwszym, ani jedynym gwiazdorem, który za cenę lukratywnego kontraktu z telewizją odnalazł w sobie zupełnie nową pasję. – kp

Człowiek z metalu

Christopher Lee opowie o swoim wielkim przodku Karolu Wielkim. Ale nie w kinie – woli symfoniczny metal



W ŻYŁACH 87-LETNIEGO AKTORA PLYNIE NIE LADA KREW. Christopher Lee, znany z ról Draculi, Sarumana czy tytułowej roli w bondowskim „Człowieku ze złotym pistoletem”, jest potomkiem samego Karola Wielkiego. I tym cesarskim pochodzeniem zamierza się pochwalić. „Ku mojemu zaskoczeniu i głębokiej radości odkryłem w sobie nowy talent” – cieszy się w nagraniu opublikowanym w Internecie. A chodzi o talent muzyczny.

W połowie marca jego śpiew usłyszymy na płycie „Charlemagne: By the Sword and the Cross”. W nagraniach wzięła udział orkiestra symfoniczna, chór oraz goście, których nazwiska Lee trzyma na razie w tajemnicy. „W tej opowieści pojawia się przecież wiele postaci. Oprócz Karola Wielkiego, w którego wcielił się sam, jest jego ojciec, brat, jest nawet papież” – mówi Lee. Aktor współpracował luźno z metalowymi kapelami Rhapsody in Fire oraz Manowar i to chyba sprawiło, że „Charlemagne” nie będzie opowieścią z krainy łagodności: „Nazywamy to symfonicznym metalem. To fascynujące, że na tym etapie życia będę traktowany jako wokalista metalowy. Kiedy album już się ukaze, będzie sensacją” – obiecuje Lee, a my już marzymy o koncertach. – mh

NIEZNANE O ZNANYCH, CZYLI SKOK W BOK

SREBRNY NOS ASTRONOMA



Olga Woźniak

DLCZEGO NIE WARTO NADUŻYWAĆ KRÓLEWSKIEGO ŁOŻA I O TYM, ŻE WSTRZYMYWANIE SIĘ MOŻE KOSZTOWAĆ ŻYCIE, CZYLI KRYMINALNA ZAGADKA SPRZED WIEKÓW

N o i chyba to, kurczę, przegapiłam. Wie ktoś, czy w końcu otwarto grób Tycho Brahe w kościele tyńskim w czeskiej Pradze? A tak się w zeszłym roku odgrążali, że to zrobili. Przypomniało mi się właśnie, jak zaczęłam się zastanawiać, co mnie ominęło w 2009 roku. Przeglądałam Internet – nic nie ma, że otworzyli. A chyba by było, prawda?



Dlaczego tak mi zależy? Po pierwsze, jestem ciekawa, czy duński astronom rzeczywiście miał nos ze srebra. Swoją własną stracił ponoć w pojedynku. Podobno na różne okazje robił sobie rozmaite protezy. Kiedy w 1901 roku otwarto jego grób po raz pierwszy, kości czaszki były zielone. Niektórzy przypuszczali, że to nalożenie z miedzi i że ten nos to niby był miedziany.

P o drugie, ciekawa jestem, dlaczego Brahe właściwie umarł. Anegdota mówi, że zabiło go... powstrzymywanie się. Na jednym z przyjęć urządzanych na praskim dworze wypił podobno dużo piwa. A że afromtem było opuścić imprezę przed cesarzem, astronom zacisnął nogi i wytrzymał do końca. Kiedy wrócił do domu, nie mógł już jednak wycisnąć z siebie ani kropki i po 11 dniach zmarł w wielkich cierpieniach (do dziś prasce piwosze w drodze do toalety mawiają: „Nie chcę umrzeć jak Tycho Brahe”). Plotka plotką, a jak było faktycznie? Może przyczyną zatrzymania moczowego był kamień moczowy, może uremia (uszkodzenie nerek)? Ciekawe byłoby dowiedzieć się prawdy. Jest jeszcze jedna teoria: po zbadaniu kilku włosów z wąsów Brahe przechowywanych przez Muzeum Narodowe w Pradze (po historii z penisami

sławnych ludzi znajdującymi się w rozmaitych kolekcjach nic mnie już nie zdziwi) w organizmie astronoma stwierdzono wysokie stężenie rtęci. Dokonujący analizy naukowcy z Uniwersytetu z Lund oświadczyli, że rtęć nie gromadziła się w ciele Brahe stopniowo, ale została połknięta 13 godzin przed jego śmiercią. Czy to był rodzaj terapii nerek (Brahe był alchemikiem i interesował się medycyną)? Czy też może ktoś go zamordował?

W Być może otrucie zlecili jezuici, a może to uczeń Johannes Kepler chcący przypisać sobie osiągnięcia Duńczyka? Eryk Brahe, zadłużony kuzyn? Miłością do Brahe nie palił też duński król Christian IV. Astronom był ulubieńcem poprzedniego króla Danii Fryderyka II (przybrany ojciec Brahe zmarł na zapalenie płuc, którego nabawił się, ratując króla przed utonięciem). Tycho dostał od Fryderyka II nawet prywatną wyspę, na której wybudował nowoczesne jak na XVI wiek obserwatorium. Gdy Fryderyk zmarł, nowy król zrównał obserwatorium z ziemią (powodem owej furii był ponoć romans Brahe z królową matką i plotki, że Christian jest nieślubnym synem Brahe), a astronom uciekł do Pragi pod skrzydła ekscentrycznego mizantropa, cesarza Rudolfa II.

Gdzie szukać prawdy? W grobie astronoma. Nie wiem, czy go otwarto. Myślę, że ciągle nie, bo ostatni raz, kiedy o tym czytałam, czeski episkopat kręcił nosem na grzebanie w tyńskim kościele. Kto ma uszy do słuchania, niechaj jednak słucha. Może w tym roku zagadka kryminalna sprzed kilkuset lat doczeka się rozwiązania... □

→
W tym tygodniu:

TAK BARDZO SKUPILIŚMY SIĘ NA ŚLEDZENIU
BLIŹNICH, ŻE NIE STARCZYŁO NAM JUŻ
MIEJSCA ANI NA TEKST O NORNICACH,
ANI NAWET NA ROZBIERANE ZDJĘCIA
CZŁONKÓW REDAKCJI



Uwaga: obecność kontrolowana

PRYWATNOŚĆ TEKST PIOTR STANISŁAWSKI, ILUSTRACJA JAKUB JABŁOŃSKI

Codziennie znika
nam po małym
kawalku. Zostaje
w bankomatach,
kamerach i Farm Ville.
Gdzie gubimy naszą
prywatność i czy
powinniśmy za nią
tęsknić?

w sposób zwracający uwagę, a przede wszystkim noś czapkę z daszkiem i lekko opuszczając głowę. Dość wysoko umieszczone obiektywy są wtedy bezradne.

2. KARTA Z PODGLĄDEM

Warszawa, a wraz z nią kolejne miasta, decyduje się na wydawanie spersonalizowanych kart miejskich będących nośnikiem biletów miesięcznych czy kwartalnych. Personalizacja to oszczędność dla miasta – pasażerowie pilnują swojej karty i nie żądają nowej tak często, jak ma to miejsce w przypadku kart anonimowych.

Jednak personalizacja oznacza, że mały kawałek plastiku noszony w kieszeni zawiera dane pozwalające jednoznacznie nas zidentyfikować. Wraz z wprowadzeniem w Warszawie takich kart pojawił się problem związany z planami zapisywania w bazie danych firmy odpowiadającej za przewozy informacji o tym, jakimi trasami przemieszczają się poszczególni pasażerowie. W przypadku metra jest to wyjątkowo łatwe, bo przy każdym wejściu na stację konieczne jest zbliżenie karty do czytnika. Bez problemu można więc stwierdzić, że pan Iks wsiadł na stacji Centrum i 20 minut później wysiadł na stacji Stokłosy, opuszczając ją północnym wyjściem. Miało to służyć usprawnieniu komunikacji. Generalny Inspektor Ochrony Danych Osobowych po przyjrzeniu się sprawie zabronił gromadzenia podobnych danych, jednak techniczne możliwości pozostają.

Sposób na zabezpieczenie się jest tyle prosty, ile niewygodny i kosztowny – nie należy korzystać z długookresowych biletów w tych miastach, w których są one kodowane na kartach spersonalizowanych.

3. TELEFON ZDRADCA

O tym, że dzwonienie z telefonu komórkowego jest bardzo dalekie od anonimowości, wie każdy. Jak jednak pokazują przykłady durniów zawiadamiających o „podłożeniu bomby”, wielu ludziom wydaje się, że dzwonienie z kupionej w kiosku karty prepaid uczyni ich niewykrywalnymi. A przecież oprócz numeru telefonu operator dostaje też informację o numerze IMEI na stałe (no prawie) powiązanym z telefonem. A przecież każdy telefon ktoś kiedyś kupił i często nietrudno dotrzeć do informacji, kto jest jego właścicielem.

SPOKOJNY WIECZÓR, ZBLIŻA SIĘ 22, SIEDZISZ na kanapie z książką, gdy nagle dzwoni telefon. Kto, u licha, dobija się o tej porze? Podnosisz słuchawkę i słyszysz: „Cześć! To Michał?”. Zgodnie z prawdą odpowiadasz: „Nie”. Chwila wahania i kolejne pytanie: „A kto mówi? I co to za numer?”. Naturalna reakcja – oburzenie. Nie dość, że ktoś wydzwaniania do ciebie, to jeszcze każe się przedstawiać i podawać swój numer telefonu. No po prostu zwykła bezczelność. Zależnie od nastroju mieszasz dzwoniącego z błotem, udzielasz mu lekcji grzeczności lub po prostu odkładasz słuchawkę.

A już chwilę później siadasz do Facebooka i szybkim ruchem akceptujesz dodanie nowego znajomego. Skądś go chyba znasz, skoro się do ciebie zgłosił, tylko skąd? No nieważne, masz już 122 znajomych i najwyraźniej jesteś popularny, więc ludzie się garną. Tyle że przy okazji dałeś komuś zupełnie obcemu dostęp do wszystkich informacji, które zawiera twój profil – listy znajomych, miejsca zamieszkania, grup zainteresowań, zdjęć, głupich i mądrych komentarzy. To znacznie więcej niż imię, nazwisko i numer telefonu, których podania odmówiłeś chwilę wcześniej. I o ile ów poszukujący Michała był niemal na pewno osobą zupełnie przypadkową, o tyle nowy „znajomy” niemal na pewno celowo zgłosił się właśnie do ciebie.

Ostatnie kilkanaście lat nauczyło nas nieufności wobec ankietatorów, akwizytorów i akcji promocyjnych, ale wciąż jesteśmy bezradni, gdy w grę wchodzi elektronika. Najczęściej nie zdajemy sobie nawet sprawy, jak łatwo wypływają informacje, którymi w innej sytuacji nie podzielilibyśmy się za żadną cenę. Na co zwrócić uwagę, czego się bać i kiedy nie dać się zastraszyć?

I pamiętaj – to, że chcesz chronić swoją prywatność, absolutnie nie oznacza, że masz coś na sumieniu. Może po prostu nie lubisz, gdy ktoś patrzy na ciebie przez wielką lupę.

1. PATRZĄC Z GÓRY

Jeśli zwykle nie zdajesz sobie sprawy z ich istnienia, zrób prosty eksperyment. Przejdź się po swoim mieście i poobserwuj to, co jest zawieszane na domach i latarniach na wysokości trzech–czterech metrów. Kamery. Są praktycznie wszędzie.

Te na parkingach, w bankach, sklepach i hotelach to własność prywatna. Nie są ze sobą

powiązane, a policja nie ma wglądu w ich pracę, dopóki nie zostanie wezwana przez samą firmę. Prawdziwy system monitorujący tworzą kamery na ulicach i w miejscach publicznych należące zwykle do miasta i policji. W Warszawie jest ich około 380, w samym śródmieściu – ponad 100. Są obrotowe i mają osiemnastokrotny zoom optyczny. Dzięki nim można dostrzec broń w dłoni osoby stojącej blisko kamery, a twarz zidentyfikować nawet z odległości 300 metrów.

Można, ale tylko jeśli uważnie się patrzy. Same kamery nie są w stanie rozpoznać zagrożenia – wciąż nie ma nawet programów wystarczająco skutecznie rozpoznających twarze. Prawdziwą pracę wykonują obserwatorzy. W stolicy jest ich prawie 200 w 15 komisariatach. Każdy przez osiem godzin wpatruje się w monitory pokazujące obraz z ośmiu kamer naraz. Gdy dzieje się coś niepokojącego, zawiadamia oficera dyżurnego, który podejmuje decyzję, czy konieczna jest interwencja policji. Materiał nagrany przez kamery jest przechowywany przez 30 dni. Skopiować go mogą jedynie administratorzy wyznaczeni w każdym komisariacie przez komendanta stołecznego policji.

Zaczynasz się zastanawiać, czy cały ten system jest w stanie cię śledzić i donieść szefowi, że zamiast spotkać się z klientem, poszedłeś na zakupy? Niepotrzebnie. Na razie kamery monitorują jedynie niewielką część miasta. Wystarczy, że wejdiesz do autobusu, by zgubiły twój trop.

Jeśli zależy ci na pozostaniu anonimowym, wybieraj zatłoczone miejsca, nie ubieraj się

→ Jeśli powiążemy to z danymi dotyczącymi stacji bazowych, z którymi połączyła się dana komórka, możemy z dość dużą dokładnością powiązać daną osobę z czasem i miejscem jej pobytu – nawet wtedy, gdy nie wykonuje połączenia.

W dodatku coraz więcej telefonów wyposażonych jest w odbiorniki GPS, które lokalizują je z dokładnością rzędu kilkunastu metrów. Co prawda zazwyczaj wysyłanie danych o położeniu użytkownika wymaga jego zgody, ale bardzo często da się to zabezpieczenie obejść.

Na zachowanie anonimowości z komórką pewnego sposobu nie ma. Stosunkowo najlepszy wydaje się zakup aparatu za gotówkę w jakimś ruchliwym punkcie – oczywiście bez podpisywania jakichkolwiek umów. Taki aparat jest dość trudny do powiązania z nami, zwłaszcza gdy nie będziemy go zbyt długo używać.

4. NIE MÓW

Pozostając przy komórkach – lokalizacja i identyfikacja ich posiadacza to mniej ciekawa część informacji, jakie można uzyskać. Znacznie bardziej interesujące jest to, co się mówi. Połączenia komórkowe mają wiele zabezpieczeń utrudniających przechwytywanie treści rozmowy, jednak samo szyfrowanie transmisji odbywa się za pomocą metody zwanej A5/1. Opracowano ją 23 lata temu, w czasach gdy na rynek wchodził system Windows 2, a procesory 386 były szczytem możliwości technicznych. W dodatku algorytm chroniący komunikację bazował na niezbyt mądrej zasadzie głoszącej, że jego bezpieczeństwo nie opiera się na samej mocy szyfrowania, ale na utajnieniu zastosowanej metody obliczeń. Oczywiście dość szybko to, co tajne, stało się jawne i od dekady mówi się o tym, że A5/1 nie jest bezpieczne. Ostatecznie udowodnił to pod koniec grudnia 2009 roku pewien specjalista, który ogłosił złamanie szyfru. Co prawda istnieje już bezpieczniejszy algorytm, jednak większość sieci komórkowych wciąż go nie stosuje.

W dodatku szyfrowanie GSM może zostać łatwo wyłączone. W sytuacjach wyjątkowych władze mogą zażądać od operatorów



Brzydki i niewyraźny pan z lewej dał się sfilmować podczas korzystania z bankomatu. Piękni i wyraźni państwo z prawej (obok znaków B13, B6, i B36) wpadli w oko systemowi monitoringu miejskiego

czasowego usunięcia szyfrowania, co sprawia, że przekazywane informacje praktycznie przestają być chronione. Bezpieczniejsze są połączenia przez sieci nowej generacji 3G, ale większość telefonów sama przełącza się między 3G a GSM.

Co z tym robić? Metody są dwie. Pierwsza to trzymanie się zasady „nigdy nie mów przez telefon rzeczy, których nie chciałbyś potem przeczytać w gazecie”. Druga polega na „doszyfrowaniu” transmisji za pomocą specjalnych programów lub telefonów. Taka technologia kosztuje, ale daje niemal stuprocentowe bezpieczeństwo.

5. JESTEŚ W UKRYTEJ KAMERZE

Ile razy w tygodniu korzystasz z karty płatniczej? Zapewne kilkanaście razy płacisz nią w sklepach czy wyjmujesz pieniądze z bankomatu. Wiesz pewnie, że każde użycie karty pozostawia trwały ślad w rejestrach systemu bankowego. Nie jest trudne połączenie tych danych i odtworzenie na ich podstawie twoich zwyczajów czy tras, po których się poruszasz.

Warto też pamiętać, że niemal zawsze bankomat znajduje się w zasięgu kamery. Jeśli nawet nie jest to duża kamera umieszczona na elewacji budynku, to zazwyczaj montuje się minikamerę wewnątrz bankomatu w taki sposób, by mogła sfilmować twarz każdej osoby wyjmującej pieniądze. To zabezpieczenie nie tylko przed próbami okradzenia bankomatu, ale też system pozwalający zweryfi-

kować, kto rzeczywiście korzystał z urządzenia, co pozwala wyeliminować wiele prób oszustwa.

Pamiętaj więc, że bankomat daje tylko iluzję anonimowości. Korzystając z niego, pozostawiasz mnóstwo elektronicznych śladów.

6. ABC123

W ciągu ostatnich dwóch lat zdarzyło się kilka wycieków danych z wielkich serwisów internetowych, takich jak Hotmail czy Wykop.pl. Same w sobie nie przyniosły na szczęście poważnych strat, dały jednak możliwość przeprowadzenia bardzo ciekawych analiz. Specjaliści przyjrzyli się temu, jak zabezpieczamy dostęp do szczególnie ważnych dla nas informacji – serwisów bankowych, kont pocztowych czy blogów.

Wnioski są bardziej niż pesymistyczne. Najczęściej używanym do logowania się w Hotmailu hasłem jest 123456. Mnóstwo jest też imion (dzieci lub ukochanych) i niezwykle sprytnych fraz w rodzaju „iloveyou”. Bardzo wysokie miejsce zajmuje też słowo... „password”, czyli „hasło”, oraz „zmyslne” kombinacje klawiaturowe w stylu „qwerty” lub „zxcvbn”.

Opierając się na tych informacjach, serwis Twitter wprowadził listę 370 haseł, których system nie zaakceptuje. Poza opisanymi znalazły się tam też: „butter”, „marlboro”, „abcdef”, „welcome” czy „xxxxxxx”.

Jeszcze bardziej przeraża to, że z innych prowadzonych przez firmę Sophos badań wynika, że aż jedna trzecia internautów używa we wszystkich miejscach tego samego hasła, a 48 procent wymiennie kilku haseł.

Po co o tym wszystkim piszę? Ano po to, by każdy zrobił sobie rachunek sumienia i przyszedł przed samym sobą, jak dobrze (lub źle) chroni swoje informacje. Tak, wiem, że specjaliści od zabezpieczeń za bezpieczne hasło uważają „UM2*7%a)+:z”, podczas gdy nam trudno zapamiętać „kAczuSzKa1894”. Jeśli w dodatku chcielibyśmy taką „kaczuszkę” opracować oddzielnie dla konta bankowego, facebookowego, twitterowego i pocztowego, to prawdopodobnie oszalelibyśmy w zawrotnym tempie.

Rozwiązanie? Pierwsze to wykorzystanie wbudowanego we wszystkie nowoczesne przeglądarki internetowe systemu zapamiętywania haseł. Metoda wygodna, ale, niestety, mało bezpieczna. Badania pokazują, że najlepsze prze-

glądarki (Firefox i Opera) pomyślnie przetrwały tylko jedną trzecią prób ataków służących wyciągnięciu przechowywanych haseł.

Drugie to skorzystanie z jednego z programów do przechowywania haseł. Na Windows może to być choćby KeePass czy RoboForm, na maki polecam 1Password. Idea jest prosta – zapamiętujemy jedno (dobre!) hasło, które bronią dostępu do pozostałych. Gdy logujemy się na jakiejś stronie, menedżer haseł sam podrzuca nam potrzebną frazę. Takie narzędzia są bez porównania bezpieczniejsze i mniej narażone na ataki od tych, które działają w ramach przeglądarek. Jeśli boisz się powierzyć programowi swoje cenne hasła, to pomyśl, czy nie lepiej zaufać sprawdzonemu software'owi, niż chronić to, co cenne, hasłem „kasja87”.

7. KROWY I ŚWINIE

Internetowe zagrożenia prywatności to temat tak oblatany, że wstyd się nim zajmować. A więc krótko. Zrobiłeś kiedyś jakiś quiz na Facebooku? Może „Jakim kształtem kartofla jesteś”? Albo hodujesz śliczne krowki w FarmVille? Więc pewnie zauważyłeś pojawiające się przed pierwszym wejściem w takie miejsce ostrzeżenie: *Allowing FarmVille access will let it pull your profile information, photos, your friends' info, and other content that it requires to work.* Czyli ktoś zupełnie nieznany dostaje komplet informacji o tobie. Brawo.

Możesz zapytać: „I co z tego?” Niby nic, ale czy przypadkiem na którymś ze zdjęć nie widać twojego dziecka? A może jesteś na jakiejś fajnej, lekko trawkowej imprezie? Czy na pewno ktoś obcy powinien mieć dostęp do tych materiałów? Decyzja należy tylko do ciebie.

8. WIELKIE UCHO

No dobrze, skoro już przejrzelśmy całkiem zwykłe zagrożenia, czas spojrzeć trochę dalej. Dokładniej w kierunku Menwith Hill w Wielkiej Brytanii i niemieckiego Griesheim. To miejsca, w których znajdują się stacje nasłuchowe systemu zwanego popularnie Echelon obejmującego swym zasięgiem Europę.

Choć o masowym podsłuchu elektronicznym wciąż oficjalnie niewiele wiadomo, to z pewnością nie należy on tylko do sfery domysłów i plotek, jak przez długi czas sądzono. W 2001 roku Parlament Europejski opublikował jednak raport będący de facto potwierdzeniem istnienia i działania takiego systemu.

Czy mamy się go bać? To zależy. O niepełnej skuteczności działania tego rozwiązania świadczy zarówno 11 września, jak i późniejsze zamachy. Nie sposób jednak określić, ilu podobnym zdarzeniom Echelon zapobiegł. Jednocześnie są jednak podejrzenia, że w co najmniej kilku przypadkach został użyty do szpiegostwa przemysłowego służącego interesom USA.

Zapewne więc amerykańska Agencja Bezpieczeństwa Narodowego nie jest zainteresowana tym, że zdradasz żonę, przebiegając się w burdelu za królika, jednak lepiej nie przysyłać dotyczących te-



Niby nie wiadomo, co to takiego, ale i tak wszyscy wiedzą, że to schowane pod pięknymi bańkami anteny systemu Echelon

GRANDA PARAFIALNA

CHOĆ ZAGRAŻAJĄ NAM elektroniczne metody inwigilacji, nie można zapominać o starych, dobrych papierowych teczach. Ot, choćby trzymane w szufladach w każdej parafii zbiory informacji o nas, naszych dzieciach, majątku, zawodzie i mnóstwie innych rzeczy. Czy dane te są należycie zabezpieczone? Czy odpowiednio wykorzystywane? Czy

mamy do nich wgląd i prawo ich zmiany? Sprawę wyjaśnia dokument „Ochrona danych osobowych w działalności Kościoła katolickiego w Polsce”, w którym czytamy: „Zbiory danych osobowych przetwarzane przez Kościół katolicki, o ile dotyczą członków Kościoła i są wykorzystywane wyłącznie na potrzeby Kościoła, na przykład kartoteka parafialna,

nie podlegają obowiązkowi zgłoszenia zbioru danych do rejestracji Generalnemu Inspektorowi Ochrony Danych Osobowych”. Cóż, dla mnie to zwykły skandal, przy którym niewinne kamery monitoringu to zabawa. Minęły już czasy, w których parafie były jedynym miejscem przechowywania informacji o ludziach.

go informacji kanałami elektronicznymi. Na szczęście istnieją metody, przy których nawet Echelon się chowa – choćby szyfrowanie e-maili którymś z darmowych (lub płatnych) programów opartych na przykład na standardzie PGP. Jeśli w tak zabezpieczonym liście umieścimy choćby proste „cześć”, najpotężniejszym superkomputerom dotarcie do tej treści zajmie tysiące lat.

9. NAGA PRAWDA

Jeśli zdarza ci się latać samolotem, dobrze wiesz, co dzieje się na lotniskach po 11 września. Będzie gorzej – każda kolejna próba zamachu podsuwa władzom nowe pomysły na ograniczenie swobody pasażerów i utrudnienie im życia/zapewnienie bezpieczeństwa. Dziś nie można już wnosić na pokład napojów, wkrótce być może zakaz obejmie też urządzenia elektroniczne. Pomysłowość i możliwości terrorystów są jednak tak duże, że nowe obostrzenia nie zakończą się zwycięstwem, a podróż klasą ekonomiczną będzie coraz bardziej upiorna.

Rozwiązaniem mogą być osłabione już „nagie” skanery korzystające z promieni rentgenowskich lub fal milimetrowych o niskiej energii, które odbijają się od skóry i pozwalają widzieć przez ubranie. Zamierza ich od zaraz używać Holandia na lotnisku Schiphol, jednak producenci ostrzegają, że technologia ta nie upowszechni się natychmiast – urządzenia wciąż nie mają certyfikatów wymaganych do tego, by stały się pełnoprawnym narzędziem ochrony bezpieczeństwa.

Czy powinniśmy się cieszyć, czy martwić? Jeśli „nagi” skaner ma ograniczyć kolejki do kontroli

i przyspieszyć czas odprawy, to dobrze. Rozumiem, że wielu ludzi nie chce, by ochrona lotniska widziała ich wiszące brzuchy czy brzydkie piersi, ale trzeba zachować nieco rozsądku. Prawdopodobnie to nie człowiek będzie przeglądał kolejne gołe fotki – opracowano już programy, które wykrywają podejrzaną obiekty i alarmują obsługę. W dodatku nawet jeśli pokażemy nasze ciało żywemu operatorowi, to naiwnością byłoby sądzić, że nasz korpus wzbudzi u niego jakieś emocje. Podobnie jak ginekolog nie dostaje erekcji na widok każdej kolejnej pacjentki, tak spec od ochrony widzący dzień po 10 tysięcy ciał nie rozkoszuje się ani nie oburza ich widokiem.

10. DOWÓD BEZ PALCA

No i straciliśmy nie tylko twarz, ale i palce. To znaczy nie całkiem – straciły je nowe dowody osobiste, które mają być wprowadzone w 2011 roku. Miały być na nich zakodowane dane biometryczne, właśnie odcisk palca i cyfrowo opisany kształt twarzy. Rząd zdecydował jednak, że dodany zostanie tylko chip zawierający nasz podpis elektroniczny, który ułatwi kontakty z urzędami.

Dobrze to czy źle? Prawdę mówiąc, zagrożenie wiążące się z zapisaniem odcisku palca w dowodzie osobistym jest znikome – w końcu odciski palców pozostawiamy wszędzie i dla potrzebującego ich prostsze będzie zapewne zdjęcie śladu ze szklanki niż wykradanie danych z dowodu. Pozostaje jednak ta sama wątpliwość co zawsze – czy to aby na pewno dobrze, jeśli państwo trzyma w swoich bazach danych zbyt wiele informacji o obywatelach? □

CHROŃ TO, CO WARTO

ŚWIAT JEST PEŁEN ZAGROŻEŃ. Jeśli chcielibyśmy chronić się przed wszystkimi, życie byłoby koszmarem. Dlatego kierujemy się przy ich selekcji zdrowym rozsądkiem. Tym samym, który tak nas zawodzi przy ocenie niebezpieczeństw zagrażających nam ze strony nowoczesnych technologii.

Warto więc zastosować starą metodę oceny wykorzystywaną choćby w kryptologii. Nakłady na ochronę nie powinny być wyższe niż wartość tego, co ochrania. Czyli dla ukrycia przekazywanej przez telefon informacji o miejscu, w którym schowaliśmy wartą 100 złotych paczkę, nie warto kupować szyfrującej komórki za 1500 złotych. Jednak

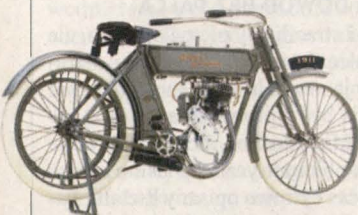
podanie przez telefon kodu do alarmu czyniącego nasze mieszkanie bezbronnym jest już pomysłem ryzykownym. Ten sam sposób pomoże wybrać hasło. Stronę z e-kartką urodzinową można zabezpieczyć hasłem „1243”. Serwis, w którym trzymamy tajemnice naszej firmy, choćby niewielkie, lepiej ochraniać czymś bardziej pomysłowym.

KORZYSTAJ

GAŹNIKI
SPRZĘGŁA
ZAWORY
CYLINDRY
DUŻO CHROMU

➤ **Widziałeś „Easy Ridera”?** No więc poznasz ten motor. To dokładna kopia dwóch oryginalnych maszyn występujących w filmie – jedna zaginęła, druga spłonęła w finałowej scenie

✓ **Wbrew pozorom to też motocykl.** Ścisłej rzecz biorąc – model 7A z 1911 roku



➤ **Model XS z wózkiem bocznym** z 1942 roku to bardziej terenowy samochód niż motocykl. Wyposażono go między innymi w polowe radio, manierkę, flagi sygnalizacyjne, saperkę oraz koc

→ W tym tygodniu:
PO PROSTU JEDNA WIELKA JAZDA.
TAKA BARDZO KLASYCZNA,
JEDNOŚLADOWA.
Z CZWIEKAMI I CHROMEM

GORĄCY
ZBIÓR

Bardzo
DUŻO
JEDNOŚLADÓW

HARLEY-DAVIDSON zaczął zbierać kolejne modele dopiero w 1915 roku. Wcześniejsze egzemplarze firma musiała stopniowo odkupić od kolekcjonerów, rozbierać na części i starannie czyścić

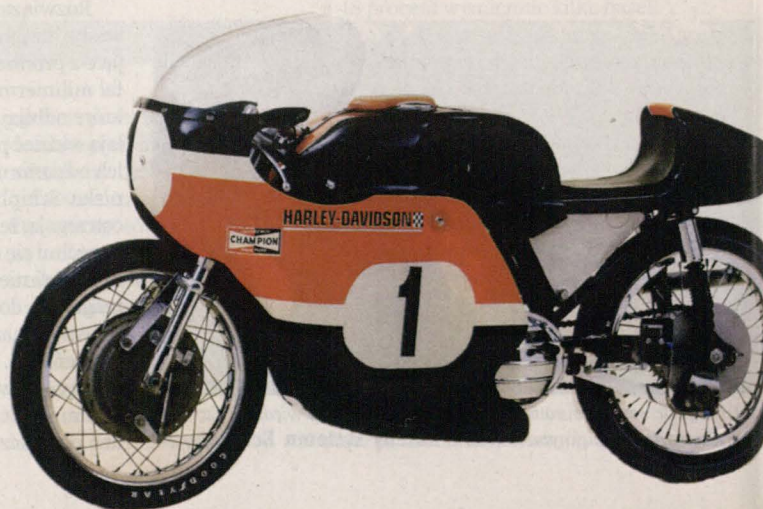
JAZDA!

Wolność od 1903 roku

MOTOCYKLE HARLEY-DAVIDSON TO absolutny fenomen. Historyczny (od 1903 roku produkowane są w tym samym miejscu), ale przede wszystkim kulturowy – w ciągu XX wieku stały się synonimem wolności, niezależności i wszystkich tych wartości, o których w głębi duszy marzy każdy facet.

Niezwykłą historię niezwyklej marki można obejrzyć w albumie „Harley-Davidson Motor Company. Kolekcja archiwalna” wydanym w Polsce przez wydawnictwo Vesper. To potężny zbiór zdjęć pochodzących z wielkiej firmowej kolekcji motocykli stojących w siedzibie firmy w Milwaukee. □

✓ **Podrasowany model wyścigowy** KRIT Road Racer z 1953 roku o pojemności silnika 750 cm³ i mocy 48 KM



TEŻ
PYTANIE!

Kto pyta, nie błądzi.
A my dalej szukamy odpowiedzi na wasze pytania. Nadsyłajcie je na adres nauka@przekroj.pl. Co tydzień przyznajemy nagrody!

1. JAKI JEST SYSTEM NUMEROWANIA MIEJSC W WAGONACH KOLEJOWYCH?

Zo pierwszym razem wejście do przedziału i próba odnalezienia właściwego miejsca naraża niewprawnych pasażerów na dezorientację. Patrząc od lewej, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, widzimy: 1, 3, 7, 5, 6, 8, 4, 2. Czy jest w tym jakiś sens? Jest, ale nieoczywisty. Miejsca w przedziale mają swoją hierarchię i w ten sposób są numerowane. Najpierw te teoretycznie lepsze, przy korytarzu – 1 i 2, następnie w środku – 3 i 4, a przy oknie 5 i 6, co wydaje się nie do końca logiczne, bo większość podróżujących ceni je najbardziej. Jeśli przedział jest ośmioosobowy, miejsca 7 i 8 też są w środku i znajdują się odpowiednio między 3 a 5 i 4 a 6. Dodatkowy mędlak może wprowadzać to, że nasza miejscówka zwykle jest oznaczona liczbą dwu- lub trzycyfrową. Pierwsza część tej liczby, od 1 do 11, to oznaczenie przedziału. Dopiero ostatnia cyfra (od 1 do 8) wskazuje na konkretne miejsce w przedziale.

3. CZY OSOBA NIEPALĄCA MOŻE UZALEŻNIĆ SIĘ OD PLASTRÓW NIKOTYNOWYCH?

Może, ale nie każda. Nikotyna to toksyna, która oddziałuje na układ nerwowy i uzależnia w sposób fizjologiczny. W niskich dawkach stymuluje, w dużych powoduje różne dolegliwości: od wymiotów po utratę przytomności i śmierć. Przyjmowana doustnie (gumy, tabletki) czy przez skórę (plastry) działa tak samo jak wdychana wraz z dymem papierosowym: pobudza, polepsza percepcję i samopoczucie. Wiąże się z receptorami w mózgu, blokuje pracę wielu enzymów, wyzwalając wydzielanie adrenaliny. Szybko działa, ale też szybko przestaje i pozostawia uczucie dyskomfortu. Kolejna dawka nikotyny z papierosa lub gumy pozwala przywrócić przyjemny stan pobudzenia. Plastry działają inaczej – uwalniają nikotynę w sposób ciągły w małych ilościach. Jednorazowy efekt pobudzenia jest lżejszy i słabiej uzależniający. Tym słabiej, im mniej skłonna do uzależnień jest dana osoba. W końcu jednak komórki w mózgu i receptory przyzwyczajają się do stymulacji nikotyną. Jej brak powoduje protest organizmu potocznie zwany zespołem abstynencyjnym, czyli drażliwość, niepokój, zaburzenia koncentracji i bóle głowy.



Nasze nagrody – książki
J. Brockman „W co wierzymy, choć nie potrafimy tego dowieść”, J. Brockman „Co napawa nas optymizmem, czyli dlaczego jest dobrze, a będzie lepiej”, C. Tavis, E. Aronson „Błądzą wszyscy (ale nie ja)” – wydawnictwo Smak Słowa; A. Gawande „Komplikacje” – wydawnictwo Znak

2. CO TO JEST KATAR I DLACZEGO GLUTY SĄ ŻÓŁTE?

Katar to wydzielina nabłonka wnętrza nosa. Zwykle jest to wodnisty płyn z dużą ilością lepkich białek (glikoprotein). Ma za zadanie wyłapywać zanieczyszczenia z wdychanego powietrza. Staje się dokuczliwy, gdy podrażniony nabłonek wydziela go w zwiększonej ilości. Czasem nabłonek żółtej lub zielonej barwy. Taki kolor nadają mu najczęściej bakterie, których wraz z katarą organizm usiłuje się pozbyć. Przy infekcjach wirusowych za zabarwienie odpowiadają nasze własne białka lub inne związki chemiczne wydzielane przez komórki układu odpornościowego, który walczy z wirusami. Jednym z takich białek jest mieloperoksydaza, z którą związany jest atom żelaza. To właśnie on nadaje glutom zielonkawy kolor. Ten sam związek odpowiada za zieleń przyprawy do sushi – wasabi.



Kawiarnia
Naukowa
PRZEKRÓJ NAUKI
zaprasza na dyskusję

„MATEMATYK W LAS VEGAS”.

Podczas spotkania Kawiarni Naukowej 18 stycznia 2010 r. o godz. 18 porozmawiamy o tym, czy rachunek prawdopodobieństwa to sposób na zabicie fortuny. Hazard – wiadomo, całkiem przyjemny sposób na utratę pieniędzy. Ale na szczęście nie wszystkie jego odmiany są równie rujnujące.

W które gry przegramy na pewno, a które dają nam cię szansę na zdobycie fortuny?

Dlaczego kasyno zawsze wygrywa i jak zmniejszyć jego zysk?

W których grach istnieją systemy, a gdzie rządzi jedynie ślepy los?

Bawimy się, ostrzegamy i podpowiadamy, jak rozbić bank w Las Vegas.

Skwer – Filia Centrum Artystycznego „Fabryka Trzciny”,
ul. Krakowskie Przedmieście 60a

Skwer
Filia Centrum Artystycznego
Fabryka Trzciny

O przypadku i pewności opowie
specjalista od probabilistyki
Krzysztof Borkowski
ze Szkoły Matematyki w Warszawie

Wstęp wolny

KULTURA



ROCZNICA ADA CINAŁ

CHOPINEM PIJANI

ŚWIAT CZCI FRYDERYKA TRADYCYJNIE: KONCERTY, FESTIWALE, KONKURSY I stawianie pomników oraz popiersi zapowiada blisko 30 krajów na obu półkulach. Chopinomania w naszym kraju rozpęta się we wszystkich wymiarach. Rozmiłowani w świętowaniu wszelkich rocznic będziemy wiwatować jak nikt inny na cześć swego największego kompozytora. Powołany w 2008 roku komitet obchodów, nad którym patronat objął prezydent Lech Kaczyński, a któremu przewodzi premier Donald Tusk, słusznie uznał, że przeciętny Polak powinien wreszcie identyfikować się z Chopinem i być z niego dumny. Do koordynacji tego zadania stworzone zostało Biuro Obcho-

dów „Chopin 2010”, a organizacją wydarzeń zajęły się czołowe krajowe instytucje kulturalne z Narodowym Instytutem Fryderyka Chopina na czele. Ale nawet najętsze umysły zgromadzone w Komitecie (oprócz muzycznych sław, takich jak Martha Argerich, Zubin Mehta czy Plácido Domingo, znaleźli się w nim między innymi Al Gore, José Manuel Durão Barroso oraz minister Radosław Sikorski) nie mogły przewidzieć tego, co się wydarzy. Nie ma bowiem w Polsce artysty, który nie przystąpiłby do pospolitego ruszenia, ani miasta, które by czegoś dla Chopina nie robiło. Jubileuszowe utwo-

CHOPIN
LIVE
IN WARSAW
1810-1850

JEGO ROK

Billboardy z napisem „To będzie mój rok. Chopin” już od paru tygodni anonsują Rok Chopinowski w wielu miastach. A na citylightach AMS pojawiają się już kolejne chopinowskie afisze, choć-

by zwycięska praca 9. edycji konkursu Galerii Plakatu: ostre kolory i typografia charakterystyczna dla plakatów reklamujących koncerty rockowe, czyli „Chopin LIVE in Warsaw” Piotra Karskiego z ASP w Warszawie (stażysta działu graficznego „Przekroju”). Inny wyróżniony w tym konkursie – portret Chopina w bluzie z plaketką „I Love WWA” autorstwa Piotra Micherewicza – ma się pojawić w szkołach.



FRANCJA, Nantes, Od 27 stycznia do 13 czerwca 16. edycja festiwalu Folle Journée de Nantes „Chopin i jego wpływy” (La Folle Journée, „Chopin et ses influences”) będzie, jak sama nazwa wskazuje, poświęcona Fryderykowi i jego artystycznym przyjaciółom. Formuła jest niecodzienna – koncerty odbywają się od rana do północy w kilku miejscach. Od 27 stycznia festiwal Folle Journée odwiedzi między innymi takie miejsca, jak

Bilbao, Tokio czy Rio de Janeiro. Finałowym miastem na trasie imprezy będzie Warszawa – od 10 do 13 czerwca 2010 roku Folle Journée, Szalone Dni Muzyki „Chopin Open” odbędą się na terenie Teatru Wielkiego-Opery Narodowej, Teatru Narodowego oraz placu Teatralnego. Całe tournée zamknie się w ponad 1200 koncertach!



ARKTYKA, Styczeń/luty

Muzyka Chopina będzie rozbrzmiewać nawet pod biegunem. Konkretnie: w norweskim mieście Tromsø, podczas konferencji „Arctic Frontiers” (Granice Arktyki) oraz Międzynarodowego Festiwalu Muzycznego Nordlysfestivalen (Festiwal Zórz Polarnych). Zagrają tu między innymi Leszek Możdżer i Andrzej Jagodziński Trio.



CHOPIN Z DYMKIEM

Do trunku przydałoby się cygaro? Nic z tego, bo o komiksowy dymek chodzi. Ambasada Polski w Berlinie we współpracy ze znaną warszawską oficyną Kultura Gniewu łąda moment wydać pierwszy na świecie komiks o Chopinie zatytułowany „Chopin New Romantic”. Przy tym niezwykle wydawnictwie spotkała się prawdziwa ekstraklasa niemieckiego i polskiego komiksu. Swoje



opowieści o kompozytorze przedstawili Sascha Hommer (autor słynnego „Insekta”), Mawil i Andreas Michalke, a z naszej strony Jacek Fraś (albumy „Glinno”, „Stan”), Jakub Rebelka, Patrik Mogielnicki (stały ilustrator „Przekroju”), Wysokich Obcasów”, „Playboya”), Agata „Endo” Nowicka (autorka „Projekt: człowiek”) oraz Krzysztof Ostrowski (ilustrator, animator, wokalista Cool Kids of Death).



FRANCJA, Cannes, 24-27 stycznia

Częścią obchodów Roku Chopinowskiego 2010 będzie polska prezentacja na targach MIDEM 2010 przygotowana przez Instytut Adama Mickiewicza i Narodowy Instytut Fryderyka Chopina. Program „More than Chopin” przewiduje nie tylko konferencję poświęconą wy-

darzeniom jubileuszu w Palais des Festivals, ale też galę MIDEM Classical Awards, podczas której po raz pierwszy wręczone zostaną nagrody za najlepsze nagrania dzieł Fryderyka Chopina. Uroczystość uświetnią polska orkiestra Sinfonietta Cracovia oraz występ młodego pianisty Jana Lisieckiego. O Fryderyku będzie też przypominał polski pawilon narodowy projektu Borisa Kudliński utrzymywany w kolorach łączących tradycję, ale elegancja walizka king size z sześciolitrową butlą alkoholu też wygląda koncertowo. Lepiej niż szampan Vranken Pommery Demoiselle, który ukazuje się rocznicowo z logiem Chopin 2010.



NO TO SIUP, CHOPINEM!

Nasza wyborowa wódka albo i szampanem. Polmos Siedlce już na święta wprowadził lukusową linię wódki Chopin – nam najbardziej podoba się fortepian z miniaturowymi flaszeczkami zamiast klawiszy, ale elegancka walizka king size z sześciolitrową butlą alkoholu też wygląda koncertowo. Lepiej niż szampan Vranken Pommery Demoiselle, który ukazuje się rocznicowo z logiem Chopin 2010.

LEGENDA Która pomoże rozeznąć się w gąszczu imprez:

- Najbardziej ekscytujące wydarzenia Roku Chopinowskiego
- Przedsięwzięcia ryzykowne, ale warte uwagi
- Przedsięwzięcia skazane na porażkę
- Najważniejsze wydarzenia Roku Chopinowskiego za granicą

WŁOCHY

Rzym, styczeń-luty W słynnej sali Accademia di Santa Cecilia muzykę Chopina promować będzie Rafał Blechacz. Od 30 stycznia do 2 lutego zagra tam wraz z Orkiestrą Akademii pod batutą Andrieja Boreyki I Koncert fortepianowy e-moll opus 11.



MULTIMEDIALNE ŁAWKI

W Warszawie, na trasie spaceru szlakiem Fryderyka – począwszy od ulic Koźziej i Miodowej, przez Trakt Królewski, pałac Kazimierzowski, po Łazienki – stanęło 15 multimedialnych ławek. Zawierają opis wybranej lokalizacji w języku polskim i angielskim i odtwarzają fragmenty utworów Chopina. Można posiedzieć, posłuchać muzyki, ale... chyba lepiej poczekać z tym do wiosny.



200. ROCZNICA URODZIN CHOPINA – A MOŻE BARDZIEJ 50 MILIONÓW ZŁOTYCH RZĄDOWEJ DOTACJI NA PROJEKTY ZWIĄZANE Z KOMPOZYTOREM? – WYZWOLIŁA W POLAKACH ERUPCJĘ KREATYWNOŚCI. ŚWIAT TEŻ PRZEŚCIGA SIĘ W POMYSŁACH. ROK 2010 BĘDZIE JEDNYM WIELKIM CHOPINOWSKIM FAJERWERKIEM

ty piszą Krzysztof Penderecki, Paweł Mykietyn, Marta Ptaszyńska, a okolicznościowe aranżacje tworzą muzycy spoza klasycznego nurtu: Grażyna Auguścik, Michał Urbaniak, Leszek Możdżer, Andrzej Jagodziński, Jan Ptaszyn Wróblewski, a nawet sekcja alternatywna na festiwalach w Jarocinie i Mysłowicach. FilMOTEKA Narodowa digitalizuje wszystkie nagrania chopinowskie, a w Internecie powstają profile Fryderyka (MySpace, Facebook, Twitter) oraz jego... wirtualny pomnik. Chopina nie braknie też w szkołach (kuratorzy ogłosili, że to priorytet) ani na ulicach (będą plakaty i nie tylko). To bynajmniej nie koniec, bo rozdano dopiero 30 milionów rządowej do-

tacji. Reszta przyznana zostanie pod koniec stycznia, więc jeszcze wszystko może się zdarzyć.

Tymczasem świat już zaczął chopinowskie świętowanie. Na Chopinem opętany Wschód urodziny kompozytora zainaugurowało już w grudniu. Polska zacznie z lekkim poślizgiem, na przełomie lutego i marca, a centrum wydarzeń stanie się Warszawa, miasto, w którym kompozytor spędził 20 lat. I właściwie należałoby się tu sprowadzić, by zobaczyć ten wielki urodzinowy show w całości. Ci, którzy do stolicy przenieść się nie zdecydują, zawsze mogą po prostu wznieść za Frycka toast. Najlepiej chopinem. □

NOS NA CENTRALNYM!

O tym, że wśród gadżetów Roku Chopinowskiego znalazł się porcelanowy nos wzorowany na organie powonienia Fryderyka z Łazienek Królewskich, już pisaliśmy. Nikomu chyba jednak nie utarliśmy nosa, bo wielkich rozmianów nocha Chopina ma ponoć stanąć na Dworcu Centralnym w Warszawie. Urząd miasta nie potwierdza ani nie zaprzecza, ale dla tego monumentu to chyba najwłaściwsze miejsce, biorąc pod uwagę gamę dworcowych zapachów.

FRANCJA, Paryż,

sala Pleyela,

od 15 lutego do 6 czerwca
W tej samej legendarnej sali, w której Chopin dał swój pierwszy paryski koncert 26 lutego 1832 roku, wystąpią z recitalami najlepsi pianiści chopiniści, między innymi Maurizio Pollini, Daniel Barenboim, Krystian Zimerman i Rafał Blechacz.



DŁUGIE URODZINY

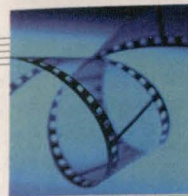
Jedną z pierwszych koncertowych erupcji Roku Chopinowskiego będzie warszawska Dekada Urodzinowa wyznaczona przez dwie prawdopodobne daty urodzin Chopina: 22 lutego i 1 marca. W koncertach wezmą udział ci, którzy dyktują dziś trendy światowej chopinistyki: Martha Argerich, Murray Perahia, Daniel Barenboim, Ivo Pogorelić, Dang Thai Son, Piotr Anderszewski, Rafał Blechacz, Yundi Li czy Orkiestra XVIII wieku Fransa



Brüggena i Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Narodowej pod dyktando Antoniego Wita. Urodzinową kulminacją będzie gala w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej. Po tem Chopina koncertowo cześć będą wszystkie ważniejsze polskie festiwale i instytucje kulturalne.

200 FORTEPIANÓW

Na jednym z placów Warszawy, bodaj Teatralnym, 1 marca stanie 200 fortepianów, na których równocześnie zagrają młodzi pianiści z Polski i Chin. Trudny do ogarnięcia projekt (bo jak to wszystko przewieźć?), do tego grozi kakofonia, a chińskiego rekordu i tak nie pobijemy. Tam bowiem opętani Chopinem muzycy postanowili ustawić po 100 instrumentów na obu brzegach Jangcy i dorzucić 10 pływających na barce. Razem 210 fortepianów!



OSCAROWY FRYDERYK 3D

W sierpniu do kin wejdzie pierwsza w Polsce pełnometrażowa animacja 3D inspirowana muzyką Chopina i przygotowana przez twórców oscarowego filmu „Piotruś i wilk” – Break-Through Films we współpracy z Polskim Instytutem Sztuki Filmowej, Ministerstwem

Kultury i Dziedzictwa Narodowego, TVP, Canal+, Miastem Łódź oraz w koprodukcji z Nexus (Belgia) oraz Storm Studio (Norwegia). Film opowiada historię dwójki dzieci, które za pomocą magicznej latającej maszyny – pianina – przeżywają przygodę życia. Podróżują śladami Chopina, a dzięki jego muzyce przenoszą się w świat magii. Na ścieżce dźwiękowej gra Lang Lang, zdjęcia zrealizował Krzysztof Ptak, a film wyreżyserowali Martin Clapp, Adam Wyrwas i Marek Skrobecki.

MUZYKA Z KIELICHA

Chopina można grać na wszystkim. Nawet na kieliskach. Takie rozwiązanie proponuje Glass Duo, jedyny w Polsce zespół uprawiający sztukę gry na wypełnionych wodą kielichach, czyli szklanej harfie czy – jak kto woli – „anielskich organach”. Wykonanie to skrajnie dalekie od Zimermana czy Anderszewskiego, ale jak zaświadniają muzycy – równie ciekawe. Zapewne najciekawsze dla tych, którzy nie lubią wylewać za kółkiem.



MALOWANE FORTEPIANY

Mają stanąć w Krakowie, od Rynku Głównego po Nową Hutę. Tuzin naturalnej wielkości replik fortepianu Chopina – pleyela z 1847 roku, jednej z najcenniejszych pamiątek po kompozytorze – pomalowanych zostanie przez tuzin artystów, między innymi Rafała Bujnowskiego, Marcina Maciejewskiego i Wilhelma Sasnała. Pomysł inspirowany wielkim sukcesem Parady Królów w Warszawie, tyle że kolorowych krówek było większe stadko, a w dodatku podróżowały po 50 krajach świata...



POKŁON GWIAZD POP

Na czerwiec planowany jest wielki koncert gwiazd firmy Sony I Love Chopin – Songs to Remember, który odbędzie się na jednym z placów Warszawy. Mówi się o inspirowanych Chopinem występach takich sław, jak Alicia Keys, Annie Lennox, Sarah Brightman, Rufus Wainwright, Bryan Adams, a może nawet Genesis z całkowicie klasycznym programem. Wstęp wolny.



MUZEALNY GENIUSZ

1 marca, w urodziny Fryderyka, w stołecznym Zamku Ostrogskich otwiera podwoje najnowocześniejsze muzeum w Europie i najdroższa (81 milionów złotych!) polska inwestycja kulturalna. Pięknie odrestaurowane XVIII-wieczne mury naszpikowano instalacjami multimedialnymi, stacjami dźwiękowymi, ekranami LCD do 65 cali, wideościanami i czujnikami ruchu. Zwiedzający zaopatrzeni w bilet czipowy RFID będzie mógł poznać ży-

cie i twórczość Chopina na 32 profilach zwiedzania, 4 poziomach merytorycznych i w 8 językach. Dzieci odnajdą gry komputerowe i ściany dotykowe, a fachowcy na specjalnych ekranach przejrzą rękopisy kompozytora. Dla wszystkich: 430 eksponatów w światłoczułych gablotach.



FRANCJA, Paryż,

Cité de la Musique,

od 9 marca do 6 czerwca

Cykl recitali pod tytułem „Chopin Europejczyk”. Czołowi pianiści wykonają wszystkie dzieła mistrza w porządku chronologicznym, na instrumentach z epoki i ich kopiach. Wśród wykonawców między innymi: Pierre Goy, Kevin Kenner, Nelson Goerner, Janusz Olejniczak i Dang Thai Son. Koncertom będą towarzyszyć wydarzenia specjalne, na przykład czytanie tekstów George Sand i Chopina.



CHINY, Pekin, cały rok

Kraj, w którym każdy, nawet taksówkarz, wie, kim był Chopin. Słynne National Centre of Performing Arts, zwane przez architektów „Jajkiem”, przez cały Rok Chopinowski będzie koncertowym sercem kraju. Zagrają tu między innymi: Lang Lang, Maurizio Pollini, Garrick Ohlsson, Makoto Ohtake, Dang Thai Son.

KONCERTY POD POLSKĄ BANDERĄ

5 września Narodowa Orkiestra Symfoniczna wypłynie w wielki rejs pod banderą Chopina. Porty docelowe to: Kopenhaga, Göteborg, Oslo, Dover, Boulogne-sur-Mer i Gdynia. W repertuarze pływającej orkiestry znajdują się utwory Chopina, Nielsena, Maciejewskiego, Brittena i Debussy'ego, a wśród załogi wymienia się wybitną polską pianistkę Ewę Kupiec i dyrygenta Jacka



Kaspszyka. Muzyczny rejs zakończy się 25 września koncertem na skwerze Kościuszki w Gdyni.

CAN YOU DANCE POLONEZA?

Zapewne na fali sukcesów „Tańca z gwiazdami” i „You Can Dance” powstał projekt „Let's Dance Chopin”. Show z pogranicza muzyki klasycznej i jazzowej przygotowuje Janusz Stokłosa. Z orkiestrą symfoniczną Luventus i kwintetem jazzowym zamierza towarzyszyć profesjonalnym tancerzom od maja do września w ośmiu polskich miastach. Tańczyć każdy może, ale żeby od razu chopinowskie polonezy i scherza?

AUSTRIA, Wiedeń

W jednym z parków stolicy Austrii stanie wiosną nowy pomnik Chopina, a na sierpniowym XXV Chopin Festival pojawi się nasza Orkiestra Garnizonowa Marynarki Wojennej i orkiestra dęta Gaming pod wodzą Piotra Romańskiego.



HISZPANIA
Valldemossa,
Majorka,
sierpień

Latem w wili Chopina i George Sand na Majorce, w której para przebywała na przełomie 1838 i 1839 roku, będą trwały recitale chopinowskie w ramach organizowanego tam nieprzerwanie od 1981 roku Festiwalu Chopin de Valldemossa.

JEGO EUROPA

VI Festiwal „Chopin i jego Europa” to kolejny wielki zlot gwiazd w stolicy. Potrwa cały sierpień i obejmie 50 wydarzeń muzycznych z udziałem ponad tysiąca najświetniejszych wykonawców. I to nie tylko z klasycznego olimpu. Od nazwisk aż puchnie głowa: Marc Minkowski z Les Musiciens du Louvre-Grenoble, Mischa Maisky, Maria João Pires, Maurizio Pollini, Philippe Herreweghe, The King Singers, Joshua Bell,



The Tallis Scholars, Giovanni Antonini z Il Giardino Armonico, Christoph Prégardien, Paco Peña Flamenco Company, Arcadi Volodos, Mariusz Kwiecień, Bella Davidovich, Nikolai Lugansky z Rosyjską Orkiestrą Narodową, Makoto Ozone, Walery Giergiev. Europa Galante pod dyktando

FRANCJA, Paryż,

Ogród Luksemburski,

20 czerwca do 27 lipca

Koncerty plenerowe na wzór recitali chopinowskich w Łazienkach Królewskich. Zagrają



między innymi: Joanna Ławrynowicz, Leszek Możdżer i Piotr Paleczny. Recitalom będzie towarzyszyć wystawa plakatów chopinowskich z kolekcji Muzeum Plakatu w Wilanowie.

CHINY, Szanghaj,

EXPO 2010,

maj

Muzyki Chopina nie zabraknie podczas trwania całej wystawy, a w szczególności podczas wielkiego koncertu w szanghajskim teatrze narodowym z okazji narodowego Dnia Polski – 22 maja 2010 roku.

Fabia Biondiego wykona po raz pierwszy w Polsce na instrumentach historycznych „Normę” Vincenza Belliniego. Posłuchać będzie można recitali i koncertów na fortepianach historycznych: erardzie z 1849 roku, pleyelu z roku 1848 i grafie (kopia instrumentu z około 1819 roku). Chopinowski program przygotowuje też na festiwal Bobby McFerrin, który ma się pojawić 17 sierpnia w Sali Kongresowej z Big Bandem. Szczegóły występu owiane są tajemnicą.

TAŃCZĄCE FONTANNY

Kolejny płynny pomysł, tym razem z Krakowa. Półgodzinny taniec fontann wysokich do 8 metrów i długich do 34 metrów, tańczących do scherza b-moll opus 31. Fryderyka Chopina. Sterowane elektronicznie plumkanki ma propagować muzykę narodowego kompozytora wśród szerokiej widowni. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że to umoczone pieniądze.

INDIE FRYDERYK

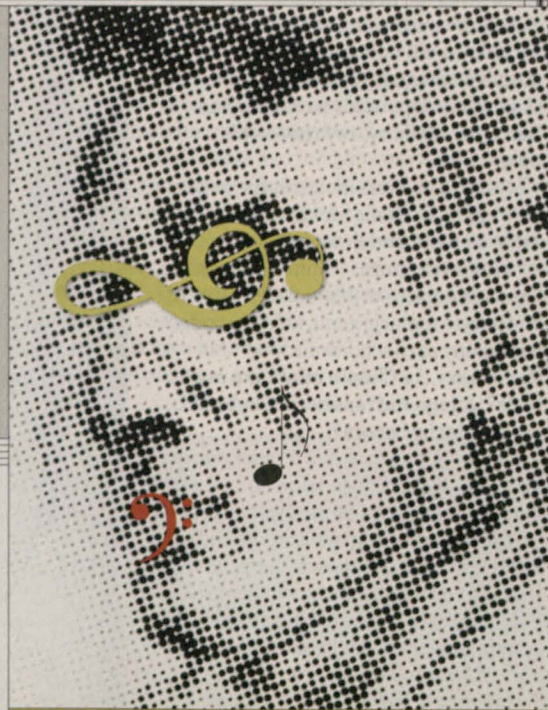
Będzie sensacją na mieście 200. urodzin mistrza. W muzyki Chopina wezmą się gwiazdy alternatywy



zaproszone na Off Festival. Spodziewajcie się między innymi koncertu guru sceny elektronicznej Fennesza z gościnnym udziałem legendarnego multiinstrumentalisty Marka Linkousa ze Sparklehorse, występu jednego z najważniejszych przedstawicieli ambientu Williama Basinskiego, a na finał swe chopinowskie impresje zaprezentuje legenda turntablizmu Philip Jeck. Inspirowany Chopinem myślowicki Off Festival zapowiada się na prawdziwą rewelację!

CO TY WIESZ O CHOPINIE...

Od 15 do 17 października katowicki Spodek wypełnią uczestnicy Międzynarodowego Konkursu Wiedzy o Chopinie organizowanego na wzór Narodowego Dyktanda. Test i materiały we wszystkich językach świata ma przygotować Narodowy Instytut Fryderyka Chopina. Żeby tylko znów się nie okazało, że Chopina lepiej znają na Dalekim Wschodzie niż w jego ojczyźnie.



MIĘDZYNARODOWO

Praga, Wiedeń, Berlin, Londyn, Nowy Jork, Tokio, Szanghaj, listopad–grudzień
Wielkie tournée laureatów XVI Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego.

Tajemnica śmierci Chopina

Z jakiego powodu zmarł polski kompozytor i pianista? W świecie naukowym wciąż trwają dyskusje: gruźlica, nowotwór, a może... mukowiscydoza? Wiele wskazuje na to, że artysta był genetycznie obciążony tą ciężką, nieuleczalną chorobą. Przekonuje o tym Olga Woźniak profesor **Wojciech Cichy**

Czy to naprawdę ważne, z jakiego powodu zmarł Fryderyk Chopin?

– Choroba towarzyszyła mu przez całe życie. To może ja zadam pytanie: jakim byłby artystą bez niej? Gdyby żył 70 lat w szczęściu i zdrowiu, czy jego muzyka byłaby inna? Choroba stała się częścią jego sztuki – już choćby z tego powodu warto wiedzieć, co mu dolegało i co było przyczyną jego śmierci.

Czy stawianie diagnozy wiele lat po śmierci pacjenta, bez możliwości zbadania go, tylko na podstawie listów, dokumentów, zapisków jest w ogóle możliwe?

– Bardzo chciałbym zbadać szczątki Chopina. Ekshumacja jest jednak niemożliwa. Gleba paryskiego cmentarza Père-Lachaise jest bardzo kwaśna i rozkład tkanek w takich warunkach postępuje bardzo szybko. W Polsce, w warszawskim kościele Świętego Krzyża znajduje się jednak zakonserwowane serce Chopina – gdyby się dało (a jak do tej pory naukowcy nie dostali na to zgody) zbadać tę tkankę, uzyskalibyśmy odpowiedź na wiele pytań.

Serce zdradziłoby, czy chorował na gruźlicę?

– Myślę, że badanie molekularne pokazałoby raczej, że na nią nie chorował.

Jakie są pana podejrzenia?

– Mukowiscydoza. Choroba poznana i opisana dopiero w 1938 roku. W 1989 roku odkryto mutację genu, który jest odpowiedzialny za to schorzenie.

Pan wierzy, że Chopin miał taką mutację? A jego rodzeństwo? Chyba też musiałoby być chore?

– I było. Z trzech sióstr Fryderyka tylko jedna, Izabela, była zdrowa. Ludwika przez całe swoje 47-letnie życie borykała się z infekcjami dróg oddechowych, Emilia wciąż miała duszności, kaszel, krwioplucie. Często zapadała na zapalenie płuc. Była drobną, wątłą dziewczynką, która zmarła w wieku 14 lat na skutek krwawienia z układu pokarmowego.

To też mogła być mukowiscydoza?

– Oczywiście. To jedna z najczęstszych chorób genetycznych u ludzi. Szacuje się, że w Polsce jeden na dwa i pół tysiąca noworodków rodzi się ze zmienionym genem na siódmym chromosomie. Gen ten odpowiada za produkcję tak zwane-



ILUSTRACJA JACEK FRAŚ

go białka CFTR i może zostać uszkodzony na ponad półtora tysiąca sposobów! Skutek to mukowiscydoza. W zależności od rodzaju mutacji może mieć ona ciężki lub łagodny przebieg. Można umrzeć w wieku kilku miesięcy albo kilkudziesięciu lat.

Jak umrzeć?

– Najczęściej przez uduszenie. A raczej utonięcie. Mukowiscydoza objawia się tym, że organizm chorego produkuje nadmierne lepki śluz, który powoduje zaburzenia we wszystkich narządach posiadających gruczoły śluzowe, a więc w płucach, układzie pokarmowym. Choroba bywa późno rozpoznawana, bo myli się ją z alergią, zapaleniem płuc (które jest skutkiem, nie przyczyną), infekcjami lub – jak w przypadku Chopina – z gruźlicą.

Jak się nie pomylić?

– Sto procent pewności daje badanie genetyczne. Ale obraz choroby jest dość charakterystyczny. Dolegliwości oddechowe łączą się z problemami ze strony układu pokarmowego. Wynika to z niewydolności trzustki, a co za tym idzie – z zaburzeniami trawienia i wchłaniania. Pacjent jest chudy, niedożywiony, ciągle kaszle, ma zapalenie oskrzeli, płuc, zatok. Dokuczają mu biegunki, bóle brzucha, a jego pot jest wyjątkowo słony.

Dlaczego?

– Bo gruczoły potowe wydalały więcej chlorku i sodu. Jedną z metod diagnostyki mukowiscydozy jest nawet tak zwany test potowy.

A Chopin to wszystko miał?

– Chorował od wczesnego dzieciństwa. Jego lekarze opisywali dolegliwości gastryczne w postaci „nadmiaru kwasów”, przepisywali diety na przytycie, choć szkodziły mu tłuste pokarmy. Wiemy, że w czasie nauki w liceum Fryderyk skarżył się na częste bóle głowy, „zakatarzanie się”. Miał też próchnicę.

Jak go leczono?

– Jak umiano. Dietą: bulionami, serwatkami z mleka oślego czy koziego, kąpielami solankowymi lub w wywarach z kory dębu, żółodzi, pijawkami, aeroterapią. Zalecano inhalacje – nawet mądrze, bo one rozrzedzały śluz i ułatwiały oddychanie – wyjaz-

dy na wieś, ograniczony wysiłek fizyczny, który zresztą słaby i chudy Chopin źle znosił. W pewnym momencie do leczenia zastosowano płucnik, czyli mech islandzki zawierający substancje bakteriostatyczne podobne w działaniu do streptomycyny. Fryderyka oklepywano, okładano katalplazmami, podawano mu opium. Jak na ówczesne czasy terapia była dość trafiona.

Chopin miał chyba lepsze i gorsze momenty?

– To też bardziej typowe dla mukowiscydozy niż gruźlicy. Pogorszyło mu się bardzo w Paryżu. Miał 25 lat, napisał testament, do Warszawy dotarła nawet plotka, że pianista nie żyje. A on kasłał, pluł krwią, chudł, walczył z gorączką i wymiotami.

Trudno związać się z tak chorym człowiekiem. A jednak pisarka George Sand wytrzymała z nim 11 lat.

– I podobno był to dość zmysłowy związek. Niemniej Chopin nigdy nie doczekał się potomstwa.

Skuteczna antykoncepcja?

– Raczej niepłodność. Mukowiscydoza wywołuje niedrożność nasieniowodów.

Chopin był atrakcyjnym mężczyzną?

– Miał urok, był modny, cieszył się zainteresowaniem pań. Niejedna chciałaby się nim opiekować. Wygląd miał jednak nieszczygólny. Chudy – w pewnym momencie przy wzroście 170 centymetrów ważył zaledwie 44 kilogramy! – o patykowatych kończynach, beczkowatej klatce piersiowej. Choroba sprawiła, że miał problemy z owłosieniem: modne w owym czasie bokobrody nie chciały mu rosnąć po jednej stronie twarzy. Miał zniszczone zęby. No i te jego dolegliwości: krwotoki, biegunki, katary, nerwobóle, raczej nie czyniły z niego atrakcyjnego kochanka. Choć związek z George Sand mógł działać na niego stymulująco, bo kiedy się rozstali w lipcu 1847 roku, jego zdrowie się pogorszyło. I to zarówno w sferze ciała, jak i ducha. Zaczął cierpieć na depresję.

Profesor Wojciech Cichy
 kieruje I Katedrą
 Pediatrii oraz Kliniką
 Gastroenterologii
 Dziecięcej i Chorób
 Metabolicznych
 Uniwersytetu
 Medycznego
 w Poznaniu

Jak na tak chorego człowieka Chopin dużo podróżował.

– To prawda. Podróżował i koncertował, nawet kiedy było z nim już całkiem źle. Lekarze stawiali go na nogi na czas koncertu. Ostatni raz zagrał publicznie 16 listopada 1848 roku w Londynie na rzecz polskich emigrantów. Zaraz potem wrócił do Paryża.

Dlaczego przestał grać?

– Jego stan się pogarszał. Na początku 1849 roku ledwo mówił i praktycznie nie opuszczał łóżka. Bolały go nadgarstki, ręce, nogi. Nie był w stanie siedzieć bez podtrzymywania. Miał stałą duszność, kaszał,

pluł krwią. Opium już nie pomagało.

Zmarł nagle?

– Agonia trwała cztery dni. Umarł w nocy. Bardzo cierpiał.

Czy lekarze przeprowadzili sekcję zwłok?

– Tak, zrobił to wybitny w owych czasach patolog Jean Cruveilhier. Niestety, jego notatki zaginęły. Z zapisków innych, którzy cytowali lekarza, wynika jednak, że śmierć Chopina spowodowana była wcześniej nieznaną mu chorobą.

A jaka była oficjalna przyczyna zgonu?

– Gruźlica płuc i krtani.

Czy dzisiaj Chopin miałby szansę żyć dłużej?

– W każdym razie lepiej. Dziś mamy antybiotyki, które leczą infekcje dróg oddechowych, mukolityki – leki, które rozrzedzają wydzielinę zalegającą w narządach wewnętrznych – specjalistyczne inhalacje zmniejszające lepkość wydzieliny oskrzelowej. Przy całkowitej niewydolności płuc możliwy jest ich przeszczep. Umiemy też korygować niedobory enzymów trzustkowych. Wiemy więcej na temat diety chorych. Choć, niestety, to wszystko pozwala jedynie wydłużyć przeżywalność chorych i zwiększyć ich komfort życia.

Nie ma leku na mukowiscydozę?

– Nie. A koszt opieki nad jednym chorym dzieckiem wynosi ponad cztery tysiące złotych miesięcznie. Im więcej jednak będzie się mówiło o tej chorobie, tym większa będzie jej świadomość. Będzie wcześniej wykrywana, chorzy będą mieć lepszą opiekę. Może też znajdą się sponsorzy, którzy sfinansują badania nad nowymi terapiami.

Chopin w tym pomoże?

– Mam nadzieję.

REKLAMA

OFF PLUS CAMERA
przedstawia

Bierzcie i Kręćcie!

Zbierz ekipę i nakręć fabułę

Sfilmuj wyznanie miłosne za pomocą komórki

Zrób krótki film lub relację z wydarzenia

Do wygrania **3 000 \$** w każdym z konkursów, nowe komórki oraz zaproszenie na Festiwal OFF PLUS CAMERA oraz Warsztaty Filmowe CINEMAX do Krakowa.

Więcej na www.offpluscamera.com/konkursy

RELACJA Z WYDARZENIA

Inwestuj w polską muzykę!

Ten tytuł to nie żart. Przykłady z ostatnich lat uczą, że za niektóre płyty rodzimych artystów po kilkunastu latach dostaniemy nawet kilkadziesiąt razy więcej, niż zapłaciliśmy

KOLEKCJONOWANIE MARCIN CICHONSKI

Na Zachodzie za najbardziej poszukiwane płyty trzeba zapłacić nawet kilka, a czasem i kilkanaście tysięcy dolarów – mówi Jacek Gajewski, kolekcjoner. – Ale i na naszym rynku są single oraz albumy, na które trzeba wyłożyć trzy-, a coraz częściej czterocyfrowe sumy. Gajewski wie, co mówi. W 2004 roku zamarzył, by zgromadzić wszystkie wydawnictwa, na których pojawił się Kazik Staszewski. – Kompletowanie dyskografii zajęło mi ponad rok. Niewiele, bo w momencie startu miałem już jedną trzecią kolekcji.

Już kilka lat temu za płyty Gajewski płacił często ponad 200–300 złotych. – Gdybym teraz chciał je sprzedać, mógłbym zyskać co najmniej 30–40 procent – przekonuje.

Z Kazikowych albumów najtrudniej jest zdobyć „Spalam się” i „Spalaj się!” wydane w 1991 i 1993 roku w nieistniejących już wytwórniach. Kosztują nawet 400 złotych. Ich posiadanie uratowało życie Sławkowi Pakosowi, szefowi wytwórni W Moich Oczach. W 2003 roku musiał pojechać do Pragi na biznesowe spotkanie, po którym do Polski wszedł światowy potentat na rynku biletów na kon-

certy, firma Ticketpro. – Byłem bez kasy – wspomina Pakos. – Żeby mieć pieniądze na wyjazd, sprzedałem dwie płyty Kazika, których i tak za często nie słuchałem. Wystarczyło i na podróż, i na hotel.

I tak fan zyskał dwie płyty, o których marzył, Pakos zyskał pracę, a polski rynek koncertów zmienił się nie do poznania.

Nasze drogie single

Handel płytami, niegdyś zdominowany przez giełdy oraz organizowane ad hoc przez fanów kluby wymiany płyt, niemal całkowicie został zmonopolizowany przez serwis Allegro. I wystarczy tam tylko zajrzeć, by dostrzec... wysokie ceny i ogromne emocje. – Najwyższe ceny osiągają oczywiście płyty kultowych wykonawców, które ukazały się w nieistniejących już wytwórniach albo w wytwórniach, które nie są zainteresowane wydawaniem wznowień – tłumaczy Pakos, który obserwuje rynek od ponad dwóch dekad. I tak za płytę Lecha Janerki „Dobranoc” wydaną w 1996 roku przez Koch na Allegro trzeba zapłacić grubo ponad 200 złotych. Wydany przez tę samą wytwórnię powrót zespołu Perfect, czyli nagrany bez Zbigniewa Hołdysa krążek „Jestem”, można okazjnie kupić za 140 złotych, choć fani formacji wspominają, że 10 lat temu płyta ta na marketowych wyprzedażach oferowana była nawet za 9,90 zł.

Pakos, w końcu sam wydawca, potrafi zrozumieć, dlaczego wielkie wytwórnie nie chcą inwestować we wznowienia i w reedycje. Szybko wyliczył, ile można zarobić na wypuszczeniu na rynek partii tysiąca płyt: – Po podsumowaniu wszystkich kosztów takie wydawnictwo może przynieść zysk w wysokości za ledwie trzech–czterech tysięcy złotych, i to nie od razu – tłumaczy. Zapewne dlatego niemożliwością jest kupno płyty Edyty Bartosiewicz „Love”, która na rynku płytowym jest jednym z najbardziej chodliwych towarów.

Zdaniem Pakosa poszukiwacze rarytasów powinni zwrócić uwagę na albumy wydane zaraz po wprowadzeniu nośnika CD: – Ówczesne nakłady często nie przekraczały 500–1000 sztuk, co sprawiło, że dziś pierwsze CD stały się unikatami.



Typują eksperci

Dostępne w sklepach płyty, które mogą okazać się dobrą inwestycją

PIOTR STELMACH, radiowa Trójka
The Black Tapes „The Black Tapes”
Hatifnats „Before it is Too Late”
Kings of Caramel „Kings of Caramel”
Drivealone „30 Heart Attacks a Day”
CNC „No Mood”

DANIEL WOLAK, Archiwum Polskiego Rocka
Bracia „Fabrock”
Bohema „Bohema”
Riverside – płyta koncertowa (bez tytułu)
i sprzedawana tylko na koncertach

SŁAWEK PAKOS, wytwórnia W Moich Oczach
Falarek Band „Falarek”
Rastasisize „Day by Day”
wszystkie dostępne płyty zespołu Kat
wszystkie dostępne płyty zespołu TSA
wszystkie dostępne płyty zespołu Paktofonika

Ale nie tylko takie albumy cieszą się wzięciem. Jedną z 10 najpopularniejszych polskich płyt po 1989 roku, pierwszy album grupy Hey, zatytułowany „Fire”, do dziś sprzedaje się w kilkuset tysiącach egzemplarzy. Mimo to za wydawnictwo można zainkasować nawet 200 złotych. Pod dwoma warunkami: musi to być pierwsze, i to utrzymane w miarę dobrym stanie, wydanie. Hey w swoim dorobku ma jeszcze jeden rarytas – zdobycie angielskiej wersji płyty „?” rozpała wyobraźnię niejednego kolekcjonera.

Co jeszcze cieszy się wzięciem? Pożądanym jest jedyny album Buzu Squat „Dowódcy miłości”, pierwsze płyty Pogodno, a nawet dowód najbardziej okrutnego kłamstwa w historii polskiego show-biznesu, czyli „Ostatni koncert” zespołu Kombi.

Skoro drogie bywają płyty, które niegdyś trafiły do handlu, to jaką wartość muszą dla fanów przedstawiać single oraz inne wydawnictwa, które były dostępne dla nielicznych?

Poszukiwane są single raperów, pierwsze płyty Pogodno, a nawet dowód najokrutniejszego kłamstwa w historii polskiego show-biznesu – „Ostatni koncert” Kombi

– Single radiowe to zupełnie osobna historia. Również cenowa – mówi Gajewski, który bardzo się cieszył, gdy udało mu się kupić jeden z singli Anny Marii Jopek (stara się zebrać całą kolekcję) za jedyne... 72 złote. To niezwykle starannie opracowane wydawnictwa, które nigdy nie trafiły do sprzedaży, a zawierają utwory w wersjach koncertowych, nagrane często z czołówką polskich jazzmanów, na przykład z Tomaszem Stańką. Ich ceny na Allegro zaczynają się od stu złotych.

Bywa, że zawierające często jedno nagranie krążki kosztują więcej niż butelka dobrej whisky. Oczywiście im mniejszy był nakład wydawnictwa i im wyższa pozycja artysty wśród fanów, tym cena wyższa. Za 463 złote sprzedano między innymi zawierający jed-

no, przeznaczone dla radiowców nagranie Republiki „Śmierć na pięć”. Ostatnio jednak najwyższe ceny osiągają single raperów.

Kat poszukiwany

Za największy rarytas uchodzi singel grupy Kaliber 44 zawierający kompozycję „Moja obawa”, „Więcej szmalu” oraz legendarne „+ i -” (w dwóch niedostępnych gdzie indziej wersjach: radiowej, czyli ocenzonej, i instrumentalnej). Jeśli posiadacie taką płytę i jest ona utrzymana w bardzo dobrym stanie, czyli nie ma rys, a tekturowe opakowanie najmniejszych zagnieceń, to możecie za nią dostać nawet ponad tysiąc złotych. W cenie są też single Molesta/Ewenement i Mor W.A. Tede w swoim Wielkim Jo! wydał ostatnio w nakładzie 70 eg-

zemplarzy singel „A/H24N2”. Sprzedawał go wraz z firmową koszulką tylko 24 grudnia. Krążek, który ma być ostateczną odpowiedzią w jego beefie z Peją, już osiąga cenę ponad 500 złotych. Za dwa–trzy lata będzie wart tyle, ile do bry skuter.

Na wartości zyskują też single wykonawców, o których w innych okolicznościach „Przekrój” nawet by się nie zajął. Jedno z dokonów formacji Sumptuastic osiągnęło cenę prawie 200 złotych.

Według Daniela Wolaka, który od lat prowadzi Archiwum Polskiego Rocka (w wersji internetowej to www.archiwumrocka.art.pl, wersja książkowa ukaże się w marcu – będzie zawierała rynkowe ceny wszystkich płyt), i tak najwięcej warte są winyle. Każdy fan polskiej muzyki marzy o posiadaniu francuskiego wydania płyty Kryzysu czy amerykańskich bootlegów Kata. Znalazienie winyli w dobrym stanie to prawie *mission impossible*: – Za słynną koncertówkę Perfectu jestem w stanie zapłacić kilkaset złotych – deklaruje Gajewski. – Jest jeden warunek: nie może przekakiwać – dodaje ze śmiechem.

Wracając do kompaktów, ich nakłady maleją i dziś nikogo nie dziwi, że płyta, która trafia do piątki najpopularniejszych albumów danego miesiąca, osiąga łączny nakład mniejszy niż 10 tysięcy egzemplarzy, a gdy ten zostanie wyczerpany, nie jest wznowiana. Za kilka lat, nawet jeśli wreszcie przejdziemy elektroniczną rewolucję i zamiast płyt CD będziemy kupować pliki, niektóre albumy mogą stać się rarytasami.

Na zakończenie, drogi czytelniku, zanim zaczniesz gorączkowo sprawdzać, ile warta jest twoja kolekcja, albo pobiegiesz zdobyć jedną z płyt rekomendowanych obok, dobrze się zastanów.

Jeśli kupisz płytę, kierując się innymi pobudkami niż własny gust, możesz zyskać. Ale możesz też bardzo dużo stracić. Na Allegro trafił ostatnio album „Niespokojny 2” bardzo popularnego przed laty piosenkarza Gabriela Fleszara. Mimo zawrotnej ceny 2,50 złote go krążek nie znalazł nabywcę. □

Beztroska w betonowej dżungli

Wznowione właśnie „Osiedle Swoboda” było pierwszą udaną opowieścią o polskim blokowisku. Michał „Śledziu” Śledziński wyprzedził Latkowskiego i Masłowską, ale mało kto o tym pamięta. Niesłusznie

SEBASTIAN FRĄCKIEWICZ

To nuda, nuda, nuda. Tak przez cały dzień...” – śpiewają w jednej z piosenek Komety. Te słowa mógłby powtórzyć młody Michał Śledziński, w latach 90. mieszkając Szwederowa, jednego z bydgoskich blokowisk. Całe dnie spędza na ławce na nicnierobieniu, rozmowach z kumplami, kolejnym browarze i rundkach wokół bloku. W oparach tejże nudy rodzi się „Osiedle Swoboda”, czyli przygody pięciu przyjaciół, którzy żyją podobnie jak „Śledziu” i jego koledzy. I podobnie jak tysiące polskich nastolatków w blokach z wielkiej płyty. Inspiracje do poszczególnych odcinków właściwie znajdują się same.

– Za każdym razem, kiedy wychodziliśmy ze znajomymi do parku na ławeczkę, zaczynały się opowieści. Odbywał się nieoficjalny konkurs na najlepszą historię kolegi, kolegi kolegi czy własną. Robota w kostnicy, praca noszownika na meczu, sprzedaż motorynki, żeby kupić jointy. Wszystko podśluchane, wykorzystane – mówi „Przekrojowi” „Śledziu”. Swoją pomysły na komiks przedstawił Marcinowi Przasnyciemu, byłemu naczelnemu magazynu o grach komputerowych „Secret Service”, z którym już wcześniej współpracował jako rysownik. Zaimprovizował przed nim scenariusz pierwszego odcinka. Przasnyciemu tak się spodobało, że specjalnie dla „Osiedla...” postanowił stworzyć nowy magazyn komiksowy „Produkt”, a seria miała być motorem napędowym całego projektu. Choć „projekt” to chyba nieodpowiednie słowo, bo wszystko działało się spontanicznie, bez jakiegokolwiek planu. Ta szaleńcza metoda okazała się już wkrótce obosieczną bronią: przyniosła sukces, a potem doprowadziła do upadku i „Osiedla...”, i „Produkt”.

Ach, jak przyjemnie

W 1999 roku do kiosków trafia pierwszy numer „Produktu”, a Śledziński zostaje naczelnym. Na początek do redakcji ściągają innych rysowników z Bydgoszczy. Debiutu bądź co bądź ogólnopolskiego pisma w nakładzie 20 tysięcy



egzemplarzy nie wspiera żadna akcja promocyjna. Reklama ukazuje się jedynie w magazynie o grach video „Neo Plus”. Wieści o kolejnych numerach (nakład zmniejszono) rozchodzą się pocztą pantoflową, a sprzedaż kształtuje się na poziomie sześciu-siedmiu tysięcy egzemplarzy. Jak na ówczesne warunki rynkowe to bardzo dużo, inne komiksowe czasopisma mają kilkakrotnie mniejszą sprzedaż. „Produkt” szybko zdobywa czytelników, z których część nigdy wcześniej nie czytała historii obrazkowych.

Jak to możliwe? Podczas gdy inne magazyny komiksowe publikują głównie opowieści fantasy, science fiction i sensację, „Produkt Crew” (bo tak mówi o sobie redakcja) postanawia zająć się polską rzeczywistością. To naturalne, że nastolatek chętniej niż z pogromką smoków będzie utożsamiał się z mieszkańcami „Osiedla Swoboda”. Jego bohaterowie: Wi-

raz, Smutny, Szopa, Niedźwiedź i Kundzio, mają bowiem te same problemy co czytelnik. Słuchają ciężkiej muzy, używają się z dresiarzami i wścibskimi emerytkami słuchającymi Radia Maryja. Przy browarze i trawie snują pseudofilozoficzne rozważania na temat ostatnio obejrzanego filmu. Jak ich nie lubić? Tym bardziej że w przeciwieństwie do pesymistycznych tekstów wyśpiewywanych przez polskich hip-hopowców czy dość ponurą opowieść o osiedlowym życiu przedstawioną przez Latkowskiego w „Blokiersach” Śledziński tworzy pozytywną wizję polskiego blokowiska. Bohaterowie „Osiedla...” to prawdziwi przyjaciele, trzymają się razem niezależnie od okoliczności. Choć komiks jest czarno-biały, ich życie w wyniku niesamowitych zdarzeń i zbiegów okoliczności nabiera barw. Okazuje się, że wystarczy parę złotych, dobre towarzystwo i uśmiech, by cieszyć się dniem dzisiejszym, nawet

gdy na horyzoncie nie mającą obiecującą perspektywę. Bez wątpienia komiksiarz z Bydgoszczy dowartościował blokowiska, a więc i rzeczywistość, w jakiej funkcjonują czytelnicy.

Komiksowa bohema

Twórcy z „Produktu” stają się specjalistami od miejskich opowieści, a przy okazji (dość świadomie) pracują nad własną. Po czwartym numerze magazyn zmienia wydawcę, zostaje nim Prasa Niezależna, wydawnictwo Krzysztofa Paplińskiego, które będzie prowadzić pismo do końca, czyli do 2004 roku. Śledziński zmienia kwatery główne redakcji. Z Bydgoszczy przenosi się do Olsztyna, a potem do Poznania, gdzie w jego mieszkaniu powstaje Studio Bonin. Jedzie do stolicy Wielkopolski na studia (animacja na ASP), ale po kilku miesiącach rezygnuje i postanawia zająć się wyłącznie komiksem. Studio Bonin to dom otwarty, do którego przyjeżdżają inni twórcy z „Produktu”, między innymi Filip Myszkowski oraz Bracia Minikiewiczowie. Ich „Wilq” staje się zresztą drugim filarem magazynu. „Śledziu” wspomina Studio Bonin jako najlepszy okres, kiedy imprezowanie mieszało się ze wspólnym tworzeniem komiksów i redagowaniem „Produktu”.

Beztroska miała jednak swoje granice. Śledziński zajmował się tylko artystyczną stroną periodyku, wyniki sprzedaży i problem reklam pozostawiając wydawcy. Po 12. numerze „Produktu” (w sumie ukazał się 23) postanowił zamknąć serię „Osiedle Swoboda”, a magazyn zaczął zmieniać swój charakter. Pojawiło się wię-

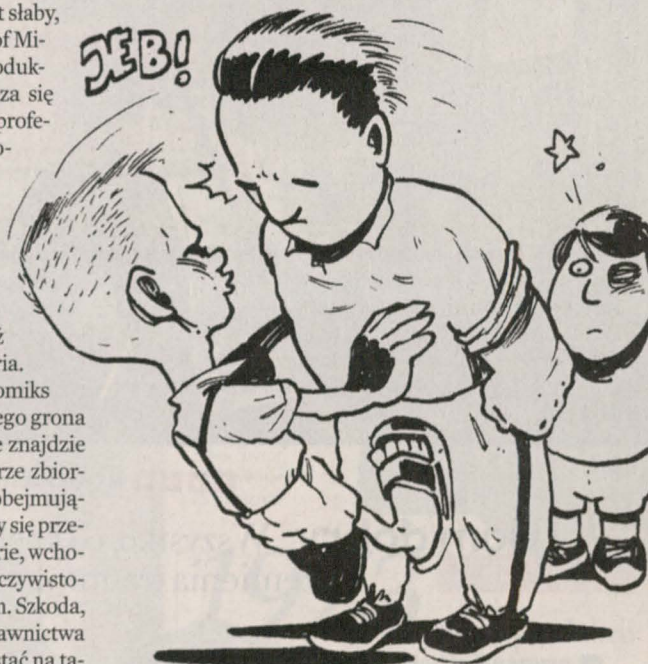
Co do opisu polskiej rzeczywistości, Śledziński zostawia konkurencję daleko za plecami. Swobodnie!

cej komiksów akcji, coraz mniej osadzonych w polskiej rzeczywistości. Sprzedaż spadła, ostatni numer rozszedł się w czterech tysiącach egzemplarzy. – Dziś wydaje mi się, że zmiana charakteru magazynu była główną przyczyną jego problemów – mówi Krzysztof Papliński. Jego zdaniem rynek reklamowy był wtedy zbyt słaby, by uratować „Produkt”. Krzysztof Mirowski, jeden z redaktorów „Produktu” i jego publicysta, nie zgadza się z tym: – Nie było nikogo, kto profesjonalnie zajmowałby się promocją pisma, a nawet przy takim nakładzie można było zdobyć reklamy.

„Osiedle Swoboda” wraca jeszcze na krótko w 2004 roku w postaci osobnych zeszytów, tym razem w kolorze. Ale ma już inny charakter niż pierwotna seria.

„Produkt” udowodnił, że komiks w Polsce może trafić do szerokiego grona czytelników, pod warunkiem że znajdzie z nimi wspólny język. Po lekturze zbiorczej edycji „Osiedla Swoboda” obejmującej odcinki z „Produktu” możemy się przekonać, że to nadal świetne historie, wchodzące w dialog z ówczesną rzeczywistością, zrobione na luzie i z połosem. Szkoda, że po 10 latach od tamtego wydawnictwa niewielu polskich komiksiarzy stać na ta-

ki dialog. Michał Śledziński zapowiada jednak, że jeszcze wróci na „Osiedle...”. Przygotowuje album, którego akcję chce umiejscowić w latach 90. – Ten okres to dla mnie silnik napędzany paliwem, w którym wymieszały się: grunge, hard core, pierwsze konsole, seks, alkohol, narkotyki, ale także słodkie nieróbstwo, kiedy zupełnie nie myślało się o przyszłości – mówi. On sam od chwili publikacji „Na szybko spisane” został specjalistą od sentymentalnych podróży. Który z polskich twórców komiksowych przejmie po nim pałeczkę eksperta od opowiadania o naszej rzeczywistości? Następców wcale nie widać. □



najlepsze komiksy 2009

poleca **stereo.pl**

Zamów już dziś
na www.stereo.pl





Punkrockowy zespół WCK wyśpiewuje swój bunt w opuszczonym składzie PKP

++++ MICHAŁ OLESZCZYK

Dom dobry „Wszystko, co kocham” Jacka Borcucha przemienia traumę lat 80. w mit



Basia (Olga Frycz) i Janek (Mateusz Kościukiewicz) **Miłość w cieniu PRL**

Jeszcze nie otrząsnęliśmy się z czarnuchy „Domu złego”, a już Jacek Borcuch zbudował nam dom (prawie) dobry: stan wojenny jako czas młodzieńczej inicjacji w bunt, seks, muzykę i dojrzałość. Zarówno gorączka solidarnościowa, jak i sam 13 grudnia 1981 roku są obecne, ale stanowią bardziej tło dla poczynań młodych bohaterów niż powietrze, którym by oddychali. Koślawa polska komuna nie truje u Borcucha tak mocno jak u Smarzowskiego: można żyć pomimo niej.

Ceną, jaką płaci za to sam film, jest uproszczenie. Punkowy bunt głównego bohatera Janka (Mateusz Kościukiewicz), jego pierwsza miłość uwikłana w światopoglądowy konflikt rodzin, wreszcie zdyszany seks ze zdzirowatą sąsiadką

„Wszystko, co kocham”, reż. Jacek Borcuch, Polska 2009, ITI Cinema, 100', premiera 15 stycznia

z bloku (dowcipna rola Katarzyny Herman) – to wszystko są klisze filmu młodzieżowego, prawie jak z „Breakfast Club” Johna Hughesa.

Błogosławieństwem Borcucha jest jednak właśnie umiejętność pracy z kliszami – ma agresywną, popową wyobraźnię wizualną i potrafi wydobywać z aktorów autentyczność. Każda scena nosi w sobie etykietkę identyfikacyjną: ta jest o marzeniu, ta o szczeniackim gniewie, a tamta o bólu żałoby. Sceny te rzadko bywają czymś więcej, ale i – co ważne! – prawie nigdy nie okazują się czymś mniej. Wielka w tym zasługa obecnego prawie w każdej sce-

nie Kościukiewicza z paradoksalną twarzą (zaciętą i pogodną zarazem), przywodzącą na myśl samotnego dystansowca Toma Courtneya z kina dawnych brytyjskich gniewnych.

Ostatecznie film niewiele różni się od komiksu w typie fotostory, ale ponieważ każdy dymek i obrazek są perfekcyjnie dobrane, nasze emocje są zaangażowane od początku do końca. Tata Andrzej Chyra to typowy produkt naszej rozgryzającej wyobraźni historycznej – dobry oficer marynarki wojennej jednocześnie pilnujący systemu i zezwalający na punkowy koncert. Potrzebujemy tego fantazmatu, tak jak potrzebujemy jego przeciwieństwa, czyli komucha sk...syna granego tu przez Marka Kalitę. Tylko zmieniając traumę w mit (oczywiście w popularnym kinie, a nie w podręcznikach historii!), będziemy mogli wreszcie się z nią pożegnać. □

++

„Wszyscy mają się dobrze”. Aż za dobrze

Słodko, sentymentalnie, wystawnie – nie, to nie Wigilia, to film Kirka Jonesa

Przedmiotem rozważań jest tu jakże ważna w dzisiejszym coraz bardziej zatowizowanym społeczeństwie rodzina. Po śmierci żony chorobliwy perfekcionista Frank Goodie (Robert De Niro), chcąc podtrzymać rodzinne ognisko (drew do niego do kładła dotąd wyłącznie nieboszczka), rusza w odwiedziny do czwórki rozproszonych po kraju dzieci. Przez moment atmosfera jest więc jak z „Broken Flowers”, ale nieprzewidywalność charakterystyczna dla kina Jarmuschy szybko ustępuje miejsc moralizatorskim banalom. Ta podróż ma nauczyć Franka – i widza – że w rodzinie nie można tylko rozkazywać, trzeba także umieć słuchać; że wieść żywot perfekcyjny nie znaczy wcale być szczęśliwym, a gorzka prawda smakuje lepiej niż najśłodsze kłamstwo.

Twórcy scenariusza zadbali jednak, by wszyscy czuli się komfortowo. Z filmu wynika, że skutki nawet największych błędów wychowawczych da się naprawić jedną szczęśliwą Wigilią i że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło: wszak gdyby nie chorobliwe ambicje rodziców, niejednego artysty skończyłby jako malarz pokojowy. Czyżby więc nie istniało coś takiego jak złe wychowanie? Naiwnych odsyłam do filmu Almodóvara pod tym właśnie tytułem. – kp



„Wszyscy mają się dobrze”, reż. Kirk Jones, USA 2009, Forum Film, 100', premiera 8 stycznia

PGT, ITI (2), FORUM FILM, BESTFILM, KINO ŚWIAT

■ MAŁGORZATA SADOWSKA

Śmierć krwio pijcom! Groza kryzysu ekonomicznego już znalazła swoje odbicie w kinie. Kinie grozy

Zachłanność – chyba nikt nie ma wątpliwości, że to ona odpowiada za tapnięcie na Wall Street jesienią ubiegłego roku i światowy kryzys. Zachłanność doprowadziła w końcu Bernarda Madoffa do więzienia, choć pewnie wielu wolałoby, żeby z miejsca poszedł do diabła. Ich fantazje o smażeniu chciwych bankierów i finansistów w ogniu piekielnym spełnia we „Wrotach do piekła” Sam Raimi; krwio pijcy płoną też w „Daybreakers. Świt” braci Spierig: ten pierwszy podszedł do tematu kryzysu bardzo bezpośrednio, ci drudzy ubrali go w tak modną ostatnio wampiryczną metaforę.

W niedalekiej przyszłości w wyniku epidemii część ludzi zamienia się w wampiry i z czasem amatorzy czystej krwi stają się na ziemi dominującym gatunkiem. Niestety, kończą się im dostawy pożywnej trumki, bo nadmiernie eksploatowane homo sapiens wymiera. Jeden z wielkich koncernów farmaceutycznych chwytą więc i przechowuje – że się tak wyrażę – zasoby ludzkie. Ale i one się kończą... Horror fantazy braci Spierig nie tylko pokazuje konsekwencje nadmiernego apetytu i polityki polegającej na beztróskim eksploatowaniu dóbr, ale też wskazuje winnych. Wampirami są politycy, wojskowi, biznesmeni. To oni piją krew wyzyskiwanych obywateli, ale zmiecie ich rewolucja.

Ukarana zostaje też (jakże efektywnie!) bankowa urzędniczka z „Wrót do piekła”. Starając się o awans w dziale kredytów, odmawia staruszcze, pani Ganush, kolejnego odroczenia spłaty długu. Ganush, którą czeka eksmisja, rzuca kłutwę na dziewczynę. Przez trzy dni będzie ją męczył demon (równie przera-

żający, co komiczny), a potem piekło pochłonie. Możemy współczuć nieszczęsnej pracownicy banku, wszak była tylko śrubką w maszynie cynicznego systemu – Raimi przypomina jednak, że nie tylko zachłanność wielkich graczy prowadzi do ekonomicznego i moralnego kryzysu, ale też niepoohamowany apetyt małuczkich. A Christine nie umie się pohamować, o czym świadczy jej długa walka z nadwagą i słabość do kompulsywnych zakupów.

I Raimi, i Spierig puszczaają oko. Śmiało mieszają horror z innymi gatunkami, ocierając się o pastisz, pokazują dystans, raczej śmieją, niż straszą. A przy tym obaj dobitnie przekonują, że chciwość to pierwszy stopień do piekła. □



„Wrót do piekła”. Christine (Alison Lohman) jest, jak widać, w grobowym nastroju

+++

„Wrót do piekła”, reż. Sam Raimi, USA 2009, Best Film, 99', premiera 1 stycznia

+++

„Daybreakers. Świt”, reż. Michael i Peter Spierig, Australia/USA, Kino Świat, 98', premiera 15 stycznia

1973 to rok produkcji żółtego Oldsmobile Delta 88 należącego do Sama Raimiego i „grającego” w niemal wszystkich jego filmach. We „Wrotach...” jeździ nim wiedźma Sylvia Ganush.

obserwuje posępne blokowisko z wrażliwością dokumentalisty), a raz przedmieście zmienia się w mroczny labirynt zła, przestrzeń z zupełnie innej filmowej bajki. Balansu między społecznym kinem a sensacją nie dało się utrzymać. Ciężar opowieści przesunął się to w jedną, to w drugą stronę, a Brown nazbyt łatwo z powłóczęgo nogami emeryta staje się bezwzględny – nadal powłóczęgą nogami – mścicielem, który choć siwy włos na głowie i nie to zdrowie, doskonale pamięta, do czego służy broń. Ostatnią potyczką byłego marines jest

starcie z gangiem, który trzęsie osiedlem i którego członkowie zakatowali starszego mężczyźnego, przyjaciela Harry'ego. Film Barbera jednoznacznie kojarzy się z „Gran Torino”, w którym z młodocianymi bandytami rozprawiał się Clint Eastwood. Ale nasuwa się jeszcze inne skojarzenie – z wcześniejszym wcieleniem Eastwooda: Brudnym Harrym. Brytyjska produkcja ma równie silną konserwatywną wymowę – brutalny

odwet okazuje się jedyną skuteczną metodą walki z przestępcami. Tak samo jak amerykański kolega Brown stawia się ponad prawem i sprząta na swoim osiedlu ludzkie śmieci. Nie ma wątpliwości, po czyjej stronie jest racja: młodzi bandyci są tak od-



rażający, brudni i źli, że od początku marzymy o tym, żeby ktoś spuścił im łomot. Oko za oko, ząb za sztuczną szczękę – naprawdę uwierzyć, że tylko przemoc gwarantuje porządek? – masa

+++

Brudny Harry

„Harry Brown” nie nudzi się na emeryturze

ZACZYNA SIĘ JAK OBYCZAJOWA opowieść o samotnej starości – kończy jak najczystszej wody sensacja. Tytułowy bohater grany przez Michaela Caine'a nazbyt gładko przechodzi między tak różnymi konwencjami, by film Barbera uczynić wiarygodnym. Raz filmowym światem rządzi surowy realizm spod znaku Kena Loacha (operator Martin Ruhe

„Harry Brown”, reż. Daniel Barber, Wielka Brytania 2009, Monolith, 103', premiera 15 stycznia

W CENIU CIĘŻARNEJ WDOWY

MARTIN AMIS OPOWIADA BARŁOMIEJOWI PASZYLKOWI O REWOLUCJI, KTÓRA ZAWSZE PRZYNOSI SMUTEK I ROZCZAROWANIE. I O POLAŃSKIM, KTÓRY CHOĆ WIELKIM ARTYSTĄ JEST, POWINIEN ZOSTAĆ UKARANY

Swego czasu poświęcał pan mnóstwo czasu na przeprowadzanie wywiadów z największymi gwiazdami świata kultury, a potem, we wstępie do jednej ze swoich książek, stwierdził pan, że sztuka przeprowadzania wywiadów jest martwa. Nadal pan tak uważa?

– No dobrze, może nie martwa... Powiedzmy, że jest bardzo wycieńczona. Przygotowuje się na śmierć (*śmiech*). Oczywiście zdaje sobie sprawę z tego, że wciąż jest dla niej miejsce, ale mam wrażenie, iż od pewnego czasu coraz bardziej zżera ją rutyna. Przepytывani podczas wywiadu pisarze, jeśli o nich akurat mielibyśmy mówić, bardzo rzadko wyjawiają dziennikarzom coś nowego. Zazwyczaj w kółko powtarzają jakieś wcześniej przygotowane formułki, tak jakby byli politykami. Wywiady stają się po prostu kolejnym trybikiem w ogromnej maszynie reklamy. Czy kiedy dziennikarz prosi o udzielenie wywiadu, czuje pan, że to w gruncie rzeczy strata czasu, że przecież i tak nie przekaze pan w ten sposób nic ważnego?

– Niekoniecznie. Myślę, że jestem w stanie przekazać w wywiadzie pewne ważne rzeczy, ale w istocie zdarza się to bardzo rzadko. Zazwyczaj czuję, że kolejny raz powtórzyłem to, o czym wszyscy i tak już wiedzieli. To zresztą prowadzi do zabawnej sytuacji: po odbyciu wielu niemalże identycznych rozmów z dziennikarzami każde pytanie, którego nie zadano mi wcześniej, zaczyna mnie autentycznie przerażać – przecież żeby na nie odpowiedzieć, będę musiał dla odmiany pomyśleć, a nie tylko powtórzyć wyuczoną formułkę.

Przez ostatnich kilka lat pracował pan nad powieścią „The Pregnant Widow” – początkowo miała to być książka w znacznej mierze autobiograficzna, później zdecydował się pan wyrzucić z niej wszystkie bardziej osobiste wątki i skupić się na fikcyjnej fabule. O czym więc ostatecznie będzie „The Pregnant Widow”?

– Wyszła z tego książka mocno osadzona w historii, a konkretnie w latach 70. Opowiada o feminizmie, a więc o prawdziwej rewolucji seksualnej, jaka miała wówczas miejsce. Tytuł „The Pregnant Widow” („Ciężarna wdowa”) pozwoliłem sobie pożyczyć od rosyjskiego myśliciela Aleksandra Herzena, który twierdził, że choć w wyniku rewolucji nastaje zawsze nowy porządek, nie należy się spodziewać, iż utrzymanie go obędzie się bez problemów. Trzeba się liczyć z tym, że będzie nas czekać okres chaosu, smutku i rozczarowania. Rewolucja bowiem nie przynosi na świat nowo narodzonego dziecka, ale właśnie tytułową ciężarną wdowę. Moim zdaniem ta wdowa wciąż jest dopiero w drugim trymestrze...

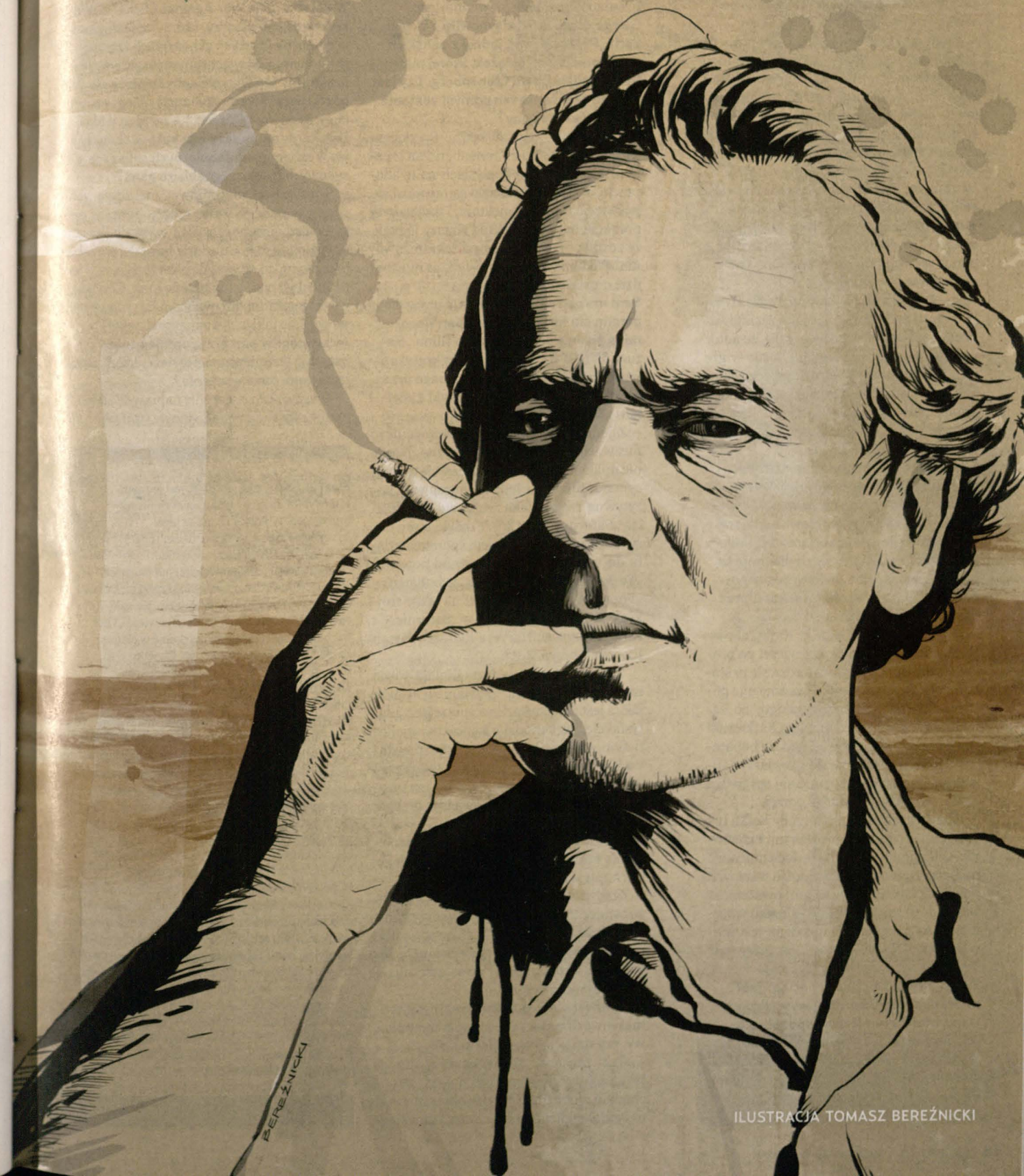
Tak się składa, że tuż przed naszą rozmową po raz kolejny przeczytałem pański wywiad z Romanem Polańskim zamieszczony w zbiorze „Visiting Mrs. Nabokov”. Przeprowadzał pan ten wywiad tuż po tym, jak Polański uciekł ze Stanów Zjednoczonych, by uniknąć procesu o gwałt. Z nim też dyskutował pan o feminizmie. Pamięta pan, co wtedy powiedział?

– Pewnie. Polański twierdził, że rewolucja feministyczna jest pozbawiona sensu, bo kobiety powinny raczej próbować znaleźć dla siebie odpowiednie miejsce w świecie, a nie próbować zmienić świat tak, żeby to im było jak najlepiej. Według niego cały feministyczny przewrót odbywał się niejako wbrew procesowi ewolucji. Ja natomiast jestem feministą, więc nie mogłem się z tą teorią zgodzić. Osiągnięcie jak najlepszego porozumienia między kobietami a mężczyznami jest oczywiście niezwykle trudnym zadaniem, ale nie znaczy to, że nie należy próbować.

Już po tym, jak po raz pierwszy zaczęto ścigać Polańskiego za przespaanie się z nieletnią modelką, zarzucał on amerykańskim sędziom hipokryzję, mówiąc, że przecież „każdy marzy o pieprzeniu młodych dziewczyn”, a w jego przypadku nagle uznaje się to za nie wiadomo jakie przestępstwo. W swoim wywiadzie skomentował pan to, pisząc, że cała sztuka polega na tym, żeby nawet jeśli rzeczywiście ma się ochotę „pieprzyć młode dziewczyny”, mimo wszystko tego nie robić. Jak postrzega pan obecną sytuację Polańskiego – czy dziś powinien jeszcze odpowiadać za tamten czyn?

– Polański to ogromnie czarujący facet, ale odnoszę wrażenie, że ani wcześniej, ani teraz nie dotarło do niego, co naprawdę zrobił. Jakkolwiek patrzeć na całą tę sytuację, wykorzystał przecież całkowicie bezbronną osobę. I moim zdaniem powinien zostać za to ukarany. W innej książce, „The War Against Cliché”, pisze pan, że Polański nie kręci już dobrych filmów. Sądzi pan, że jego obecne przygody zainspirują go do stworzenia czegoś, co znów będzie godne uwagi?

– Od czasu kiedy pisałem te słowa, Polański nakręcił już jeden świetny film – „Pianista”. Zresztą w ogóle postrzegam go jako niezwykle utalentowanego artystę. Wracając do nowej książki: na długo przed wydaniem zdążyła obrosnąć w pewne kontrowersje. Przede wszystkim, opierając się na informacjach sprzed kilku lat, spodziewano się, że zdradzi w niej pan sekrety prywatnego życia i wyrazi poglądy na temat islamu. Teraz wiadomo już, że te bardziej prywatne wątki pojawiają



ILUSTRACJA TOMASZ BEREŻNICKI

→ się dopiero w kolejnej książce, wstępnie zatytułowanej „The State of England”. Myśli pan, że mimo wszystko „The Pregnant Widow” okaże się dziełem kontrowersyjnym, takim chociażby jak pańska najgorzej krytykowana powieść „Yellow Dog”?

– Trudno to przewidzieć. To, czy powieść okazuje się kontrowersyjna, czy nie, bardzo rzadko wynika z jej treści. Jeśli jakiś dziennikarz wymyśli kontrowersyjne i chwytliwe hasło łączące feminizm i moją książkę, to będzie od razu postrzegana jako kontrowersyjna. Niezależnie od tego, co naprawdę piszę w niej o ruchu feministycznym. W zbiorze „The Moronic Inferno” zwraca pan uwagę na system Kurta Vonneguta, który ocenił wszystkie swoje powieści w skali od 1 do 5. Czy sam byłby pan w stanie spojrzeć w podobny sposób na własne książki?

– Raczej nie. I na pewno nie uważam, żeby którakolwiek moja książka zasługiwała na 1 (*śmiech*). Prawda jest taka, że autor nie powinien być wyrocznią, kiedy w grę wchodzi ocena jego własnych dzieł. Nabokov na przykład najbardziej ze wszystkich swoich powieści lubił „Zaproszenie na egzekucję”, które moim zdaniem jest najgorszą rzeczą, jaką stworzył.

Skoro jesteśmy przy ocenie dzieł innych autorów: w autobiografii wyznaje pan, że nigdy nie przepadał za powieściami Franza Kafki, ponieważ odbierał je jako nadmiernie epatujące czytelnika atmosferą koszmaru. Zdziwiło mnie to, bo przecież pańskie dwie wczesne powieści, „Sukces” i „Martwe dzieci”, też są niezwykle mroczne.

– Uwielbiam opowiadania Kafki, ale jego powieści... cóż – jego powieści po prostu nie da się czytać. Potwierdza się tu stara reguła, że nic, co jest dziwaczne, nie powinno być ciągnięte zbyt długo, bo za nadto wyczerpuje czytelnika. Kafkowski styl pisania polegający na tym, że bohaterom jego historii może się przydarzyć absolutnie wszystko, świetnie się sprawdza na 20 stronach. Na 200 już gorzej.

Nie uważam natomiast, żeby Kafka był pisarzem szczególnie mrocznym. Przeciwnie – odnajduję w jego historiach mnóstwo humoru. Natomiast co do moich własnych powieści, które pan wymienił: owszem, są w nich mroczne fragmenty, ale najmroczniejszą książką, jaką napisałem, jest niewątpliwie „Nocny pociąg”. Bardziej noir chyba już nie da się pisać (*śmiech*).

Zgoda z tym, że „Nocny pociąg” jest mroczny w nieco bardziej wystylizowany, mniej prymitywny sposób, a to, co dzieje się na przykład w „Martwych dzieciach”, to koszmar poza jakąkolwiek kontrolą – odnosimy wrażenie, że tak jak u Kafki może się tam zdarzyć dosłownie wszystko... A jak właściwie po-

dobą się panu filmowa adaptacja tej powieści?

– Podobają mi się. Uważam, że zabrali się do niej odpowiedni ludzie i dzięki temu wyszło z tego całkiem odważne dzieło, które oglądałem z dużą przyjemnością. Swego czasu dużo się mówiło o ekranizacji „Pół Londynu”, jednej z pańskich najśłynniejszych książek, której miałby się podjąć David Cronenberg. Czy jest jeszcze szansa, że ten pomysł zostanie kiedyś zrealizowany?

– Niestety, nic z tego nie będzie. Spotkałem się jakiś czas temu z Cronenbergiem i rozmawialiśmy o jego pomysłach na tę adaptację, ale później okazało się, że musi się poświęcić innym projektom, i trzeba było porzucić ten plan. Co nie znaczy jednak, że został porzucony pomysł zekranizowania „Pół Londynu”. Po prostu ktoś inny będzie musiał się zająć reżyserią.

Sam ma pan na swoim koncie pracę dla przemysłu filmowego. Jak pan wspomina pisanie scenariusza do filmu „Saturn 3” (1980), niegdyś ostro krytykowanego, a obecnie wspomnianego przez niektórych wielbicieli fantastyki z wielkim sentymentem?

– Z jednej strony było to przeżycie dość niezwykle, z drugiej – idiotyczne. Nigdy nie miałem szczególnego szczęścia do pracy nad filmami. Jedyną naprawdę pozytywną rzeczą, jaka wiąże się z realizacją „Saturn 3”, jest to, że dzięki temu doświadczeniu zgromadziłem sporo materiału do wydanej kilka lat później powieści „Forsa” [nie jest tajemnicą, że bohaterów „Forsy” Amis ukształtował na wzór trójki aktorów występujących w „Saturnie 3”: Kirka Douglasa, Harveya Keitela i Farrah Fawcett – przyp. B.P.].

Zresztą pracując nad tym filmem, wcale nie miałem poczucia zgłębiania gatunku, jakim jest fantastyka. Znacznie większą satysfakcję, jeśli chodzi o kontakt z science fiction, przynosiło mi wieloletnie recenzowanie dzieł tego gatunku dla „Observera”. Nie sposób uznać filmu „Saturn 3” za przykład kina fantastycznego, za jakim przepadam (*śmiech*).

A jaki ma pan stosunek do filmu „Marsjanie atakują” Tima Burtona? Do niego też napisał pan scenariusz.

– Zgadza się, i to całkiem niezły. Z tym że ostatecznie nie został on wykorzystany. Pojawił się nowy reżyser i całkowicie zmienił koncepcję tego filmu. Ale muszę powiedzieć, że podobał mi się ostateczny rezultat, był dość oryginalny.

Czy pański scenariusz też traktował temat inwazji z Marsa w sposób komediowy, czy może był bardziej serio?

– Też zawierał elementy komediowe. W mojej wersji kosmiczni najeźdźcy pochodzili z odległej i bardzo zaawansowanej galaktyki, ale mieli naturę biznesme-

nów i przybyli na Ziemię zarabiać pieniądze oraz faszerować się narkotykami. Byli pełni podziwu dla różnorodności narkotyków, jakimi raczą się Ziemianie, a szczególnie upodobał sobie kokainę.

W książce „The War Against Cliché” ostro krytykuje pan pisarzy, którzy opierają swoje dzieła na utartych schematach i operują nudnym, wyświechtanym językiem. Ale przecież w ten właśnie sposób pisze się dziś bestsellery. Wystarczy rzucić okiem na ranking „New York Timesa” – od razu widać, że rekordy sprzedaży biją autorzy lubujący się w schematach fabularnych i kliszach językowych. Nie przynębia to pana?

– Szczercie mówiąc, nawet nie zdaję sobie sprawy z takiego stanu rzeczy. Teraz w ogóle nie poświęcam czasu na czytanie literatury współczesnej. Znacznie bardziej interesuje mnie to, co stworzyli pisarze żyjący o jedno lub dwa pokolenia przede mną. Choć oczywiście nietrudno mi uwierzyć, że sprawy mają się właśnie tak, jak to pan przedstawił.

A czy mógłby pan przypomnieć sobie ostatnią współczesną powieść, która zrobiła na panu duże wrażenie?

– (*Długa chwila ciszy*) Nie, naprawdę żaden tytuł nie przychodzi mi do głowy (*śmiech*). □

Martin Amis, rocznik 1949, jest jednym z najwybitniejszych współczesnych pisarzy brytyjskich. W Polsce znane są jego wczesne powieści „Martwe dzieci” (1975) i „Sukces” (1978), a także wszystkie dzieła z okresu jego największej popularności: „Forsa” (1984), „Pola Londynu” (1989), „Strzała czasu” (1991), „Informacja” (1995). Jak sam chętnie potwierza, jego pierwszą powieść „The Rachel Papers” (1973) chciało kupić w ciemno każde brytyjskie wydawnictwo. Choćby po to, żeby sprawdzić, jak wypadnie debiut syna niezwykle poczytnego pisarza Kingsleya Amisa. Pracując nad kolejnymi książkami, Martin Amis dbał jednak o stawianie czoła coraz to nowym wyzwaniom, nie unikając eksperymentów, które skądinąd spotykały się z krytyką ze strony jego ojca preferującego znacznie bardziej zachowawczy styl. Bywało zresztą, że zapędzał się w owych eksperymentach zbyt daleko: jego powieść „Yellow Dog” z 2003 roku odebrano dość chłodno, a nastroje większości czytelników dobrze oddał krytyk piszący, że po lekturze książki czuł się „jakby przyłapał ulubionego autora podczas masturbacji”. W 2006 roku wydano w Polsce barwną autobiografię Amisa pod tytułem „Doświadczenie”, natomiast dwa lata później ukazała się u nas jego najnowsza powieść „Dom schadzek”. Poza uprawianiem fikcji literackiej autor zajmował się publicystyką, również na tym polu odnosząc duże sukcesy. Jego artykuły, wywiady i recenzje wydano w kilku zbiorach, z których najważniejsze to „The Moronic Inferno” (1986), „Visiting Mrs. Nabokov” (1993) oraz „The War Against Cliché” (2001). Długo oczekiwana nowa powieść Amisa „The Pregnant Widow” ma zostać opublikowana w lutym 2010 roku.

MARCIN SENDECKI

Oda do BN

Biblioteko! Twój tom 316. (w serii I) w niemałe mnie wprowadził zmysłów pomieszanie.

„Oda w poezji polskiej. Antologia” w opracowaniu Pani Profesor Teresy Kostkiewiczowej, pierwszej wszak u nas znawczyni gatunku (patrz: „Oda w poezji polskiej. Dzieje gatunku”, Wrocław 1996), zasadniczo jest miła, kompetentna, przykładowie uczona, jednak włos staje dęba, gdy przyjrzeć się bliżej.

Och, nie myślę utyskiwać na drobniejsze braki, choć chciałoby się w Wydaniu Narodowym nie widywać smętnych literówek (patrz: „Hymn wieczorny” Stanisława Barańczaka). Także dawniejsze dzieje ody nie burzą mi krwi, choć – znów – jeśli z zasady autorom przypisano noty o pismach i życiu, czemu zrobiono wyjątek dla tych zachwycających od wieków najbardziej? Oto Jan Kochanowski i Adam Mickiewicz, i Juliusz Słowacki tudzież Cyprian Kamil Obejść się muszą tylko nawiasem z datami. (Zygmunta nie ma w ogóle, rzecz melancholijna). Szczęśliwcy – rzekłby szyderca. Ja zaś powiem tylko, że napisać nieobszerną notę o autorze tać jest sztuka sama.

Lecz im bliżej dni naszych, tym straszniej. Jestli Wisława Szymborska „autorką zintelektualizowanych wierszy refleksyjnych”? Prawda? I w dodatku ładnie powiedziana. Ewa Lipska natomiast w swych wierszach lirycznych „ukazuje swoistą wrażliwość pokoleniową”. Wciorności! A taki Bohdan Zadura (uważajcie pilnie, dzieciaki najmilsze) „początkowo (...) poeta kultury, poszerzał sferę zainteresowań o uniwersalną problematykę antropologiczną”. O Jarosławie Iwaszkiewiczem co powiedzieć mamy? Ano to przede wszystkim, że „w okresie powojennym aktywnie uczestniczył w życiu publicznym i literackim”. I tak dalej, i temu podobnie. Żalobnie, Biblioteko!

Nie spytam też, bom nie godzien, czemu sporo ód z antologii na ody wcale nie wygląda. To jest zresztą rzecz względna. A czasem i autor niech ma niespodziankę. Kiedym Sosnowskiemu powiedział: Andrzej, jak się okazuje, „Dożynki” to oda – ów zbłądł i wyszeptał: Jezus, Maria. Niech będzie mu policzone: Ten wzywał imienia Maryi! Nic to jeszcze. Gdzież indziej można by przeczytać, że wiersze takich na przykład poetów, jak Świetlicki i Foks, „świadczą, iż mimo wszystkich niesprzyjających temu okoliczności, chcieliby oni [tacy na przykład Świetlicki i Foks – to mówię ja, ms] pisać wiersze pochwalne i uroczyste, we wspólnocie ze swymi czytelnikami ukazywać świat godzien powszechnej aprobaty i zbiorowego zachwyty”? Tylko w twej antologii, Biblioteko, w samym środku wstępu. Koledzy, pamiętajcie, ja tylko cytuję! No a przy okazji trzeba Ci może jednak, Biblioteko, wiedzieć, że Foksa wzniosły utwór „Próbowałem opiewać okaleczony świat” jest chuligańską parodią wzniosłej naprawdę ody Adama Zagajewskiego „Spróbuj opiewać okaleczony świat”, którą drukowano w samym „New Yorkerze”. Bo nie wiedziałaś, prawda? Tej ody Zagajewskiego próżno w książce szukać, a choć przypisów często zbędnych wiele podpira jej strony, na tym przy Foksie zaoszczędzono. O czasy, o filologowie!

Wielu innych rzeczy można się jednak dowiedzieć: ot, Karol Maliszewski. Nie, nie to, że mąż ów to „autor wierszy lirycznych o rozległych perspektywach refleksji metafizycznej”. Nie to. Tuż obok stoi czarno na białym: „związany ze środowiskiem »bruLionu«”. Biblioteko, doprawdy? Sam już nic nie pamiętam, ale szczęściem znasz się i na „bruLionie”. Więc kamień z serca i pieśń ujdzie cało, i cyt, bo już mówić nie mogę i wór wkładam szary, pokutny, żalem stebnowany, żem się ośmielił z Tobą, Biblioteko, wadzić. O tronie babiloński, będzie drugie wydanie?



„Oda w poezji polskiej. Antologia”, opracowała Teresa Kostkiewiczowa, Ossolineum, Wrocław 2009, s. 490



A to jest (najprawdopodobniej) sekwoja. Raczej bez związku z odą, za to bardzo ładna

► wyślij SMS ► my oddzwonimy ► zapłacisz przy odbiorze

one step® cena 37 zł/kod: oda121

Kup teraz! ► Wyślij SMS z kodem podanym przy recenzji na nr 70500 koszt SMS-a z VAT 0,61 zł.

one step

OTWÓRZ
oczy

FOTOGRAFIA KUBA DĄBROWSKI

GŁĘBOKIE GARDŁO PRZEDMIĘSCIA

LARRY SULTAN
STAŁ SIĘ KLASYKIEM
WSPÓŁCZESNEJ
FOTOGRAFII. MIMO
ŻE PRZEZ PÓŁ ŻYCIA
POSŁUGIWAŁ SIĘ TYLKO
ZDJĘCIAMI INNYCH,
A POTEM **PRZEZ
DEKADĘ ROBIŁ ZDJĘCIA
SWOIM RODZICOM**

*Kwiaty w donicach,
pięknie udrapowane
zasłony. Tak
powstaje „Trzeci
film Tashy”. Dla
Larry’ego Sultana
**pornografia
jest dodatkiem
do architektury***



Larry Sultan:
„Najbardziej
nie lubiłem
scen seksu.
Kiedy
włączano
kamery, trzeba
było być cicho.
Nie za bardzo
mogłem
fotografować,
nie mogłem też
wyjść z pomie-
szczenia.
Na ogół było
to 45 stra-
conych minut”



„Poruszam
się po pięknym
obszarze
między prawdą
a fikcją”
– mówił
Sultan. Mama
pozuje, tata
jest pochłonięty
meczem
Dodgersów

Jego śmierć nie była w żaden sposób spektakularna. Żadnych narkotykowych ekscesów ani chorób przenoszonych drogą płciową. Po prostu złośliwy nowotwór. Kilka dni przed śmiercią 63-letni fotograf Larry Sultan wypisał się z kliniki. „Pobyt w szpitalu był piekłem. Zdecydowałem się przerwać kurację i wrócić do siebie. Chcę być z rodziną. W domu pełnym dzieci i psów, czuć dochodzące z kuchni zapachy tostów francuskich” – napisał w liście do przyjaciół. Zmarł 13 grudnia 2009 roku w Greenbrae, w Kalifornii.

(Cudze kadry)

Sultan przychodzi na świat w roku 1946 na Brooklynie, ale w wieku czterech lat przeprowadza się do Los Angeles. – To był inny świat. Zmiana krajobrazu z pionowego w klasyczny, poziomy była szokiem nawet dla tak małego dziecka – wspomina. Ojciec Sultana jest wysokiego szczebla urzędnikiem w korporacji produkującej zyletki, mama zajmuje się domem i wychowywaniem dzieci (Larry ma dwóch braci). Dorastają w „niezmaconym raju” przedmieść. Mają ogródek, koszą trawę. Atmosfe-



SAMO ROBIENIE ZDJEĆ, TWORZENIE OBRAZÓW NIE JEST SZTUKĄ, SZTUKĄ STAJE SIĘ DOPIERO TO, CO I DLACZEGO Z TYMI OBRAZAMI ROBIMY

ra białych domków z ogródkiem będzie przewijać się przez prawie całą twórczość Sultana.

Po szczęśliwym dzieciństwie Sultan wyjeżdża na studia do San Francisco. Kierunek: nauki polityczne. – Były lata 60., jak każdy młody człowiek chciałem zostać rewolucjonistą, szybko okazało się, że się do tego nie nadaję – wspomina później. Na studiach zaczyna zajmować się fotografią. Jego mentorem w tej dziedzinie jest profesor antropologii wizualnej John Collier. – Collier uważał, że samo robienie zdjęć, tworzenie obrazów nie jest sztuką, sztuką staje się dopiero to, co i dlaczego z tymi obrazami robimy – tłumaczy Sultan. Układanie zdjęć w nowych kontekstach, tworzenie

narracji – na tym według niego powinien koncentrować się fotograf.

– Robienie zdjęć to znajdowanie czegoś w rzeczywistości, wskazywanie tego palcem i uwiecznianie. Wiele rzeczy zostało już uwiecznionych, nie ma potrzeby robić tego po raz drugi. Znajdowanie istniejących obrazów jest jak robienie zdjęć – zgodnie z tą dewizą Sultan nie naciska migawki, tylko operuje na zastanych kadrach. Z przyjacielem Mikiem Mandelem z fotografii zalegających w archiwach korporacji i rządowych agend układają własną, oderwaną od faktycznego kontekstu i celu powstania kadrów opowieść. Leżący na podłodze kostium astronauty, ogolona mała, wychodząca z morza piany postaci

w garniturach.... Pozbawione opisu zdjęcia dokumentacyjne, szkoleniowe i naukowe tworzą historię w stylu „Archiwum X”, stają się sfigowanym dowodem spisku tajemniczych sił. Projekt wychodzi w formie wydanej własnym sumptem książki „Evidence”. Ta daje Sultanowi gigantyczny rozgłos. Dzisiaj uważana jest za jedno z najważniejszych wydawnictw w historii fotografii.

(Mama, tata, ja)

Na początku lat 80. z całym bagażem conceptualnych doświadczeń Sultan na poważnie zaczyna robić własne zdjęcia. Chce sportretować swoich rodziców, typowych przedstawicieli klasy średniej.

– Ameryka to kraj imigrantów – opowiada na wykładzie. – Ludzie przyjechali tu z całego świata, żeby szukać szczęścia i realizować →

→ marzenia. Jednym z podstawowych pragnień jest posiadanie własnego domu. Spełnieniem tego pragnienia są osiedla na przedmieściach. Suburbia stały się jedną z większych klisz naszej kultury, ale pamiętajmy, że za każdą kliszą kryje się archetyp. Coś znacznie ważniejszego i bardziej skomplikowanego. I to właśnie mnie interesuje. Obietnica spełnienia marzeń, domowa intymność, skomplikowane relacje rodzinne, seksualność...

Sultan uważa, że z własnymi rodzicami będzie mu najłatwiej uzyskać poziom intymności potrzebny do przebicia się przez skorupę stereotypów. Nie chodzi mu o tego konkretnego ojca i matkę, ale raczej o próbkę demograficznej całości. Żeby ośwoić rodziców z aparatem, zabiera ich na wakacje na Hawaje, dla rozgrzewki zaczyna od klasycznych pamiętkowych ujęć. Później krok po kroku dokopuje się głębiej, próbuje zdjąć z nich zakładane przed obiektywem maski. – Toczyłem wojnę z uśmiechami i przyjmowaną przez ojca, trenowaną przez 10-lecia pracy w korporacji pozą człowieka sukcesu: wypięta kłata, statowe spojrzenie i głowa optymistycznie zwrócona w przyszłość – mówi. Oswajanie trwa miesiącami.

– Zorientowałem się, że moi rodzice nie rozumieli, po co robię im zdjęcia. Odślonili swoją intymność tylko dlatego, że ufali mi jako synowi – wspomina Sultan. – Złapałem się na tym, że fotografowanie ich stało się rodzajem zemsty. Pierwszy raz w życiu to ja miałem kontrolę nad naszymi rodzinnymi relacjami. Na przykład ojca, który w rzeczywistości był silną postacią, mogłem fotografować jako niepewnego siebie i słabego.

Socjologiczny projekt zmienia się w autoanalizę. – Zafascynowało mnie, jak różne są moje i ojca wizje męskości.

*Ojciec Sultana
(tu z kijem,
poniżej z gazetą):
„Mów ludziom,
że niektóre
z tych zdjęć
ustawiałeś.
Że to nie ja,
tylko twoja
wizja mnie”*



ZAFASCYNOWAŁO MNIĘ, JAK RÓŻNE SĄ MOJE I OJCA WIZJE MĘSKOŚCI. JAK RÓŻNIE JA I MOI RODZICE ROZUMIEMY DOROSŁOŚĆ

Jak różnie ja i moi rodzice rozumiemy dorosłość. Jak jako starsi ludzie muszą się od nowa zdefiniować. Oglądając archiwalne zdjęcia, zdałem sobie sprawę, że przed moim urodzeniem rodzice mieli niezależne ode mnie, osobne życie. Ta oczywista rzecz była dla mnie szokiem.

Zgodnie z wypracowaną przy „Evidence” metodą do zdjęć Sultan dołącza „materiał zastany”: biznesowe dokumenty ojca i domowe memorabilia. Fotografie opatruje osobistymi tekstami, rodzicom również daje prawo głosu: „Nie rozumiem, o co ci chodzi, dlaczego nie pozwalasz mi się uśmiechać. To przecież nie jestem ja, na tych zdjęciach wyglądam, jakbym się czegoś bał” – komentuje ojciec. „Powiedziałeś mi kiedyś, że twój finansowy sukces, to, jak bardzo się o niego starałeś, było w dużej mierze motywowane strachem. I to chyba widać na tym zdjęciu. Myślę, że pokazuję cię takiego, jakim chciałeś się widzieć i jakim naprawdę jesteś” – odpowiada syn.

Projekt kończy się po 10 latach. Całość wychodzi jako książka „Pictures From Home”. Krytycy są zachwyceni głębokim, emocjonalnym rodzinnym portretem, wyjściem poza klasyczne fotodokumentalne ramy, wydrapaniem emocji z miałkiego i obudowanego zasiekami konwensu podmiejskiego stylu życia.

(Domowe porno)

Zdjęcia rodziców dają Sultanowi status fotografa. Nie jest już postrzegany jak disc jockey żonglujący cudzymi kadrkami, jest kimś, kto sam naciska migawkę, i na dodatek robi to dobrze. Zgłaszają się do niego magazyny: „Wallpaper”, „New York Times”, „Esquire”. Pod koniec lat 90. w ramach zlecenia Sultan trafia na plan filmu porno. Sceny kręcone są w wynajętym domu w San Fernando Valley, w okolicy, w której chodził do szkoły średniej.

– Sam seks był strasznie nudny i oczywisty. To, co mnie uderzyło, to fakt, że akcja filmu działała się w doskonale mi znanej scenarii. Poczulem się, jakbym odwiedzał kogoś z moich szkolnych kolegów – skomentuje później. Te same meble, takie same obrazy

na ścianach. – Zafascynowało mnie, jak wprowadzenie obcego elementu zmieniło definicję takiego miejsca, jego psychologiczną architekturę. Nagle wszystko w tej oswojonej przestrzeni stało się podejrzane. Zacząłem się zastanawiać, do czego można wykorzystać stół do kawy.

Sultan towarzyszy ekipom filmów dla dorosłych. Odwiedza z nimi domy oddalone raptem o kilka kilometrów od tego, w którym mieszkają jego rodzice. Powstałe tam zdjęcia opowiedzą o instytucji domu i ukrytej na przedmieściach seksualności. Trafia do jego ostatniej wielkiej książki, „The Valley”.

– Kiedy byłem mały, codziennie wieczorem chodziłem z tatą na pocztę, musiał wysłać jakieś sprawozdania. Szliśmy ulicą, a ja zaglądałem ludziom do okien. Migoczące telewizory, rodziny jedzące obiad... Uwielbiałem to. Kiedy studiowałem, paliłem dużo trawki i robiłem rzeczy, których pewnie nie powinienem był robić. Wkradałem się do obcych domów, chowałem się za wersalką lub w szafie i podsłuchiwałem strzępy rozmów, które ludzie prowadzą przy obiedzie. Teraz jako artysta robię to samo – wchodzę do obcych domów i przyglądam się im.

Tak oto – choć seks nie był najważniejszym elementem całej sprawy – plany filmów porno okazały się spełnieniem dziecięcego marzenia. □

*Wyrwane z kontekstu
zdjęcia
z korporacyjnych
i rządowych
archiwów miały
kojarzyć się
z dokumentacją
performance'ów
i instalacji artystów
współczesnych*

*Zapoczątko-
wane przez
Sultana
i Mandelę
w „Evidence”
operowanie
na zastanych
obrazach dziś
nazywamy
fotografią
wernakularną*



ROZMAITOŚCI

W tym tygodniu:

SZARY O POWTARZALNOŚCI
W CZASIE, ŁADNE RZECZY
O CZASIE W PASKI, A KRZYŻÓWKA
POZORNIE O CZASIE W CIĄGU
DNIA (O ŚWICIE – DWÓR)

Wymyślił i narysował Marek Raczkowski



Szary wiruje pył

MARCIN PIESZCZYK

O święta powtarzalności! Czyli nowy rok jak stary

GDY SZARZY PYTALI ZNAJOMYCH, czy w nowym roku spodziewają się nowości, każdy mówił: „Oczywiście!”. Zaprzeczenie byłoby przyznaniem się, że już dawno wpadło się w koleiny mechanicznych czynności, które niczym przy taśmie Forda coraz trudniej porzucić. Szarzy także żyli ułudą zmian, podczas gdy nieświadomie brnęli w przewidywalność. Szary co dzień marzył o kawie, jakby to miała być jego pierwsza (lub

ostatnia) kawa w życiu, podczas gdy od lat każdego dnia fundował sobie trzy dawki kofeiny: tuż po podniesieniu lewej powieki, tuż po przyjeździe do pracy, tuż po obiedzie. Szara – choć jako zadeklarowana feministka walczyła z szowinistycznym docenianiem w kobiecie tylko cielesnej powłoki – z żelazną regularnością odwiedzała: fitness club (dwa razy w tygodniu), manikiurzystkę (raz na tydzień) i kosmetyczkę

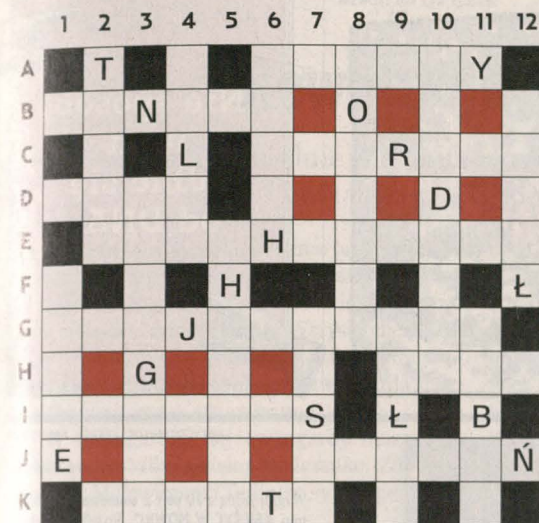
(raz na dwa tygodnie). Raz w tygodniu Szary układał z kolegami krzyżówkę „Przekroju”, raz w tygodniu Szara z koleżankami rozwiązywała krzyżówkę „Przekroju”. Powiecie, że Szarzy są aspołeczni i egoiści? Może, ale nawet ludzie bardziej niż oni przejęci ważkimi problemami świata poddawali się wszechogarniającej, osobistej powtarzalności. Rządy się zmieniały, wojny wybuchały, politycy ogłaszali nowe programy, a pana X nic nie było w stanie odwieść od cotworkowego mielonego z mizerią, a pani Y – od pangi z kiszona kapusta w piątki. To oczywiście były tak zwane drobne przyjemności jednostek, ale czy zasada powtarzalności nie dotyczyła także spraw

wielkich? Czy co roku nie jesteśmy bliżej rozwiązania kwestii palestyńskiej? Czy rok w rok najpotężniejszym człowiekiem świata według magazynu „Forbes” nie zostaje prezydent USA? Czekanie na jakąś nowość jest tak samo absurdałne jak czekanie na to, że Tomasz Jacyków odstawi w kąt kapelusik i żabot Cioci Kłoci. Daremne żale, próżny trud, karty są od dawna rozdane, a kości rzucone. Wojna Szarej z przewidywalnością i schematem działania przypominała Szaremu prawdziwe działania wojenne. Niby najpierw planuje się całą operację, ale w pewnym momencie ta wymyka się spod kontroli (nieprzewidywalne ruchy przeciwnika). Pod

koniec ofensywy generałowie wciąż dowodzą, ale już na nie nie mają wpływu i biegają starym okopem z dobrze znaną mapą przed nosem. Zamiast udawać, że ich życie obfituje w ciąg nieoczekiwanych zdarzeń, Szarzy postanowili pogodzić się z powtarzalnością, w której też można znaleźć nieco przyjemności. Latem piwo z sakiem nad Bałtykiem; zimną oscypek na Krupówkach; w soboty domówka z „Dzięciołem”. Za to raz w życiu wystarczyło im: przeczytać książkę Łysiaka, uwierzyć w przedwyborcze obietnice czy obejrzeć koncert Eurowizji. Przy nich nawet wydarzenia, które powracają jak wycieraczki w aucie, są prawdziwą przyjemnością. □

JOLKA NR 2

AUTOR: JERZY BUCZEK



WYRAZY

11-LITEROWE:

• LEPSZA NIŻ KIJOWA
• LINIEJĄCY ANTENAT

WYRAZY

9-LITEROWE:

• PORTKI
• W KONSORCJUM
• MATE STOI

WYRAZY

7-LITEROWE:

• PADA DO NÓŻEK/
• ŁÓŻEK • STWORZONY
NA OBRAZ
STWORZONEGO NA
OBRAZ • GRAJ-RAY

• SPOD PROGA
PSYCHOLOGA

WYRAZY

6-LITEROWE:

• OSTRZA SOBIE
MLECZAKI NA GRYZAKI
• GDZIE SŁOWIKI
MÓWIĄ DOBRANOC
• PUKA DO DRZWI
KRÓLOWEJ SPORTU
• SEN NA GORĄCO

WYRAZY

5-LITEROWE:

• KREWNY PO
RACJI • CAŁY ŚWIAT
DWADZIEŚCIA LAT

PÓŹNIEJ • NIE WYDAJE
NA RETUSZERA

• POKONANA PRZEZ
GERDĘ • O POKÓJ,
GDY WOJNA • MA
SYNA W SERIALU
I CÓRKĘ W PIOSENCE
• KRZE SIĘ STAWIA
• RYMOWAŁ LEPIJ
OD KOSMONAUTÓW
I ROKOSZAN

WYRAZY

4-LITEROWE:

• KWITNĄCA
MISTYFIKACJA
• EPIZODYCZNA ROLA
ZAJĄCA

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

G9_C7_A9_B1_I2_E2_H11_K3_J5_E10_J10_C11_A4_I4_G2/
D1_A7_B10_H1_D8_

LAUREACI Z NR. 49

KRZYŻÓWKA:

Hanna Banasiak, Włocławek; Zofia Gąsowska, Szczecin; Małgorzata Kamińska, Bydgoszcz; Magda Wojaś, Niepolomice; Janusz Wyjatek, Nowy Tomysł

JOLKA:

Maria Dziamba, Tarnobrzeg; Weronika Grodecka, Warszawa; Urszula Malik, Rotmanka; Anna Świdarska, Bełchatów; Izabela Wyrwick, Poznań

ROZWIĄZANIA Z NR. 50

KRZYŻÓWKA: PARKIET

Pozłom: 4. MA STOLICE W RZYME – APOSTOŁ 5. PO SŁUBIE – CYWIL 7. DZIECKO W SWOIM DOMU – SIEROTA 8. GOTGOT – BIGOT 9. MAMY DANIE – ADOPCJA 12. UCZKA NIEMNOGA – GASTKA 16. WYSZŁO Z NORKI – FUTRO 17. ZBOŻNY CEL – DOŻYŃKI 18. POTEH ODPORCZYST – SALINA 19. ODETNI – ODSIECZ 2. RAVELACYNY TANIEC – BOLERO 3. PRZESTAN CHODZIĆ 2. NIE SIAJĄ – POSTOJ 5. CZŁOWIEK Z ŻELAZA – CYBORG 6. MIESZKA W BUDZIE – WĘGIER 10. ŚRODEK KOLA – CENTRUM 11. PROMILIANT – ALKOMAT 13. CHWYT POWYŻEJ BASA – AKORD 14. UKŁADY W WOJSKU – SZYKI 15. NAPLOT – AFISZ

JOLKA: PUCHOWY ŚNIEGU TREN W KRĄG RÓZTOCZYŁ ŁŚNIEN SZARY (z piosenki pt. „Śnieg”, sl. Andrzej Włost)

Rzędami: POŻARY, DRWALE, GALEZIE, ŁOPATA, SKRZYDŁOWA, CIENKOPISY, REKSIDO, EKIERKA, CZEJEN, KALKAZ Kolumnam: DYS, KONCÓWKA, ECHO, KURSANKI, FAKIR, APACZ, RABOG, ŁAZIK, ALGATOR, ROLA, DYREKCJA, STOP

ROZWIĄZANIA Z NR. 51-52

KRZYŻÓWKA: SPUTNIK

Pozłom: 4. ZAWISZA ŻÓŁTY – SAMURAJ 5. BRĄC SKLEPOWA – POPYT 7. KOLEM SIĘ TOCZY – RATUNEK 8. POKREŚCONE MODŁY – MYDŁO 9. CHORY ZAŻYWAJĄCY LEKARSTWA – LEKOMAN 12. FIGURA PŁASKA – SZPAGAT 16. CO KOŃ WYSKOCZY – RODEO 17. NIESPEŁNIONY MISTER ZONKA – MRZONKA 18. SKORUPKA MU ZA MŁODO NIE NASIĄKA – NIEUK 19. W OPARACH ABSURDU – NONSENS 2. NIE WESOŁEK – SMUTEK 3. KSIĄDZ ROBAKA – ZALEWA 5. REDUKUJE NA PIECIE – PUMKES 6. ALEJA WOLNOŚCI – PODKOP 10. GŁÓWKA PRACUJE – MÓZDEK 11. PRACUJE W BORZE – NAGONKA 13. ZNANY Z Z – ZORRO 14. KRZYŻÓWKĘ ROZWIĄŻE – ANONS 15. WYSTYTA – TRANS

JOLKA: WESELCIE SIĘ LUDZIE, JUŻ WAM DOBRZE BĘDZIE (tytuł kółdy)

Rzędami: POŻARY, DRWALE, GALEZIE, ŁOPATA, SKRZYDŁOWA, CIENKOPISY, REKSIDO, EKIERKA, CZEJEN, KALKAZ Kolumnam: DYS, KONCÓWKA, ECHO, KURSANKI, FAKIR, APACZ, RABOG, ŁAZIK, ALGATOR, ROLA, DYREKCJA, STOP

Święta rzecz: bluźnierstwo

Nie państwo powinno zajmować się zwalczaniem bluźnierstwa – to zadanie Kościołów

ROMAN KURKIEWICZ



O BLUŹNIERSTWIE MOŻNA POWIEDZIEĆ, że jest łajnem dysputy. Ale nawet jeśli nim bywa, odgrywa wszakże równocześnie rolę nawozu, użyźnia głębę debaty, podważa rolę dominujących, nadwiera niewidzialny przymus, drapie władzę, wyśmiewa napuszoną powagę i uzurpacyjny patos: rządzących, kapłanów, mentorów. Nikt nie nakazuje zaprzysiężać się z bluźniercami. Ale jakim prawem można domagać się, że ma ich ścigać państwo? Tych bluźnierców głoszących „kretynizm”, „chamstwo”, pochwałę „chlewu”? Takie pokusy się pojawiają. Niebezpieczny przykład daje Polakom Irlandia, gdzie wprowadzono właśnie nowelizację prawa, żeby bronić przed bluźniaczami także przedstawicieli innych religii niż katolicka (ta już od lat 30. ubiegłego wieku broniła jest prawem). Ten pozorny krok w stronę równościowych rozwiązań jest równocześnie krokiem w tył, jeśli idzie o wolność, wolność słowa.

Czym zatem jest bluźnierstwo? W Polsce również co chwila jakiś objazdowy Savonarola grozi innym (czyli potencjalnym lub rzeczywistym bluźniercom) interwencją państwowych instytucji, niekiedy sądem, gdy coś go obraża, narusza mu uczucia religijne. Kościół dzisiaj sięga po oręż państwa w toczonych sporach słownych, ale nie podejmuje własnych decyzji

w walce z przeciwnikami demokratycznymi instytucjami. Mało tego, procedura apostazji, odstąpienia od wiary, jest kłopotliwa, uciążliwa, najeżona formalnymi i nieformalnymi przeszkodami. A zapytajmy, dlaczego Kościół nie poddaje anatemie, ekskomunie tych wszystkich, którzy – jak choćby ja dzisiaj – publicznie deklarują ateizm, wrogość wobec instytucji kościelnych, podważają władzę i autorytet hierarchów, w tym najwyższego, szydzą, żartują, bluźnią w końcu? Dlaczego Kościół milczy? Dlaczego w obronie jego praw wiary i ortodoksji redaktor Tomasz Terlikowski grozi na przykład Andrzejowi Czeczotowi i Radiu TOK FM Krajową Radą Radiofonii i Telewizji, a nie sądem kurialnym?

Dlaczego państwo daje się sobą wysługiwać? Demokracja toleruje wrogów demokracji, dopóki ta wrogość nie jest obudowana groźbami przemocy, dopóki to nie jest język nienawiści wobec konkretnych osób albo grup. Ale język niechęci – czy wręcz wrogości – wobec idei, dogmatów, instytucji, bytów mitycznych, zjawisk nadprzyrodzonych? W teokracji bluźnierstwo niech ponosi swoje religijne kary. W demokracji zaś bluźnierstwo to święta rzecz! □

Sherlock Holmes

WYSTĘPUJĄ:

SHERLOCK HOLMES & DR WATSON

Mieszkanie przy Baker Street 221 B, wieczór.
Sherlock Holmes wstrzykuje sobie kokainę. Dr Watson czyta nową powieść kryminalną Olgi Tokarczuk pod tytułem „Prowadź swój pług przez kości umarłych”. Kominek. Herbatka. Błogość.

S. H. : (nagle):
– Idę do zakładu, Watsonie, że jesteś rozczarowany lekturą...

DR W. : (wytrzeszczając oczy):
– W rzeczy samej, Sherlocku. Jak na to wpadłeś?

S. H. : (cynicznie):
– To proste. Dziesięć minut temu powiedziałeś, że gdyby twoja 50-letnia córka zapuściła sobie dredy, spróbuj jej tylek na kwaśne jabłko.

KURTYNA opada wraz z reklamą najnowszej powieści Harlana Cobena

Kino-
teatrzyk
PRZEMKA
JURKA

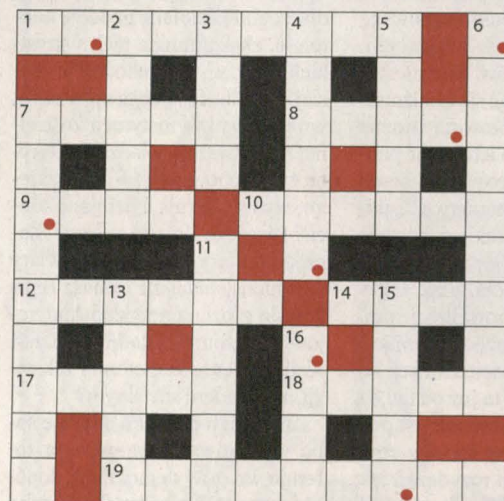


MYŚLNİK

Nie sposób
nam
odbić się
od DNA.

Krzysztof
Bilica

KRZYŻÓWKA NR 2



Sponsorem nagród
do jolki i krzyżówki jest
stereo.pl — www.stereo.pl

Litery z oznaczonych pól czytane
poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

POZIOMO:

1. POSTRACH WŁOCHÓW
7. WYRYWA SZÓSTKI
8. CIŚNIE SIĘ NA USTA
9. MYJE NOGI
10. BARO-METR
12. KREM DE LA HAREM
14. RYBY, RAK I WODNIK (A CZASAMI PANNA)
17. NA BARANA
18. DOM NIEZŁY
19. JEDZIE NA SSANIU

PIONOWO:

2. PIES NA MUCHY
3. LUBI SIĘ PRZECIAGAĆ
4. WZÓR NA ŚCIANĘ KWADRATU
5. JA OKA
6. OPERA WAGNERA
7. AUTOKREACJA
11. DŁUGI MROŻKA
13. MEBEL NA PARĘ
15. PAS W POKERZE
16. O ŚWICIE

Wygraj jedną z 10 płyt z soundtrackiem do filmu „KSIEŻYC W NOWIU”. Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASLO JOLKI lub PRZEKROJ.HASLO KRZYŻÓWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa z dopiskiem: „jolka 2” lub „krzyżówka 2”. Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 18 stycznia 2010. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,44 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów bądź usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

stereo.pl

ŁADNE
RZECZY!

Uwaga, uważni! Dwa „o” w słowie „Nooka” to tak naprawdę symbol nieskończoności. Poniżej limitowana edycja zegarków zrobiona z marką obuwniczą UNDCRWN



OLA SALWA

Czas na paski

Tarcza ze wskazówkami to klasyka.
I przeżytek

OKRĄGŁY, MECHANICZNY CZASOMIERZ TO KOLEJNA PRODUKCJA MADE IN CHINA, bez której nie wyobrażamy sobie codziennego funkcjonowania. Inne rzeczy to oczywiście tekstylia, papier lub możliwość zamówienia sajgonka na wynos, gdy nie ma godziny czy nawet kwadransa na gotowanie. O tym, że czas można mierzyć inaczej niż tylko w kółko, przekonany był amerykański dizajner Matthew Waldman. W zaprojektowanych przez niego zegarkach Nooka pomiar miał być intuicyjny i prosty. Nawet dosłownie, bo zamiast okrągłej tarczy patrzymy na dwa paski oznaczające godzinę, jeden minuty i jeden – sekundy. Jego idea ma już 13 lat. Kto policzy, ile to pasków?



W „Przekroju” nr 51/52 pokazałam gazetownik Marianny Tomaszko. Pełen podpis pod nim powinien brzmieć „Comforty Living by Pola La”. Kim jest Pola La, szukajcie w Google!

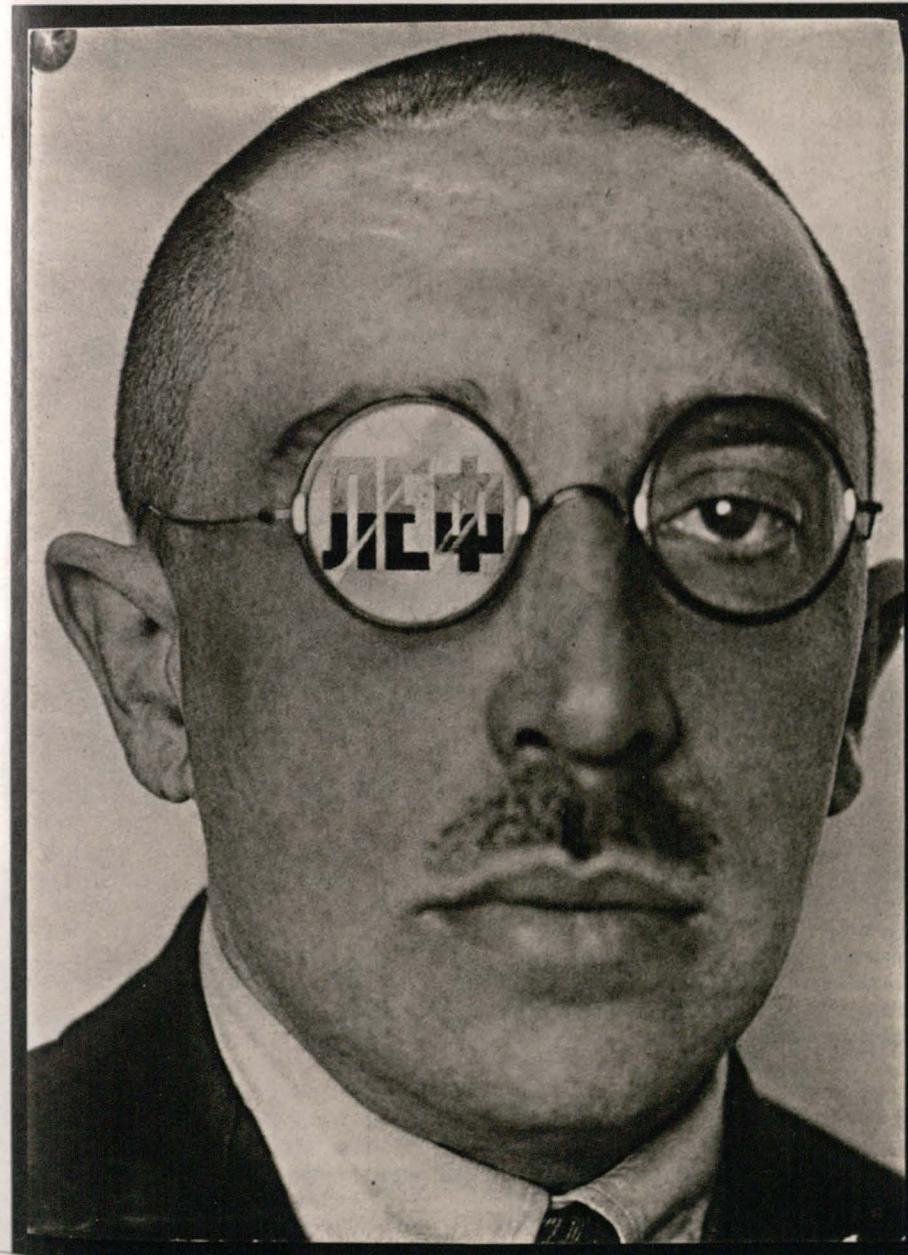
Rewolucja i życie

Są artyści, którzy idealnie personifikują ducha swoich czasów. Dla Rosji lat 20. kimś takim jest Aleksander Rodczenko

W 1917 roku moskiewska bohema przyjmuje rewolucję październikową z niekłamana radością. Utopijne programy bolszewików idą w parze z manifestami artystycznymi. Wszyscy chcą walczyć o polityczną i kulturalną utopię. Figuratywne malarstwo oficjalnie umiera, awangarda staje się obowiązującą w sztuce normą.

W awangardzie tej awangardy maszeruje Aleksander Mikołajewicz Rodczenko. Zafascynowany Malewiczem i Tatlinem syn niepiśmien-

nych robotników z Kazania rzuca się w wir rewolucyjnego obiegu sztuki. Zasiada w komitetach, doradza przy reformie szkolnictwa artystycznego. Wierzy, że uczestniczy w procesie tworzenia nowej sztuki dla nowego człowieka. Nowy człowiek nie potrzebuje ozdób, tylko sztuki użytkowej. Rodczenko projektuje więc propagandowe plakaty, układa makiety rewolucyjnych gazet, realizuje kolektywne projekty z Władimirem Majakowskim i Osipem Brikiem (portret na dole).



Pod koniec lat 30. Rodczenko przestaje fotografować. Wraca do porzuconego w czasie rewolucji malarstwa. Do śmierci w roku 1956 aktywnie uczestniczy w radzieckim życiu kulturalnym: wyklada i organizuje wystawy

Specjalnością artysty są kolaże i fotomontaże... W pracy nad tymi ostatnimi Rodczenko odkrywa moc fotografii traktowanej wcześniej jedynie jako półśrodek. Dostrzega w niej nieskażoną burżuazyjną tradycją technikę przyszłości. Zaczyna eksperymentować. Zrywa z tradycyjnym sposobem patrzenia, do kadrów wprowadza skróty perspektywiczne oraz niespotykaną wcześniej dynamikę i geometrię. Słowa klucze jego twórczości to: konstruktywizm, produktywizm i formalizm. Bohaterami zdjęć są pionierzy, robotnicy i główne intelektualne figury rewolucji. Pomnikowi, pewni siebie, bez cienia wątpliwości. Utopia staje się ciałem.

Tworzony przez Rodczenkę i jemu podobnych nowy wspaniały świat sztuki kończy się tak nagle, jak się zaczął. W grudniu 1927 roku na XV zjeździe Wszechzwiąz-



kowej Partii Komunistycznej (bolszewików) oprócz planu pięcioletniego i programu kolektywizacji rolnictwa ogłoszone zostają nowe kulturalne dyrektywy, zaczyna obowiązywać socrealizm. Awangarda traci wpływ, ale Rodczenko nie traci wiary w komunizm. Jako skromny reporter w prostych kadrach dokumentuje sukcesy stalinowskiej władzy, na przykład budowę Kanału Białomorskiego.



Mój ojciec też był po stronie życia, nie śmierci. Jakby dożył przedśmiertnego wyznania Gustawa Holoubka – nie wierzę w śmierć – podobałoby mu się ono, przytaczałby je do znudzenia, tak jak do znudzenia – i stojąc już nad grobem – powtarzał, że jest w olimpijskiej formie

JERZY PILCH

31 GRUDNIA 2009

JAK SIĘ ODZIAĆ DO TRUMNY? RZECZ JASNA, najstosowniej – jak kto ma takie możliwości – czarny jak węgiel mundur górniczy. Miał taką możliwość Jarosław Iwaszkiewicz, miał i mój ojciec. Pierwszy skorzystał, drugiemu nawet do głowy nie przyszło.

Jak pamiętają ci, co pamiętają, na katowickim zjeździe literatów w roku 1978 Prezesowi ofiarowano galowy mundur górniczy z lampką i czekanem. Zjazd był sławny, bo padały pierwsze głośno wypowiedziane zdania przeciw cenzurze, a nawet o wolności słowa; władza w mizernej co prawda postaci wicewojewody Gorzycy, ale kontratakowała; dochodziło do zwad, a nawet tumultów; delegaci to wracali, to opuszczali salę, 84-letni Iwaszkiewicz zachowywał się i mówił świetnie – w mundurze wyglądał rewelacyjnie. A gdy przy swoim słusznym wzroście założył czapę z pióropuszem, jego górowanie nad otoczeniem nabrało i dosłownej, i symbolicznej wielowymiarowości.

Czy od razu wtedy przyszło mu do głowy, że ten czarny, z bujnymi frędzlami, masywnymi watomowymi ramionami, drogocennymi zygzakowatymi naszywkami, całą masą złotych guzików z górniczym godłem, aksamitnym kołnierzem i takimiż lampasami uniform akuratny będzie do trumny? Jestem pewien, że tak. A nawet jak pomyśl przyszedł później, był natchniony. W każdym razie gdy autor „Brzeziń” dwa lata później zmarł, złożono go do grobu – tak jak przykazał – w górniczym stroju.

Popłoch to wzbudziło niezły, za dziwactwo albo za żart makabryczny brano tę przedśmiertną fanaberię, za starcze szaleństwo, w najlepszym razie za zupełną jakąś nieobliczalność i nieoznaczoność. Umysłowe zamroczenie? Tajemnica? Zagadka? Ani jedno, ani drugie, ani trzecie. A coś dziwnego jest w tym, że człowiek schodzący do podziemnych krain przywdziewa strój tych, co dzień w dzień podziemne chodniki i labirynty przemierzają? Nie jest to nawet poetyckość specjalna czy inna grobowa mistyczność, lecz zwyczajny realizm – Iwaszkiewicz po tołstojowsku mocny był w tej konwencji.

Nie trzeba być zbyt pilnym jego czytelnikiem, by wiedzieć, że przemijanie i odcho-

dzenie to były jego królewskie tematy, a już znakomita późna twórczość to był jeden wielki fioł na punkcie biegu czasu i zostawiania świata. Jest coś dziwnego, że autor takich obsesji wybiera na ostatnią drogę przyrodziewek z natury rzeczy podziemnego bractwa? Zwłaszcza jak miał taką kreację pod ręką? Owszem, jakby specjalnie obstarłował tego rodzaju śmiertelny garnitur, jakby szyć sobie kazał, modele studiował, do przymiarek chadzał, byłaby rzecz inna, byłyby granice rozmaite przekroczone – Iwacha, jak przystało wielkiemu pisarzowi, po krawędziach stapał, ale równowagę utrzymywał. Poza wszystkim, poza śmiertelną logiką twórczości, poza nieubłaganym związkiem pomiędzy gasnącym życiem a trwaniem pisania, poza wszelkimi interpretacjami tego życia i tej twórczości były w tym geście znamiona Iwaszkiewiczowi przypisywane rzadko: brawura mianowicie i – tak jest – sztyrderstwem podsztyta odwaga.

1 STYCZNIA 2010

OJCIEC NA POWTÓRZENIE IWASZKIEWICZOWSKIEGO gestu nie wpadł, a mógłby, a mógłby. Jak przystało profesorowi AGH, miał galowy mundur górniczy, też bezlik lamppek, czekaników i całą kolekcję kuflów z rozmaitych imprez barbońkowych. Wkładał jednak cechowy przyrodziewek rzadko, na zupełnie specjalne, wręcz przymusowe okazje – w sumie dziwne, choćby czapę jako osobnik, delikatnie mówiąc, przeciwnego wzrostu powinien lubić. Ale on organicznie nie znośił wszelkich, nawet powinnością służbową uzasadnionych przebieganiek i maskarad. Trzymał się zwyczajności; człowiek nie powinien – mawiał – tanimi sposobami wyróżniać się w społeczeństwie; w efekcie nawet do swych rytualnie stalowych garniturów i bordowych krawatów wielkiej wagi nie przywiązywał, sezonowych ekstrawagancji nie tolerował, a już z modą zaświatową całkiem był na bakier.

Był też po stronie życia, nie śmierci. Jakby dożył przedśmiertnego wyznania Gustawa Holoubka – nie wierzę w śmierć – podobałoby mu się ono, przytaczałby je do znudzenia, tak jak do znudzenia – i stojąc już nad grobem – powtarzał, że jest w olimpijskiej formie.

Wobec takiego sceptycyzmu jakieś strojenie się do trumny odpadało z definicji. Żadnych dyspozycji w tej sprawie nie zostawił, nawet jak coś mu chodziło po głowie, nie zdążył – mimo iż schorowany, umarł nagle. Tak czy owak, galowy mundur górniczy starego dalej wisi w wiślańskiej szafie i nie da się nawet powiedzieć, że czeka na okazję – na mnie – nawet jakbym po śmierci w nie wiadomo jakie chucherkko miał się obrócić, zdecydowanie za mały.

2 STYCZNIA 2010

ODZIANY W GÓRNICZY MUNDUR IWASZKIEWICZ KROCZY przez podziemne tunele, zwalista jego postać cień rzuca, lampka górnicza ledwo, ledwo krainę zmarłych oświeca – nie jestem zakładnikiem czy koneserem takich przedstawień, ale jak już przychodzą, są dokładne. Niedawno obraz się dopełnił. Ze dwa tygodnie temu przeczytałem



mianowicie w gazecie „Rzeczpospolita”, iż Iwaszkiewicz, ma się rozumieć „symbol kolaboracji”, kazał się pochować w stroju górniczym „dla podkreślenia związku z partią robotniczą”. Autor bezlitosnego artykułu, filar, a nawet klasyk tego pisma, dał jeszcze parę innych rac tyjących właściciela dworku w „Stawiskach” (sic!) – najsmaczniejsza i swojsze prawdziwa pada w tezie końcowej, wedle której całe życie marzący o Noblu Iwaszkiewicz po wzięciu tej nagrody przez Miłosza „mógł tylko gorzknąć”. Istotnie. W grobie człowiek gorzknije, a porankami bywa wręcz kwaśny.

W co się odziać do trumny? Jak nie ma pod ręką munduru górniczego – w cokolwiek. Do czytania natomiast koniecznie bierzcie „Rzeczpospolitą”. Lektura nawet małego jakiegoś tekstu w tej gazecie może dać taki wstrząs, że są realne szanse na zmartwychwstanie.

przekroj.pl

1. ZUS utonie, ratuj swoje pieniądze

Igor Ryciak
Polski system emerytalny jest jak „Titanic”: widać, że okręt idzie na dno, ale na pokładzie wciąż gra orkiestra. Państwową konstrukcję trzeba zlikwidować – każdy z nas powinien stworzyć własny filar emerytalny

2. Z Raczkowskim do piekła

rozmawia Piotr Najsztub
Święta są dla małych dzieci i dla zaawansowanych wiekiem rodziców, którzy już dzieci nie mają. Ja jestem pomiędzy tymi granicami wiekowymi – mówi Marek Raczkowski. Jeszcze bardziej lubi kontestować sylwestra

3. Koleżeński układ z seksem

Agata Jankowska
Regularny seks, zero zobowiązań i zakaz mieszania w to uczuć. Kto złamie zasady układu *fuck friends*, wypada z gry. I z łóżka

4. Uczeń wagi ciężkiej

Iza Michalewicz
Gigantyczna subwencja dla szkół na niepełnosprawnych uczniów – w tym dzieci z zespołem Aspergera – dziwnie się rozplywa

5. Nie daj się oszukać infoliniom

Krzysztof Szczepaniak
Mówią, co im ślina na język przyniesie, myślą się i kłamią, bo za swoje błędy nie ponoszą odpowiedzialności. Czy na konsultantów w infoliniach oraz biurach obsługi klientów jest jakaś rada? Jest. Zacznij od zakupu telefonu z możliwością nagrywania

6. Czy Google na nowo wynalazł e-mail?

Maciej Lakus
Inżynierowie Google zadali sobie pytanie: jak wyglądałby e-mail, gdyby wynaleziono go dzisiaj? Ich odpowiedzią jest Google Wave. Czy za rok wszyscy będziemy z niego korzystać?

7. Nedelmann: Doczekam legalnej marihuany

rozmawia Maciej Jarkowicz
O tym, skąd wzięła się narkotykowa prohibicja i dlaczego trzeba z nią skończyć, opowiada założyciel i prezes Drug Policy Alliance

8. Na kłopoty – bezdzietni

Agnieszka Fiedorowicz, Iwona Hałgas
Dzieci. Ponoć są fajne, ale nie wszystkich to przekonuje. „Bezdzietni z wyboru” tłumaczą, że brak dzieci nie tylko nie szkodzi, ale nawet pomaga – społeczeństwu, psychice i budżetowi. I nie sposób odmówić im racji

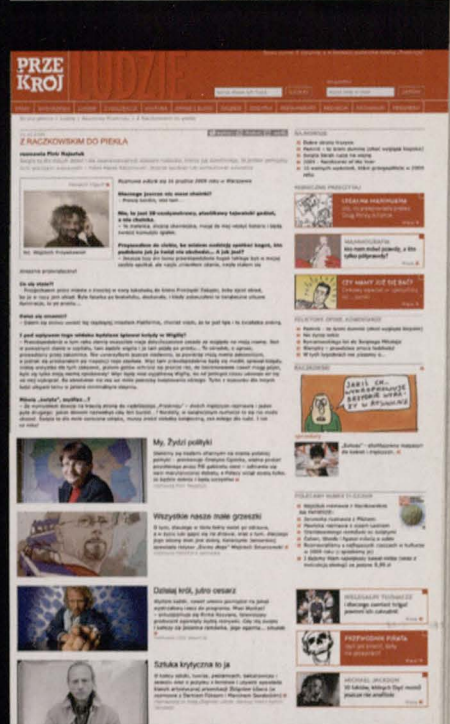
9. Człowiek wielu wymiarów

Karolina Pasternak
Sądny dzień dla kina. Na ekrany wchodzi „Avatar”, który zdaniem jego twórcy Jamesa Camerona zapoczątkuje w kinie erę trójwymiaru

10. „Pegaz” odstrzelony, Łobodziński opowiada

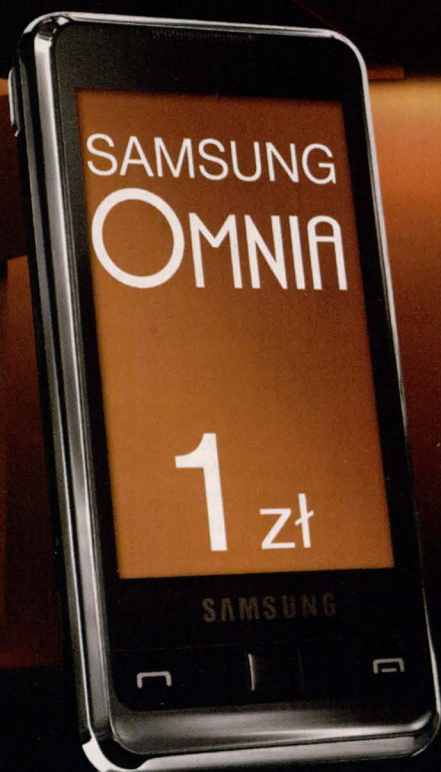
rozmawia Piotr Najsztub
Filip Łobodziński, ostatni prowadzący program „Pegaz”, który właśnie spada z ramówki TVP, mówi o największych grzechach polskiego świata sztuki i wyjaśnia, kim jest smakosz kultury

* wg danych za grudzień 2009



NAJPOPULARNIEJSZE

WIELKA OSZCZ 548 ZŁO



Wielka obniżka cen w Plusie i MixPlusie, np.:

- Samsung Omnia ~~549 zł~~ teraz 1 zł – **oszczędność 548 zł**,
- Nokia E66 ~~549 zł~~ teraz 1 zł – **oszczędność 548 zł**,
- Nokia 5530 ~~229 zł~~ teraz 1 zł – **oszczędność 228 zł**.

A przy tym wielka wyprzedaż minut!
Oszczędność nawet 300 złotych!

Plus 
RAZEM LEPIEJ